

Notes Michała Anioła

Paul Christopher



calibre 0.9.27

PAUL CHRISTOPHER

Notes Michała Anioła

Tytuł oryginału:

Michelangelo's Notebook

Z angielskiego przełożyła MAŁGORZATA

ŻB

IKOWSKA

KATOWICE Michelangelo's 2006

PROLOG

22 lipca 1942

La Spezia, Wybrzeże Liguryjskie

Północne Włochy

Major Tiberio Bertoglio w mundurze czarnych brygad Mussoliniego - z hebanowymi naramiennikami, srebrnymi naszywkami w kształcie podwójnej litery M na krwistoczerwonych patkach na kołnierzu i ze srebrnoczarną trupią główką ze skrzyżowanymi pieszczelami na furażerze - siedział na tylnym siedzeniu zakurzonej sztabowej lancy, z rękoma założonymi na piersi w stylu il duce. Świetny wygląd nie szedł jednak w parze z dobrym samopoczuciem. Mundur był kamuflażem. Bertoglio wcale nie służył w wojsku, tylko pracował w powszechnie znienawidzonej Ovrze (Opera Volontaria di Repressione Antifascista) - Ochotniczej Organizacji do Walki z Antyfaszyzmem, tajnej policji Mussoliniego, włoskim gestapo.

Przyleciał rano z Rzymu starym, rozklekotanym samolotem savoia marchetti SM 75, z drozdem symbolizującym włoskie linie lotnicze Ala Littoria wciąż widocznym na ogonie pod trzema czarnymi pękami różegliktorskich z toporami - znakiem włoskich sił powietrznych. Po czterech godzinach huśtawki wylądował w bazie marynarki wojennej w La Spezia, wziął samochód sztabowy z kierowcą i oto właśnie zbliżał się do kresu podróży

Kierowca przejechał krętymi, wąskimi uliczkami Portovenere do portu rybackiego w La Grazie. W głębi wznosiła się potężna bryła dwunasto-

wiecznego Castello Doria, od ośmiuset lat nieustannie broniącego wejścia do zatoki Spezia. W strzeżonej zatoce stała teraz połowa włoskiej floty, z okrętem wojennym „Andrea Doria” i jego bliźniakiem „Giulio Cesare”, zniszczonym i poczerniałym, lecz wciąż unoszącym się na wodzie.

Samochód zatrzymał się przy starej przystani. Bertoglio wysiadł z jeepa w piaskowym kolorze i strzelił służbiście obcasami.

- Przyjedźcie po mnie za pół godziny - polecił kierowcy

- Tak jest, panie majorze. Za pół godziny.

Kierowca włączył silnik zdezelowanej lancii i odjechał. Na gęsto porośniętej drzewami wyspie Palmaria, leżącej w odległości pół kilometra od zatoki określającej granice portu dla wioski rybackiej, stał długi, niski: budynek, siedziba klasztoru San Giovanni All'Orfenio. Usytuowany blisko brzegu, miał własne cementowe nabrzeże, przy którym kołysała się stara łódź przycumowana do czarnego żelaznego pachołka. Bertoglio rozejrzał się, wokół i kilka metrów dalej spostrzegł łódkę rybacką. Jej właściciel palił papierosa i rozmawiał z jakimś mężczyzną.

- Ile chcecie za przewiezienie mnie do klasztoru? - zapytał chłodno

Bertoglio.

Rybak zmierzył go z góry na dół i zauważył wężykowaty naramiennik i charakterystyczne dla brygad Mussoliniego patki.

- A po co chce pan tam popłynąć? - zapytał. Brązowe kaprawe oczka

zatrzymały się na czarnej furazerce. Trupia główka i piszczele nie zrobiły na nim wrażenia.

- Mam tam sprawę do załatwienia, staruszk. No więc ile byście

wzięli za kurs?

- Tam i z powrotem?

- Tam i z powrotem - warknął Bertoglio. - Zaczekacie na przystani.

Będę miał pasażera.

- To będzie kosztować więcej.

- Czemu mnie to nie dziwi, staruszk?

Drugi mężczyzna się uśmiechnął.

- Za każdym razem, gdy zwraca się pan do niego „staruszk”, cena

rośnie - odezwał się. - On uważa, że jest młody jak koza i że wszystkie

zakonnice chcą się z nim pieprzyć.

- Pieprzenie zakonnice zostawiam księdzu Bertole - uśmiechnął się

starzec, ukazując sześć brązowych pieńków. - Może on lubi stare baby z

wąsami, ale ja wolę młode dzierlatki, które można spotkać na promena-

dzie.

- Myślałby kto, że mają na ciebie ochotę...

- Ile? - zapytał Bertoglio.

- To zależy, ile pan ma.

- To przecież tylko siedemdziesiąt metrów.

- Jest pan Chrystusem, majorze? Potrafi pan chodzić po wodzie?

Bertoglio sięgnął do wewnętrznej kieszeni munduru, wyjął zwitek

banknotów i odliczył z niego sześć. Rybak uniósł brew i Bertoglio dołożył

kolejne sześć.

- Wystarczy - stwierdził rybak, po czym zakreślił szeroki

łuk sękatą ręką. - Zapraszam do mojej królewskiej gondoli.

Bertoglio wsiadł niezgrabnie do łodzi i usadowił się na tylnej ławce.

Rybak podążył za nim, wyjął długie wiosła, jednym odepchnął się od pomostu, osadził wiosła w dulkach i zaczął nimi energicznie wymachiwać. Bertoglio siedział sztywno wyprostowany, trzymając się nadburcia i czując lekkie mdłości, w miarę jak łódź wchodziła głębiej w morze.

Na powierzchni wody dostrzegł kołyszące się duże wiadro z czymś brązowym, galaretowatym i cuchnącym. Żołądek podszedł mu do gardła.

- Głowy kałamarnic - wyjaśnił rybak. - Łapie się je, gdy zaczynają kopulować i wypływają na powierzchnię. Wtedy ścina się im głowy, z nim zdążą rozpylić spermę, i suszy na słońcu przez dzień lub dwa. To świetna przynęta.

Bertoglio nic na to nie odpowiedział. Patrzył na szybko zbliżający się klasztor. Był to długi, niski budynek z dziwnym stopniem dostosowanym do skalistego otoczenia. Za klasztorem rozciągała się stromo opadająca ku morzu łąka i mały cmentarz z pomalowanym na biało żelaznym ogrodzeniem, ocieniony karłowatymi drzewkami oliwnymi, które rosły między nielicznymi nagrobkami i krzyżami.

Rybak skręcił w prawo, omijając cienkie słupki znaczące jaz na sardynki i śledzie, których lawirujące ławice miały się złapać w czasie przyływu, i podpłynął do małej przystani. Z klasztoru wyszła szczupła, niemłoda zakonnica w ciemnoniebieskim habicie i białym kornecie okalającym chudą twarz. Z rękoma ukrytymi w rękawach stanęła na skraju pomostu i czekała spokojnie na przybysza. Bertoglio ogarnął nagle strach i wstyd: uczucia zapamiętane z dzieciństwa, gdy takie jak ta zakonnice były

dla niego najważniejszymi osobami w życiu i kierowały nim za pomocą różgi. Dlatego czuł się nieswojo, wysiadając z małej łodzi rybackiej. Zakonnica popatrzyła na niego, po czym odwróciła się bez słowa i ruszyła w stronę budynku klasztornego. Po chwili ogarnął ich chłód kamiennego, mrocznego wnętrza. Widocznie nie używano tu sztucznego światła. Bertoglio zamrugał powiekami. Zakonnica minęła obszerny, surowy westybul o ascetycznym wystroju i weszła do zwyczajnie wyglądającego pokoju z kilkoma półkami na książki, dużym drewnianym stołem, krzesłami i kominkiem z polnych kamieni. Przez szpary w zamkniętych okiennicach i żaluzje z szerokimi listewkami widać było wąski pas plaży i przystań. Bertoglio zauważył, że łódź, która go przywiozła, jest już na środku zatoki.

- Caccati in mano e prenditi a schiafi! - zaklął, uderzając pięścią we wnętrze dłoni.

- Pan coś mówił, majorze?

Z cienia przy kominku wyłoniła się niska zakonnica około czterdziestki, o sympatycznej twarzy. W przeciwieństwie do tej, która go tu przyprowadziła, opasana była w talii łańcuchem z drewnianych paciorków, a na szyi zawieszony duży żelazny krzyż, spoczywający na wydatnym biuście.

- Nie - odpowiedział Bertoglio. - Kim siostra jest? - zapytał obcesowo, wysunięciem podbródka nieświadomie naśladowując duce.

- Jestem matka przełożona, siostra Benedetta. A pan zapewne jest człowiekiem, który miał się tu zjawić.

- Major Tiberio Bertoglio z szóstej dywizji MVSN w Tevere - warknął.

- Spodziewałam się kogoś z tajnej policji - odparła siostra Benedetta.

- We Włoszech nie ma tajnej policji - odpowiedział.

- A pan jest wytworem mojej wyobraźni - uśmiechnęła się ze znużeniem.

- Przypuszczam, że niemieckie gestapo w zupełności wystarcza na oba kraje.

- Przyjechałem po dziecko - oznajmił Bertoglio. Sięgnął do kieszeni munduru i wyjął małą kopertę z pieczęcią Watykanu ze skrzyżowanymi kluczami i potrójną koroną.

- Macie wysoko postawionych przyjaciół - zauważyła siostra Benedetta.

Podważyła pieczęć pulchnym palcem i rozerwała kopertę. Znajdowała się w niej metryka urodzenia i zezwalająca na wyjazd przepustka z pieczęcią Watykanu, rządu szwajcarskiego i niemieckiego urzędu imigracyjnego. Był także drugi komplet dokumentów dla osoby dorosłej, jeszcze bez wpisanego nazwiska.

- Te papiery są na nazwisko Frederico Botte.

- Tak się dziecko nazywa - odpowiedział Bertoglio.

- Nieprawda, i pan o tym wie, majorze.

- Teraz już tak. Proszę je przyprowadzić.

- A jeżeli powiem, że w tym klasztorze nie ma żadnego Frederika Botte?

- Wolałbym na to nie odpowiadać, matko przełożona. To żadnemu z

nas nic nie da. Gdybyście ukryły dziecko lub go nie przyprowadziły, re-
perkusje byłyby bardzo poważne. - Urwał. - Ja wypełniam tylko polecenie
- dodał po chwili. - Zapewniam matkę, że nie sprawia mi to przyjemności.
- Dobrze.

Siostra Benedetta wzięła leżący na gzymsie kominka mały dzwoneczek
i potrząsnęła nim. Wydał zgrzytliwy dźwięk. Po chwili weszła młoda ko-
bieta ubrana po cywilnemu: w spódnicę, bluzkę i sweter. Trzymała za rękę
mniej więcej trzyletniego chłopczyka w krótkich spodenkach, białej ko-
szuli i wąskim krawacie. Ciemne włosy zaczesano mu do tyłu z pomocą
wody. Miał wystraszoną minę.

- Oto chłopiec, a to jest siostra Filomena. Będzie dbała o jego potrze-
by. Mówi po niemiecku i po włosku, nie będzie więc kłopotów z porozu-
mieniem się.

Podeszła do młodej kobiety, ucałowała ją w oba policzki i wręczyła jej
dokumenty. Siostra Filomena wsunęła papiery do głębokiej kieszeni jasne-
go kardiganu. Wyglądała na równie przerażoną jak chłopiec. Bertoglio
rozumiał jej strach. Sam byłby przerażony, gdyby jechał tam, gdzie ona.

- Łódź, która mnie tu przywiozła, odpłynęła. Jak dostaniemy się na
stały ląd?

- Mamy własny środek transportu - odpowiedziała siostra Benedetta.

- Proszę iść z siostrą Filomeną.

Bertoglio kiwnął głową, strzelił obcasami i już miał unieść rękę w fa-
szystowskim pozdrowieniu, lecz się rozmyślił.

- Dziękuję za współpracę, matko przełożona.

- Robię to tylko dla chłopca. On nie ma nic wspólnego z tym całym szaleństwem... w przeciwieństwie do nas wszystkich. Do widzenia.

Bertoglio odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju. Siostra Filomena i chłopczyk podążyli za nim. W drzwiach mały odwrócił głowę.

- Do widzenia, Eugenio - szepnęła siostra Benedetta.

Podeszła do okna i patrzyła przez szpary w żaluzjach na trzy postacie idące pomostem. W łodzi czekał już Dominik, chłopak z wioski posługujący w klasztorze. Pomógł wsiąść małemu, a potem siostrze Filomenie.

Major usadowił się na dziobie. Wyglądał jak Jerzy Waszyngton przekraczający rzekę Delaware. Dominik wyjął wiosła. Po kilku sekundach byli już w wąskiej zatoce oddzielającej wyspę od stałego lądu.

Siostra Benedetta patrzyła na oddalającą się łódź, dopóki figurka chłopca nie zniknęła jej z oczu. Wtedy wyszła z pokoju i długim korytarzem, po którego obu stronach znajdowały się cele, dotarła do drzwi w niższej części budynku, za łazienkami i toaletami. Otworzyła je i znalazła się na dworze. Słońce powoli chyliło się ku zachodowi, gdy wąską, stromą ścieżką szła w kierunku cmentarza. Minęła go, aż dotarła do kwiecistej dolinki, nad którą unosił się mocny zapach rosnących wokół sosen.

Szła dalej ścieżką, aż na małą polankę. Tu przystanąła, wsłuchując się w westchnienia wiatru i odległy szum morza. Jeżeli Katerina cokolwiek kochała, to właśnie to miejsce. Tu odnajdywała spokój i wytchnienie w wypełnionej obawami życiowej gmatwaninie. Ksiądz z Portovenere nie chciał pochować jej w poświęconej ziemi i w końcu siostra Benedetta ustąpiła. To miejsce było bez wątpienia bliżej Boga i Katerina na pewno

wołałaby je od każdego innego.

Bez trudu odnalazła prosty marmurowy krzyż wśród gęstego bluszczu.

Uklęka i rozsunała płożące się wici, odsłaniając napis.

Katerina Maria Teresa Annunzio

26 51914

22 10 1939

Pacem

Wolno zdjęła różaniec, który nosiła na prawym ręku i ścisnęła go w złożonych dłoniach. Patrząc na kamienny krzyż, zaczęła szeptać starą modlitwę papieży, którą odmówiła młoda kobieta, zanim rzuciła się w morze.

Jak słodko brzmią te słowa:

Wielbię Ciebie, Matko.

Jak słodko jest powtarzać:

Wielbię cię, o Święta Matko.

Jesteś moją radością, nadzieją i miłością,
siłą w pokonywaniu przeciwności losu.

Gdy moja dusza,

nękana przez żądze,

cierpi w boleści,

smutku i płaczu,

gdy widzisz, jak twoje dziecko

przytłaczają przeciwności losu,

pozwól mi, o szcudrobliva Dziewico Maryjo,

znaleźć spokój w Twoich ramionach.

Niestety, koniec jest już bliski.

Pogrzeb szatana w piekielnych czeluściach

i bądź przy mnie,

twoim starym, zbłąkanym dziecku, najdroższa Matko.

Łagodnym dotykiem

zamknij znużone powieki

i oddaj Bogu

duszę, która do Niego powraca.

Amen.

Wiatr wzmógł się, jakby jej odpowiadał, a gdy ucichł na chwilę, wróciła jej dziecięca wiara i znowu poczuła radość z obecności Boga. Zaraz jednak rozproszył ją gwałtowny podmuch i poczuła łzy spływające po policzkach. Pomyślała o majorze Bertoglio, Filomenie i chłopcu, o Katerinie i o pełnym pychy, bezbożnym mężczyźnie, który doprowadził dziewczynę do zguby. Dla niego nie było modlitwy, lecz przekleństwo, które pamiętała jeszcze z dzieciństwa: żebyśgnił we własnym grobie, żeby zjadło cię robactwo, żeby twoja dusza gniła w rozkładzie na oczach rodziny i świata, żebyś był przeklęty na wieczność i znalazł spokój jedynie w lodowatych ogniach piekielnych!

Jej włosy miały kolor miedzi. Błyszczące i połyskliwe, proste przy głowie, po kilku centymetrach zmieniały się w burzę naturalnych loków spływającą na blade ramiona i kształtne, niezbyt duże piersi, obsypane w górnej części drobnymi piegami, o bladoróżowych sutkach, przypominających barwą wnętrza egzotycznych muszli. Długie ręce wyglądały na znacznie mocniejsze niż można by się spodziewać po kobiecie wzrostu metr sześćdziesiąt pięć. Dłonie były delikatne, o szczupłych, dziewczęcych palcach, z krótko obciętymi paznokciami.

Miała wysoką klatkę piersiową i płaski brzuch z malutkim pępkiem.

Pokrywające wzgórek łonowy włosy były jedynie o odcień jaśniejsze od płynnej miedzi i jak u większości rudowłosych kobiet, miały kształt idealnego klina, skrywającego tajemne miejsca między udami.

Z długiej szyi osłoniętej kaskadą włosów wyłaniały się gładkie plecy z jasnoczerwonym znamieniem wielkości dziesięciocentówki. Miało ono kształt rogu i znajdowało się tuż nad szczeliną rozdzielającą drobne muskularne pośladki. Całości dopełniały długie nogi z mocnymi łydkami, kształtnymi kostkami, przechodzącymi w drobne, delikatne stopy o wysokim podbiciu.

Twarz okolona grzywą rudych włosów była równie doskonała jak ciało. Szerokie, gładkie czoło, wydatne kości policzkowe, pełne usta bez żadnych sztucznych powiększeń, dość szeroka linia szczęki znamionująca siłę przy ogólnym wrażeniu niewinności, które wprost z niej emanowało, trochę zbyt długi i zbyt wąski jak na klasyczną piękność nos obsypany

piegami i zachwycające oczy - wielkie, zadziwiająco inteligentne, o intensywnie zielonej barwie.

- Proszę państwa, czas minął! - Dennis, nauczyciel rysunku z natury w New York Studio School, klasnął w dłonie i uśmiechnął się w stronę niewielkiego podium. - Dzięki, Finn; to tyle na dzisiaj.

Odpowiedziała mu równie miłym uśmiechem. Dwanaście osób odłożyło przybory do rysowania na parapety sztalug i pracownię wypełnił gwar rozmów. Modelka sięgnęła po stare kimono w czarno-białe kwiaty, włożyła je, owiązała się paskiem w talii, zeszła z małego podium i skryła się za stojącym w rogu sali wysokim chińskim parawanem. Nazywała się Fiona Katherine Ryan, dla przyjaciół Finn. Miała dwadzieścia cztery lata. Większość krótkiego życia spędziła w Columbus w stanie Ohio, lecz od półtora roku studiowała i pracowała w Nowym Jorku, delectując się każdą spędzoną tu chwilą. Wzięła części garderoby, złożone na oparciu składanego krzesła, szybko się ubrała i wrzuciła kimono do plecaka. W wytartych lewisach, ulubionych tenisówkach i jaskrawożółtym T-shircie, który miał ostrzegać kierowców, gdy pędziła przez miasto, pomachała na pożegnanie uczestnikom zajęć rysunku z natury, a oni odpowiedzieli jej tym samym gestem. Po drodze wzięła czek od Dennisa i po chwili była już na ulicy skąpanej w ostrym słońcu.

Odpięła od latarni stary rower kurierski o grubych oponach, włożyła plecak do stalowego koszyka z pudełkiem po bananach, wsunęła łańcuch i kłódkę do bocznej kieszeni plecaka, czarną nylonową gumką zebrała włosy w koński ogon, wcisnęła na głowę zniszczoną zieloną baseballówkę i

przeciągnęła kitkę przez otwór w tyle. Na koniec przerzuciła nogę przez ramę roweru, chwyciła za kierownicę i wyjechała na Eighth Street. Minęła dwie przecznice i skręciła w Sixth Avenue, kierując się na północ.

Muzeum Sztuki Parker-Hale mieściło się na Fifth Avenue, między ulicami Sixty Fourth i Sixty Fifth, naprzeciwko Central Park Zoo. Budynek został zaprojektowany na rezydencję dla Jonasa Parkera, który dorobił się majątku na Tabletkach Wątrobowych Babuni. Zanim jednak objął władzę w posiadanie, zmarł na nierozpoznaną chorobę układu oddechowego. Jego wspólnik, William Whitehead Hale, zamienił dom na muzeum. Gdy już obaj panowie zatroszczyli się o wątroby narodu, wybrali się w podróż do Europy, gdzie mogli oddawać się zamiłowaniu do sztuki. W ten sposób powstało muzeum Parker-Hale z tak bogatymi zbiorami, że ich właściciele mieli przejść do historii raczej jako kolekcjonerzy dzieł sztuki niż jako wynalazcy Tabletek Babuni. Obrazy stanowiły eklektyczną mieszankę - od prac Braque a i Constablea po płótna Goi i Moneta.

Działające jako fundacja muzeum miało radę nadzorczą, w której zasiadały same znakomitości: od burmistrza i komisarza policji po sekretarza kardynała Nowego Jorku. Nie było to największe muzeum w mieście, lecz zdecydowanie jedno z bardziej prestiżowych. Staż w dziale sztychów i rysunków był dla Finn wielkim osiągnięciem, bo dzięki temu mogła potem liczyć na lepsze stanowisko w muzeum niż inna osoba z tytułem magistra historii sztuki. Praca ta pozwalała też zmyć z siebie piętno absolwentki prowincjonalnego uniwersytetu w Ohio.

A skończyła studia właśnie na stanowym uniwersytecie Ohio, bo jej mama pracowała na tamtejszym wydziale archeologii i mogła zapewnić córce darmową naukę. Niestety, życie w Nowym Jorku nie było już za darmo,

Finn musiała więc chwytać się wszelkich możliwych prac, by uzupełnić stypendium i skromne oszczędności z collegeu. Dlatego pozowała malarzom, udostępniała swoje dłonie i stopy do reklam, kiedy tylko agencja dawała jej takie zlecenie; uczyła angielskiego imigrantów, pilnowała dzieci i domów, opiekowała się roślinami i zwierzętami. Czasami miała wrażenie, że wiecznie będzie gdzieś pędzić i nigdy nie zwolni.

Pół godziny później zajechała przed muzeum, przypięła łańcuchem rower do latarni i pokonała schody prowadzące do ogromnych drzwi zwieńczonych klasycystyczną płaskorzeźbą przedstawiającą skąpo odzianą postać w pozycji półleżącej. Zanim pchnęła drzwi z mosiężnymi okuciami, mrugnęła do reliefu porozumiewawczo - jak jedna naga modelka do drugiej. Zdjęła czapkę, zsunęła gumkę ściągającą rozpuściła włosy i upchnęła wszystko w plecaku. Uśmiechnęła się do Freda, starego, siwego strażnika, i wbiegła po szerokich schodach z różowego marmuru, zatrzymując się po drodze na półpiętrze, aby przez chwilę popatrzeć na obraz Renoira *Kąpiące się*.

Chłonęła nasycone, pełne wdzięku kreski i chłód niebiesko-zielonych barw sceny w lesie, nadających obrazowi nadzwyczajny, niemal tajemniczy nastrój. Nie po raz pierwszy zastanawiała się, czy jest to jedna z powracających fantazji malarza, by przypadkowo natknąć się na grupę rozmarzonych, pięknych kobiet w jakimś odległym miejscu. Na ten temat można było napisać setki rozpraw i esejów, lecz bez względu na to, co ona o tym sądziła, był to po prostu piękny obraz.

Patrzyła na niego pełne pięć minut, po czym obróciła się i pobiegła

wyżej. Przeszła przez małą salę z obrazami Braque'a i krótkim korytarzem dotarła do drzwi nieoznaczonych żadną tabliczką. Otworzyła je i weszła do środka. Jak w większości galerii i muzeów, obrazy i dzieła sztuki eksponowano w wydzielonych salach, natomiast muzealna praca toczyła się tak naprawdę za ich ścianami. W tej ukrytej strefie, do której dopiero co weszła Finn, mieścił się dział grafik i rysunków. Było to właściwie jedno długie pomieszczenie wzdłuż północnego skrzydła budynku, z ciasnymi biurami kustoszy przy oknach. Za nimi ciągnęły się sale wystawiennicze ze sztucznym oświetleniem.

Zbiory przechowywano w stojących pod wewnętrzną ścianą, niezliczonych zdawałoby się komodach o wysuwanych blatach wyłożonych papierem bezkwasowym. We wnękach pomiędzy komodami, sięgającymi Finn mniej więcej do ramienia, stały biurka, krzesła i duże, podświetlone stoły służące do oglądania obiektów. Blaty stołów wykonano z tafli matowego szkła oprawionego w mocne drewniane ramy. Każde stanowisko było wyposażone w sprzęt fotograficzny potrzebny do wykonywania slajdów inwentarzowych sztychów i rysunków. W co drugiej wnęce stał terminal komputerowy z dostępem do bazy danych zbiorów. Tu można było znaleźć zdjęcia dzieła, dokumenty jego zakupu i informacje o jego pochodzeniu.

Przez całe lato Finn sprawdzała, czy zgadzają się numery na slajdach i na aktach dotyczących pochodzenia dzieł. Była to żmudna praca, ale dwudziestoczteroletni, nieopierzony młodszy kustosz powinien do takiej przywyknąć. Co matka stale powtarzała? „Jesteś naukowcem, kochanie,

nawet jeżeli twoją dziedziną jest sztuka, i wszystko, co zrobisz, zaprocentuje w przyszłości”.

Zaprocentuje w przyszłości. Finn uśmiechnęła się, wzięła z szafki notatnik z ołówkiem i podeszła do komody, przy której pracowała poprzedniego dnia. Po obronie pracy spędziła rok we Florencji, miejscu urodzin Michała Anioła; chodziła jego drogami i uczyła się języka. Opłacało się, mimo że tyłek miała siny od podszczypywania przez wszystkich, poczynając od gościa z archiwum, a kończąc na głupekowatym starym księdzu z biblioteki w Santo Spirito.

Oczywiście wiedziała, że pierwszego dnia w pracy nie będzie organizować wystaw malarza florenckiego renesansu. Poza tym obiecano jej, że jeśli sprawdzi się jako stażystka, w przyszłym roku dostanie stałą posadę. Chciała jakoś przeżyć w Nowym Jorku okres studiów magisterskich, co jest kosztowne, nawet jeśli się wynajmuje klitkę w dzielnicy Alphabet City.

Znowu pojawił się Fred, który robił obchód; wsunął klucz do drzwi stróżówki i poszedł dalej. Poza tym nikogo w dziale nie było, co bardzo jej odpowiadało. Znalazła szufladę, na której skończyła poprzedniego dnia; włożyła białe bawełniane rękawiczki i wzięła się do pracy. Spisywała numery widniejące na wykonanych z folii octanowej okładkach grafik, a potem szła z nimi, a czasami i z grafikami, do wnęki, by porównać je z numerami w bazie danych.

Po dwóch godzinach ziewała i widziała podwójnie, ale nie przerywała pracy. Skończyła jedną szufladę i zabrała się do następnej, położonej tak

nisko, że musiała przykucnąć, by ją otworzyć. Dzięki temu zauważyła, że jeden z rysunków schował się w małej szczelinie w tyle szuflady - dopóki się jej całkowicie nie wysunęło, łatwo było go przeoczyć. Finn wysunęła szufladę do końca i na oślep wymacała brzeg okładki. Dopiero po chwili chwyciła go kciukiem i palcem wskazującym, a następnie delikatnie pociągnęła. W końcu udało się jej uwolnić rysunek i wyciągnąć go na światło dzienne. Zamykając szufladę nogą, z bliska przyjrzała się zdobyczy.

Omal nie zemdląca.

Arkusze miał wymiary mniej więcej piętnaście na dwadzieścia centymetrów, brzeg z lewej strony był krzywo ucięty albo oberwany. Nawet przez okładkę mogła dostrzec, że jest to wysokiej jakości pergamin, prawdopodobnie z jagnięcej skóry, wygładzony kredą i pumeksem. W przeszłości musiał stanowić część notesu, dolny róg nosił bowiem ślady szycia.

Rysunek wykonano tuszem w kolorze sepia tak dawno, że kontury częściowo wyblakły. Było to arcydzieło, najwyraźniej z epoki renesansu.

Przedstawiało kobietę o wyraźnie widocznych obfitych piersiach i biodrach tak szerokich, że mogłaby uchodzić za tęgą. Na szkicu nie uwidocziono jej głowy, rąk ani nóg.

Niezwykłe w tym rysunku było to, że ciało kobiety wyglądało na rozcięte przez sam środek, z usuniętymi żebrami i mięśniami klatki piersiowej. Na podobnie otwartej szyi widniała jasna rurka żyły szyjnej oraz grubszej od niej i bardziej wystającej tętnicy, biegnącej do góry aż za ucho. Odsłonięte były również płuca, nerki i serce.

Wątrobę narysowano starannie i wyraźnie, za to żołądek pominięto, żeby lepiej uwidocznic macicę i dalej w dół - otwarty cylinder pochwy. Z równą dokładnością narysowano szyjkę macicy i wargi sromowe. Twórca nie zapomniał oczywiście o mięśniach i więzadłach podtrzymujących macicę oraz inne organy wewnętrzne, a także o naczyniach krwionośnych. Był to przepięknie wykonany rysunek anatomiczny kobiety chyba w średnim wieku. Nie zgadzało się tylko jedno. W epoce renesansu nie wykonywano sekcji zwłok. Nazywano je wiwisekcją i karano śmiercią. Leonarda da Vinci oskarżono i sądzono w takiej właśnie sprawie, lecz w końcu zarzuty oddalono. Oskarżano też współczesnego mu Michała Anioła, ale on nigdy nie stanął przed sądem.

Przez wiele lat inni artyści i myśliciele wspominali w swoich pamiętnikach, że Michał Anioł w zмовie z przeorem korzystał z kostnicy szpitala Santo Spirito we Florencji, by rysować ciała. Ponieważ jednak nigdy nie odnaleziono mitycznego notesu Michała Anioła, nie było na to żadnego dowodu.

Finn przyglądała się rysunkowi. Spędziła rok we Florencji i większość tego czasu poświęciła na pogłębianie wiedzy na temat dzieł Michała Anioła i epoki, w której żył. Nawet napis u dołu rysunku przypominał próbki jego drobnego, kanciastego pisma. Bez zastanowienia wyciągnęła z plecaka małą cyfrową minoltę. Wiedziała, że jeśli ją przyłapią, będzie miała duże kłopoty, ale czuła, że musi mieć zdjęcie tego szkicu, żeby przestudiować go w wolnej chwili. Byłaby to idealna ilustracja do jej pracy naukowej. Dyrektor Parker-Hale, Alexander Crawley, był pedantycznym biurokrata:

musiałyby wypełnić tysiące dokumentów, uzyskać setki pozwoleń, zanim dałby jej choć nadzieję na zrobienie zdjęcia. Wykonała dwanaście ujęć, po czym schowała aparat do plecaka i odetchnęła z ulgą, że nikt jej nie zauważył.

Ostrożnie przeniosła rysunek na podświetlany stół, gdzie zbadała go dokładnie za pomocą jubilerskiej lupy wyjętej z szuflady biurka. Zapiski na tyle wyblakły, że nie mogła odczytać słów; przypuszczała jednak, że są to notatki zrobione w czasie sekcji zwłok kobiety. Według dostępnych źródeł, kiedy ktoś umierał w szpitalu Santo Spirito, ciało składano w kostnicy, owijano na noc w płótno, a następnego dnia wkładano do trumny. Michał Anioł, dysponując kopią żelaznego klucza, zakradał się tam po zmroku, przeprowadzał sekcję zwłok, by obejrzeć interesujące go akurat w tej chwili fragmenty ciała, i wymykał się przed świtem. Prawdopodobnie używał jakiegoś dziwnego przyrządu, który utrzymywał świecę na czole, ale Finn nie miała co do tego pewności. Zwiedziła szpital Santo Spirito, łącznie z kostnicą. Na podstawie tego, co czytała na temat ekonomii tamtych czasów, była prawie pewna, że przeor dostawał jakieś pieniądze od artysty i że te wszystkie pogłoski i opowieści są prawdziwe.

Teraz już mogła stwierdzić z przekonaniem, że rysunek, na który patrzy, został wykonany nie z pamięci, lecz z natury. Powoli docierało do niej, co właśnie odkryła. To karta z mitycznego notesu Michała Anioła. Wiedziała nawet, kto go opracował: Salvatore del Sarto, zaprzyjaźniony intrologator, który zwykle zszywał arkusze ze szkicami do fresków artysty. Ale dlaczego rysunek wepchnięto na tył szuflady i jak on trafił do

muzeum?

Sprawdziła numer inwentaryzacyjny na okładce i zapisała go w notatniku, po czym podeszła do komputera, zalogowała się i wpisała numer, by znaleźć slajd. Ku jej zaskoczeniu na ekranie pojawiła się informacja „brak danych”. Wróciła do głównego menu i zażądała danych o wszelkich dokumentach związanych z tym numerem inwentaryzacyjnym. Pojawiło się nazwisko Santiago Urbino, drugorzędnego weneckiego artysty, którego mgliście pamiętała, i drugi numer - ten zawiódł ją z powrotem do głównego menu i dokumentacji dotyczącej pochodzenia rysunku. Odsyłacz do szkicu, nazwiska artysty i pochodzenie dzieła się zgadzały.

Według danych z komputera, rysunek wykonał Urbino, a zakupiła go z prywatnej kolekcji szwajcarska filia Hoffman Gallery w tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym roku. W tysiąc dziewięćset trzydziestym sprzedano go Galerii Etienne Bignou w Paryżu, w tysiąc dziewięćset trzydziesty siódmym roku nabyła go Rosenberg Gallery i w końcu znowu Hoffman Gallery. Ta sprzedała go Williamowi Whitehead Hale'owi w czasie jego ostatniej przedwojennej podróży do Europy w tysiąc dziewięćset trzydziesty dziewiątym roku. Od tego czasu rysunek stanowił część zbiorów muzeum.

Finn wróciła do głównego menu i weszła do pliku z biografią Santiago Urbino. Żył w tej samej epoce co Michał Anioł i Leonardo da Vinci; został aresztowany za wiwisekcję zwierząt przeprowadzaną w celach niemoralnych, ekskomunikowany i w końcu stracony Finn gapiała się w ekran, odgarnęła włosy i przytrzymała je. Historycznie rzecz ujmując, miało to

sens, wiedziała jednak, że tak podrzędny malarz, jak Urbino nie mógłby wykonać tego rysunku.

- Mogę zapytać, co pani robi, panno Ryan?

Finn drgnęła i odwróciła się. Tuż za nią stał dyrektor Alexander Crawley z wściekłym wyrazem twarzy i z rysunkiem Michała Anioła w dłoni.

Crawley był przystojnym mężczyzną po sześćdziesiątce, o gęstych szpakowatych włosach, kwadratowej twarzy i inteligentnych oczach. Miał nie więcej niż metr siedemdziesiąt wzrostu i Finn była przekonana, że nosi korki w drogich butach. Ubrany był jak zwykle w trzyczęściowy garnitur, ale tego popołudnia prezentował się wyjątkowo elegancko, zapewne z powodu wieczornej kwesty, na którą jej nie zaproszono. Zauważyła również, że Crawley nie ma na rękach białych rękawiczek, chociaż trzyma jeden z muzealnych eksponatów. Może dyrektorzy nie miewają tłustych rąk ani innych zanieczyszczających substancji na palcach. Zwróciła mu na to uwagę, a wówczas jego twarz z czerwonej zrobiła się sina.

- To, czy mam rękawiczki, czy nie, nie powinno pani obchodzić - odparł. - Mnie natomiast obchodzi, dlaczego bez wyraźnego powodu wyjęła pani ten rysunek.

- Był w szufladzie, którą porządkowałam. Początkowo myślałam, że to część stałego inwentarza.

- Początkowo?

- Myślałam, że został źle opisany.

- Nie rozumiem.

- Według numeru inwentaryzacyjnego jest to rysunek Santiago Urbino, pośledniego weneckiego malarza.

Crawley spojrzał na nią urażony

- Wiem, kim był Santiago Urbino.

- Moim zdaniem to pomyłka. Sądzę, że jest to rysunek Michała Anio-

ła.

- Michała Anioła Buonarrotiego? - zapytał zdumiony Crawley - Pani oszalała.

- Nie sędzę - odparła Finn. - Dokładnie się mu przyjrzałam. Nosi wszelkie znamiona dzieła Michała Anioła.

- A więc przez sześćdziesiąt pięć lat przechowywaliśmy stronę z zaginionego notesu Michała Anioła, nie mając o tym pojęcia, i nagle młoda studentka, która nie obroniła jeszcze pracy magisterskiej, wyskakuje ni z tego, ni z owego z czymś takim. - Zaśmiał się nieszczercze. - Nie sędzę, panno Ryan.

- Przejrzałam spis inwentarzowy - nie dawała za wygraną Finn. - Muzeum nie ma innych prac Urbino. Dlaczego akurat miałby mieć tę?

- Prawdopodobnie dlatego, że spodobała się panu Parkerowi lub panu Haleowi.

- Nie chce pan nawet wziąć pod uwagę, że to może być dzieło Michała Anioła?

- I pozwolić pani napisać pracę na ten temat, co przysporzyłoby mnóstwa kłopotów zarówno muzeum, jak i mnie? Ani pani staż tutaj, moja droga, ani pani ego nie są dla mnie tyle warte.

- „Moja droga”? Finn albo panno Ryan - odparowała gniewnie. - I moje ego nie ma tu nic do rzeczy. Rysunek nie jest dziełem Urbina, tylko Michała Anioła. Ktoś, kto go opisywał, popełnił błąd.

- Kto go opisał i kiedy? - zapytał Crawley.

Finn wystukała kilka liter na klawiaturze i przeszła na koniec opisu.

- A. C, jedenasty czerwca dwa tysiące trzy. - Oho, to dopiero niezręczność.

- Alexander Crawley. To ja. Nie tak dawno temu.

- W takim razie może chodzi o pańskie ego - rzuciła Finn.

- Nie, panno Ryan; nie o moje ego, lecz o pani kompetencje, i pozwolę sobie dodać, że o pani arogancję.

- Studiowałam prace Michała Anioła we Florencji przez cały rok!

- A ja studiowałam prace mistrzów przez całe swoje zawodowe życie.

Jest pani w błędzie i fakt, że nie chce się pani do tego przyznać i ustąpić przed bardziej doświadczonym historykiem sztuki, uświadamia mi, że nie jest pani osobą, której potrzebujemy. Kiedy pani ego dochodzi do głosu, znika zawodowy rozsądek. Obawiam się, że będę musiał przerwać pani staż w Parker-Hale.

- Nie może pan tego zrobić!

- Ależ mogę. - Uśmiechnął się ironicznie. - Właśnie to zrobiłem. -

Znowu się uśmiechnął. - Proponuję, aby zabrała pani osobiste rzeczy i wyszła, co oszczędzi nam dalszych kłopotów. - Pokręcił głową. - Wielka szkoda. Była pani ślicznym dodatkiem do naszego małego zespołu.

Finn wpatrywała się w niego przez chwilę, nie do końca wierząc w to, co usłyszała; po czym wyszła z wnęki, chwyciła plecak i wybiegła. Czowała, że za chwilę się rozplacze, a okazanie słabości przed tym aroganckim sukinsynem było ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła. Pięć minut później siedziała na rowerze i pedałowowała na południe do Alphabet City.

Kiedyś nazwa Alphabet City rozbrzmiewała z głośników policyjnych radiowozów w telewizyjnych magazynach kryminalnych. Dzisiaj wspomina się o niej jako o najnowszym miejscu zamieszkania znanego rapera lub przy okazji otwarcia modnej restauracji. Zapewne przyczyniło się do tego wybudowanie nowego posterunku policji po drugiej stronie Tompkins Square Park. Główną jednak przyczyną należało szukać w niekończącej się pogoni nowojorczyków za zmianami. Jakież dzielnice stawały się modne bez żadnego szczególnego powodu, rósł ich status, po czym zdobywały poważanie jako wygodne, a może nawet nudne.

Mieszkanie Finn mieściło się w małym czteropiętrowym budynku na rogu ulic Fourth i A, w umowach najmu uchodzącym za dom bez windy, ta bowiem ciągle się psuła. Na lewo od niego znajdowały się sklepy, bary i restauracje zapewniające rozrywkę Alphabet City, a na prawo biegła Houston Street, stanowiąca południową granicę Lower East Side, w tej chwili akurat modnej dzielnicy. Na północy znajdowało się Village View - osiedle wieżowców, jeden z projektów odnowy z lat sześćdziesiątych. Gotując się z wściekłości, Finn zatrzymała się przed domem, otworzyła drzwi kluczem i zamknęła stary rower w ciemnej wnęce za klatką schodową. Wcisnęła guzik „w górę” i zdziwiła się na widok zjeżdżającej windy z okrągłym oknem ze szkła zbrojonego. Dzięki niemu kabina wyglądała niczym jednooki stwór rodem z powieści Stephena Kinga, wylaniający się z czeluści budynku. Wsiadła i wolno wjechała na samą górę. Mieszkanie było małe, ale nie jak na nowojorskie standardy. Na

jednym końcu szerokiego korytarza mieścił się salon, a na drugim kuchnia. Jej okno wychodziło na Lower East Side. Stał tu stół, przy którym mogły usiąść najwyżej dwie osoby. Na lewo znajdowała się mała sypialnia z oknem wychodzącym na Fourth Street i zamkniętym na łańcuch, mimo że było to czwarte piętro. Na prawo od kuchni mieściła się wnęka, którą gospodarz domu, wynajmując Finn mieszkanie, nazwał gabinetem. Wówczas pokój ten wyglądał jak szafa lub pokój dla małego dziecka. Poprosiła więc kolegę ze studiów, by zrobił jej kilka sosnowych półek na książki, wstawiła stół kreślarski i miała miejsce do pracy. Dalej była łazienka z najmniejszą na świecie umywalką, wanną i muszlą klozetową. Kiedy Finn siedziała na sedesie, kolana miała pod umywalką. Jeśli chciała, mogła opuścić klapę i moczyć nogi w wannie. Kąpiel w wannie i tak oznaczała podciąganie kolan pod brodę.

Kiedy się tu wprowadzała, wszystkie ściany były pomalowane na ponury żółto-brązowy kolor. Rozjaśniła wnętrze różem w łazience, zielenią w sypialni i płowym w salono-kuchni. Wnęka gabinetowa przybrała uniwersalny kolor biały. W wolnym czasie Finn zerwała zielone płytki zrobione z linoleum i wezwała cykliniarzy do starych drewnianych podłóg.

Za komputer służył jej używany laptop marki Sony, kupiony za bezcen na wyprzedaży na wydziale matki. Trzymała go pod zniszczoną czerwoną aksamitną kanapą w „salonie”, na wypadek, gdyby jakiś ćpun wykrzesał z siebie dość siły, by wdrapać się po łupy na czwarte piętro.

To ciasne mieszkanie było dla niej pałacem i magicznymi wrotami do przyszłości. Stąd mogła wyruszyć dokądkolwiek, chociaż póki co nie

wyobrażała sobie, żeby mogła być gdzie indziej.

Otworzyła drzwi i wciąż kipiąc gniewem, wpadła do środka, rzuciła plecak na kanapę, po czym zaczęła się rozbierać, zostawiając za sobą długi szlak z części garderoby prowadzący od kanapy do łazienki. Przez prawie godzinę moczyła się w mikroskopijnej wannie, ogoliła nogi, chociaż nie wymagały golenia, i umyła głowę, co również nie było konieczne.

Nie poprawiło to jej nastroju, wypuściła więc wodę z wanny i wzięła lodowaty prysznic, starając się wytrzymać pod nim jak najdłużej. Próbowała przy tym cieszyć się z tego, co ma, i wyobraziła sobie, jak Crawley chodzi po Central Parku, macając przed sobą białą laską, i krzyczy: „Jestem ślepy! Jestem ślepy!”. Dobrze ci tak, gnoju. Zdjęła z haczyka na drzwiach sfatygowany szlafrok frotte, chwyciła ręcznik i podreptała do sypialni, rozglądając się za czymś do ubrania i osuszając przy tym włosy. Klapnęła na łóżko i zagapiła się na kredens.

Jęknęła. Dziś wieczorem miała się rozmówić z Peterem, swoim chłopakiem od prawie dwóch miesięcy. Umówili się z kilkoma przyjaciółmi na kolację w Max's Garden przy Avenue B. Zgodnie z milczącą umową, dziś miała być Ta Noc. W zasadzie on tego chciał, a ona miała już dość odmawiania. Peter był przystojnym, mądrym i miłym chłopcem, lecz Finn zawsze bardzo ostrożnie wybierała sobie partnerów do łóżka.

W Columbus, w wieku szesnastu lat, Finn olśniewała urodą, lecz jednocześnie była przeraźliwie nieśmiała, co tworzyło zabójczą kombinację. Jej rówieśnicy bali się pięknej jak marzenie dziewczyny i pragnąc zrekompensować jakoś własną niedoskonałość, przezywali ją rozpaloną do

czerwoności górą lodową i rudą żłościcą. Skutkiem tego nie chodziła na randki i gdy skończyła szesnaście lat, miała za sobą jedynie pocałunek w policzek.

W końcu zrezygnowała z dawnej rezerwy i zwierzyła się z problemu młodemu wdowcowi, u którego pracowała jako niania, profesorowi na wydziale anglistyki stanowego uniwersytetu Ohio, ojcu dwuletniego chłopca. Kochała się w nim potajemnie od chwili poznania przy przewijaniu dziecka, uwierzyła więc bez trudu, że w ciągu jednej nocy ktoś, kto nigdy się nie całował, może przestać być dziewicą. Nawet przez minutę tego nie żałowała. Oprah mogłaby to nazwać seksualnym wykorzystaniem, lecz ona ani wtedy, ani teraz tak tego nie traktowała. Dla niej był to cud. Z drugiej strony, sprawa ta nie należała do tematów, o których często się mówi.

Profesor okazał się miłym, delikatnym i - w zestawieniu z późniejszym materiałem porównawczym - zaskakująco dobrym kochankiem. Miał też dość rozsądku, by ograniczyć znajomość do kilku miesięcy, dzięki czemu nie poczuła się zobowiązana do czegoś więcej niż bliska przyjaźń. Pozwolił jej jednak zdobyć doświadczenie i nabrać pewności siebie, której rozpaczliwie potrzebowała, oraz nauczył ją kilku rzeczy o nastoletnich chłopcach.

Przekazał też wiele cennych praktycznych rad w sprawie prezerwatyw, a także opowiedział o wymówkach, którymi będą się posługiwać mężczyźni, by tych zabezpieczeń nie stosować. Od tego czasu zdążyła poznać wszystkie te argumenty i do kolekcji dodała nowe. W szufladzie nocnego

stolika przy łóżku miała kilka gumek, tak na wszelki na wypadek, a jedną schowaną w tajnej przegródce portfela. Ani AIDS, ani ciąża nie leżały w jej planach na przyszłość; podejrzewała, że w planach Petera również. Spośród pięciu mężczyzn, z którymi poszła do łóżka od czasu profesora, tylko dwóch okazało się wartych tych komplikacji i huśtawki uczuć. Pozostali byli nachalni, w potrzebie lub zaborczo zazdrośni, a jeden mieścił się we wszystkich tych kategoriach.

Już dawno doszła do wniosku, że seks i miłość zbyt często wprowadzają zamieszanie i była pewna, że to właśnie czeka ją z Peterem. On szukał seksu i miłości, a ona właściwie ani jednego, ani drugiego. Gdyby szukała przyjaźni, to z kimś, kto mógłby zrewanżować się jej tym samym. Pragnęła dawać i brać, Peter natomiast chciał jedynie brać, nie dając nic w zamian. Sięgnęła po telefon stojący na nocnym stoliku i trzymając go w jednej ręce, drugą machinalnie zaczęła gryzmolić w notesie. Zawsze mogła odwołać randkę, mówiąc, że kiepsko się czuje, lecz wtedy pewnie przyszedłby tu z jakimś rosołem z kurczaka lub czymś takim. Zauważyła, że naszkicowała z grubsza rysunek Michała Anioła, i skrzywiła się. Kto by pomyślał, że odnalezienie dzieła starego mistrza może przysporzyć jej kłopotów? Nadal nie mogła zrozumieć, dlaczego Crawley wpadł w taki gniew. Wróciła do rysunku, starając się narysować tyle żył, organów i więzadeł, ile zdołała zapamiętać, ale w końcu dała sobie spokój. Odstawiła telefon na miejsce. Uznała, że powinna osobiście rozmówić się z Peterem. Westchnęła, wstała i zaczęła się ubierać. To chyba nie będzie noc Petera. Co więc ma na siebie włożyć osoba, która oświadczy facetowi, że nic między

nimi nie będzie?

Szli wolno Avenue A w drodze do jej mieszkania, słuchając muzyki dochodzącej z małych piwnicznych klubów i chłonąc zapachy dań kuchni całego świata. Finn nie spieszyło się do domu, czuła jednak narastające w Peterze napięcie. Obejmował ją w talii, trzymając rękę w ciasnej kieszeni jej lewisów, i co trzeci krok uderzał biodrem o jej biodro. W szkole średniej dałaby sobie uciąć lewą pierś, żeby tak iść z przystojnym chłopakiem, teraz jednak wydawało się jej to takie... sztubackie. Zupełnie jak facet, który znajduje na ulicy znak z wypisanym na nim nazwiskiem dziewczyny i kradnie go dla niej. Westchnęła. Może w tym właśnie tkwił problem. Peter zachowywał się jak szczeniak.

- Wszystko w porządku?

- Jasne. Dlaczego pytasz?

- Bo westchnęłaś.

- Czasami ludzie wzdychają, Peter.

- Chyba nie dostałaś okresu czy coś w tym rodzaju?

Sprawiał wrażenie zdenerwowanego, jakby menstruacja była chorobą.

- Coś w tym rodzaju? Jak co na przykład? Tryper? Grzybica? Zakażenie pochwy? Może opryszczka?

Zaczerwienił się.

- Nie, nie; nic takiego nie myślałem. Tylko że przez cały wieczór byłaś w kiepskim humorze, pomyślałem więc, że...

- Pomyślałeś, że to spieprzy ci cały wieczór czy coś w tym rodzaju?

Trochę wszystko skomplikuje? Krew i posoka na prześcieradle?

- Nie - odpowiedział chłodno. - Wcale tak nie myślałem. - Wyjął rękę z jej kieszeni, nieznacznie się odsunął i uśmiechnął sztywno. - Tam, skąd pochodzę, dziewczyny tak nie mówią.

- Mówią, tylko ty nie słuchasz.

Znowu westchnęła. Okropnie go traktowała, a to nie fair. Zachowywała się jak suka, co nie było w jej stylu. Jedna rzecz to kogoś zdołować, a druga odrzucić.

- Wylano mnie dziś z roboty bez powodu - wyjaśniła. - Byłam pewna, że zrobiłam dobrze, a okazało się, że źle; pokłóciłam się z kimś i wyszłam na idiotkę. Na domiar wszystkiego Alexander Crawley okazał się nadętym, szowinistycznym, egocentrycznym kutasem, największym, jakiego w życiu widziałam!

- O rany, a ja myślałem, że to chodzi o mnie.

Uśmiechnął się do niej tym swoim chłopięcym uśmiechem i teraz już nie była pewna, czy ma z nim zerwać. Zatrzymali się przed jej domem i Finn wyjęła klucze. Kilka chwil później całowała się z Peterem. Po stresującym dniu w muzeum czuła, że zaczyna się wahać. Jego wargi były miękkie i ciepłe, a język stawał się coraz bardziej natarczywy. Czuła, że robi się wilgotna.

Nagle poczuła smak cynamonowych tic taców i zrozumiała, że musiał przed chwilą wrzucić jednego do ust, a więc zaplanował ten atak. Położył dłoń na jej piersi, lecz ona delikatnie ją odsunęła. Przerwała pocałunek.

- Nie dzisiaj, Peter. Jestem zbyt zmęczona.

- Przynajmniej pozwól, że odprowadzę cię do drzwi mieszkania.

Znowu się uśmiechnął. Uśmiech i tic tac zdawały się iść ze sobą w parze.

- Nie musisz.

- Ale chcę. - Wzruszył ramionami. - Bóg wie, co może na ciebie czekać w windzie.

- Potwór windy - odpowiedziała. - To ty nim jesteś.

- No to obronię cię przed samym sobą.

Zaśmiała się, przekręciła klucz w zamku i oboje weszli do środka. Peter znowu zaczął ją całować w windzie i gdy wjechali na czwarte piętro, wiedziała, że pewnie popełni błąd i jednak zaprosi go do siebie. Wiedziała również, że szuka pociechy i zapomnienia od wydarzeń dzisiejszego dnia, a Peter będzie starał się zamienić to w coś więcej, lecz nie dbała o to.

Pragnęła poczuć jego smak, zapach i dotyk. Może nadszedł czas, by wreszcie coś z tego miała. W końcu nie miała obowiązku chronić go przed brutalnością życia. Na litość boską, przecież nie jest jego matką! Zachichotała nad freudowską implikacją tej myśli i przekręciła klucz w zamku.

- Co cię tak śmieszy? - zapytał.

- Nic. Taka głupia myśl przyszła mi do głowy. Możesz wejść, jeśli chcesz.

Przekroczyła próg ciemnego mieszkania, a Peter podążył za nią.

- Nie brzmi to zachęcająco - mruknął.

Mężczyzna pojawił się nie wiadomo skąd, jak bezszelestny czarny cień. Błysnęło światło i Finn uniosła rękę, by osłonić oczy. Serce zaczęło

jej bić w piersi jak szalone, a strach ścisnął gardło.

- Co, u diabła? - ledwie tyle zdążył powiedzieć Peter.

Gdzieś przed nim coś zaszeleściło i Finn poczuła zapach taniego płynu po goleniu, zanim otrzymała mocny cios w głowę i osunęła się na kolana.

Latarka? Możliwe, bo nagle zrobiło się ciemno.

Usłyszała, że Peter rusza jej na pomoc i zanim ogarnęła ją ciemność, do uszu Finn dotarł straszny krzyk, przzerwany długim, bulgoczącym westchnieniem. „Kto wydał z siebie ten okropny dźwięk?” - przemknęło jej przez myśl.

Mężczyzna wyglądał na sześćdziesiąt parę lat. Mierzył nie więcej niż metr siedemdziesiąt i sprawiał wrażenie dość wysportowanego. Miał siwe, falujące włosy przerzedzone aż do czubka głowy, co czyniło jego czoło nienaturalnie wielkim. Oczy za szklami w okrągłych stalowych oprawkach były ciemnobrązowe, prawie czarne. Miał na sobie dobrze skrojony, trzyczęściowy, granatowy, prążkowany garnitur dobrej jakości, może od Brooks Brothers, prostą, niemarkową, świeżo wykrochmaloną białą koszulę, krawat firmy Turnbull & Asser w cienkie granatowe prążki oraz buty od Ballyego z szerokimi noskami. Na ręku tkwił złoty zegarek, nieco krzykliwy, ale pasujący do sygnetu Yale na palcu wskazującym lewej ręki. Obrączki nie było. Pachniał lekko wodą kolońską Lagerfelda.

Ktoś wbił mu w usta dwudziestocentymetrowej długości marokański sztylet kumia, rozcinając podniebienie miękkie i dochodząc aż do mózgu.

Koniec sztyletu tkwił między wargami niczym obrzydliwy, srebrno-czarny język. Długie grawerowane ostrze trzymało głowę nad zieloną skórzano-filcową podkładką przykrywającą blat zabytkowego biurka.

Krwi było bardzo mało. Na to właśnie zwrócił uwagę porucznik Vincent Delaney z wydziału do zadań specjalnych.

Zgodnie z tabliczką na drzwiach biura, martwym mężczyzną ze sztyletem w ustach był Alexander Crawley, dyrektor muzeum Parker-Hale mieszczącego się na rogu ulic Sixty Fifth i Fifth Avenue, naprzeciwko Central Park Zoo. Delaney rzucił okiem na wysokie okna na przeciwległej ścianie. Staroświeckie zasłony z zielonego aksamitu były odsunięte i

związane sznurami w tym samym kolorze. Może jakiś pawian z zoo coś widział, lecz Delaney w to wątpił. Nie miał takiego szczęścia. Prawdę mówiąc, nigdy nie był w tym ogrodzie zoologicznym i nawet nie miał pewności, czy są tam pawiany.

W pokoju znajdowały się jeszcze cztery osoby: koroner Singh, Don Putkin, technik kryminalny, fotograf Yance i sierżant William Boyd, otyły, źle ubrany partner Delaneya. Billy przyglądał się ustom denata, a Singh przekręcił delikatnie jego głowę, by sprawdzić stężenie pośmiertne, którego nie było. Na dole, w głównym hallu trwało przyjęcie. Dziewięćset elegancko ubranych podejrzanych popijało martini i zastanawiało się, dlaczego, do cholery, nie podaje się jeszcze przystawek. Były tu same grube ryby, od gubernatora po burmistrza. Delaney westchnął. Zapowiadała się diabelnie ciężka sprawa.

- Co o tym myślisz, Singh?

Koroner popatrzył na niego i wzruszył ramionami.

- Prawdopodobnie nie żyje od godziny albo trochę dłużej. Nie ma jeszcze stężenia pośmiertnego. Został uduszony, najpewniej kawałkiem nylonowej linki. Znalazłem kilka włókien. Ktoś go prawdopodobnie zaszedł od tyłu i udusił.

- Jakież sugestie na temat sztyletu?

- Nie jest pakistański ani indyjski. Tyle mogę powiedzieć. Jest za długi. Prawdopodobnie berberyjski. Sądząc ze wzornictwa, to arabski wyrób.

- Powiedziałeś, że został uduszony - wtrącił Billy, gapiąc się na nóż. -

Nie zasztyletowano go?

- To chyba jakiś rodzaj rytuału. Ofiara była już martwa, kiedy wbito jej sztylet.

- Jakiś maniak - stwierdził Delaney.

- Nie mnie o tym sądzić - odparł Singh, wzruszając ramionami. - Kto wie, może po prostu nie lubi sztuki.

Komórka Delaneya zagrała melodię z serialu Simpsonowie . Jego nastoletnia córka dla żartu ustawiła mu taki dzwonek. Za każdym razem, gdy ktoś dzwonił, on widział Barta jadącego na deskorolce przez Springfield. Otworzył telefon, słuchał przez chwilę, mruknął raz czy drugi, po czym zamknął klapkę i spojrzał na Billy'ego.

- Dowiedz się, czy mają tutaj stażystkę o nazwisku Ryan, dobrze? Ma na imię Finn.

Mężczyzna siedział w pełnym umundurowaniu w pustym pokoju, który wyglądał jak cela: nagie, białe ściany, drewniane, pomalowane na szaro krzesło i jeden otwór wentylacyjny, zawsze zamknięty i zasłonięty, nawet w najgorszy letni upał. Umeblowanie składało ze stojącej w rogu wojskowej pryczy z kocem, krzesła oraz stołu z przymocowaną do blatu lampą kreślarską i szkłem powiększającym. Lampa była jedynym źródłem światła - jedynym potrzebnym. Nie czytał tutaj ani nie jadł, tylko spał, siedział na krześle i pracował. Czasami długo rozmyślał, lecz do tego niepotrzebne mu było światło. W pokoju panowała cisza, przerywana jedynie stłumionymi grzmotami w oddali, szelestem mchów małych zwierząt i dziwnymi dźwiękami, które równie dobrze mogły powstawać w jego przeciążonym umyśle.

Wstał, podszedł do stalowych drzwi i upewnił się, czy są zamknięte. Potem powoli się rozebrał, wieszając każdą część munduru na mosiężnym haku na drzwiach, buty zaś starannie ustawiając pod pryczą. Gdy był już kompletnie nagi, wrócił do krzesła i ponownie usiadł. Zauważył, że ma wzwód, lecz zignorował to. Od wielu lat nie miał z kim dzielić namiętności, prościej więc było ją lekceważyć.

Z pudełka umieszczonego na stole wyjął parę świeżych chirurgicznych rękawiczek i przesunął palcami po rzeźbionej skórzanej okładce wielkiej, ciężkiej księgi leżącej pośrodku blatu. Motyw na okładce był prosty i wyrazisty; dokładnie taki, jaki chciał uzyskać. Przedstawiał misternie rzeźbiony krzyż i linie rozchodzące się od niego jak promienie słońca. Na krzy-

żu wisiła głową w dół Maryja Dziewica z rękoma przybitymi do części pionowej i nogami rozciągniętymi na ramionach krzyża, co obrazowało jej mękę zarówno ukrzyżowania, jak i wydania na świat jedyne dziecko, którego przeznaczeniem nie była ziemia, lecz miejsce u boku Ojca. Boże dziecko, zabijające ją swoją mocą, gdy z własnej woli umierała na krzyżu, by je zrodzić, nie znając potęgi, którą wydaje na świat, jego zdumienia i wściekłości, jego oddania sprawiedliwej i słusznej zemście za świat. Nagi mężczyzna pomodlił się krótko do Matki, otworzył księgę na stronie, nad którą pracował i zaczął nowy wers.

Jako że była to pierwsza litera w kolumnie, wymagała iluminowania jak w Biblii, otworzył więc mały pojemnik z klejem, wziął najcieńszy pędzelek i naniósł nim gęstą ciecz na cienki kontur narysowany wcześniej ołówkiem. Delikatnie podmuchał na klej i za pomocą bawełnianego wacika naniósł cieniutki złoty płatek.

Czekał cierpliwie, aż się przyklei, po czym szarym i bardziej miękkim pędzelkiem usunął namiar złota. Wybrał już kolor, którego użyje do wypełnienia wnętrza litery: miedzianą czerwień - jak włosy tej dziewczyny, jak zapach świeżej krwi w gorący letni dzień, podobnie jak to było przed laty.

Finn siedziała skulona na brzegu kanapy, a sanitariuszka przykładła jej do skroni nasączony spirytusem tampon. Kobieta była czarna, gruba i bardzo delikatna.

- Musiał użyć gumowej pałki czy czegoś w tym rodzaju, bo skóra w zasadzie nie jest przecięta. Będzie siniak, ale nic poza tym. Miałaś szczęście, dziewczyno.

Finn kiwnęła wolno głową, starając się nie patrzeć na wielką plamę na dywanie przy drzwiach. Wcale nie uważała się za szczęściarę, ale przynajmniej żyła. W przeciwieństwie do Petera. Pod powiekami znowu poczuła palące łzy. Z trudem przełknęła ślinę. Dźwięk, który usłyszała, zanim straciła przytomność, wydał umierający Peter, gdy ktoś szybkim ruchem poderżnął mu gardło. Ten ruch był jak szelest skrzydeł nocnego ptaka, a potem nastąpił ów potworny bulgoczący odgłos.

W mieszkaniu kłębił się tłum ludzi. Dwoje sanitariuszy, zbierających się właśnie do wyjścia, trzech gliniarzy w mundurach i dwóch detektywów po cywilnemu. Technik kryminalny posypywał wszystko proszkiem do zdejmowania odcisków palców i pogwizdywał cicho pod nosem.

- Na pewno nie chce pani pojechać do szpitala? - zapytała sanitariuszka. - Może pani mieć wstrząs mózgu. Nie sędzę, ale nigdy nic nie wiadomo. - Zmarszczyła brwi. - I jeszcze jedna rzecz... Może chciałaby pani to sprawdzić.

- Wiedziałabym, gdybym została zgwałcona - odparła Finn. - Ale nie zostałam.

- Dobrze, skarbenku - powiedziała kobieta, zatrzasnąjąc plastikową walizkę. - W takim razie już nas tu nie ma. Współczuję pani z powodu tego, co się stało.

- Dziękuję.

- Nie ma za co.

Sanitariusze wyszli z mieszkania, omijając plamę krwi. Jeden z detektywów wyszedł z sypialni. „Co on tam robił?” - przemknęło jej przez myśl. Przedstawił się jako detektyw Tracker, czyli Tropiciciel, co tak ją rozbawiło, że omal nie wybuchnęła histerycznym śmiechem. Oczu nie mógł oderwać od jej cycków i śmierdziało mu z ust. Był wysoki, barczysty i miał tłuste włosy

- Pani i ten Peter od dawna byliście przyjaciółmi?

- Od dwóch miesięcy.

- Sypiała pani z nim?

- To nie pańska sprawa.

- Owszem, moja. Więc sypiała z nim pani. Jakiś inny gość jest za-

zdrośny, włamuje się tu i czeka. Jeżeli pani z nim nie spała, trzeba znaleźć inny motyw.

- Nie spałam z nim.

- Więc nie zna pani tego gościa, który go zabił?

- Nie.

- Skąd ta pewność? Mówiła pani, że było ciemno.

- Nie znam nikogo, kto zabija ludzi.

- Czy coś zginęło?

- Jeszcze nie sprawdziłam.

- Więc to mogła być kradzież?

- Możliwe.

- Niewiele tu można ukraść.

- Niewiele.

- Jest pani studentką?

- Tak. Na Uniwersytecie Nowojorskim.

- Peter też?

- Tak.

- Jak się poznaliście? Byliście w tej samej grupie? Przez wspólnych znajomych?

- On studiuje... studiował sztuki piękne.

- No i? Co to ma do rzeczy?

- Chodził na zajęcia rysunku z natury. Pozuję tam.

- Jak? Na golasa?

Ponownie spojrzał na jej piersi. Po raz pierwszy od wielu lat czyjeś spojrzenie wprawilo ją w zakłopotanie.

- Nago.

- Czy to nie to samo, kotku? Nie masz na sobie ubrania i tyle.

- Zapewniam pana, że to nie to samo.

- Może to był któryś ze studentów.

- Nie.

- Wszędzie pełno wariatów.

Głowa zaczęła ją boleć. Teraz pragnęła jedynie zwinąć się na kanapie i

zasnąć.

- To nie był nikt z tych zajęć, jasne?

- Spokojnie, kotku; to nie ja jestem twoim wrogiem.

- Więc proszę przestać tak się zachowywać.

Jeden z mundurowych uśmiechnął się. Tracker zmarszczył brwi. Roz-

legło się pukanie do drzwi i po chwili stanął w nich wysoki, szczupły

mężczyzna o czarnych włosach, które wymagały podcięcia. Miał szczupłą

twarz z głęboko osadzonymi oczyma, równie ciemnymi jak włosy Na

policzkach i brodzie widniał świeży zarost. Wyglądał na Irlandczyka.

Spojrzał na zakrzepłą na dywanie plamę krwi i skrzywił się.

- Kim pan, kurwa, jest? - zapytał Tracker. - To jest miejsce zbrodni,

nie wolno tu wchodzić.

Szczupły mężczyzna sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wy-

jął małą, zniszczoną legitymację w skórzanej oprawie. Kiedy ją wyciągał,

Finn zauważyła kaburę. Tracker również ją dostrzegł. Mężczyzna otwo-

rzył legitymację i podsunął ją detektywowi pod nos.

- Delaney. Porucznik Vincent Delaney, wydział do zadań specjal-

nych. - Uśmiechnął się. - A pan?

- Tracker. Dwudziesty trzeci posterunek.

- To miło. A to jest panna Ryan?

- Tak, poruczniku.

- Chciałbym z nią porozmawiać, jeżeli nie ma pan nic przeciwko te-

mu.

- Ja tu właśnie prowadzę śledztwo.

- Już nie - odpowiedział Delaney.

Nad Watykanem wstawał świt. Tajemnicze miasto skryte za wysokimi murami spowijał jeszcze mrok. Drzewa rosnące wzdłuż krętych ścieżek i otaczające wiekowe budynki szeptały między sobą, poruszane lekkim porannym wiatrem.

Gdzieś palily się światła. Odziany w czarną sutannę mężczyzna, który wyszedł z siedziby Sekretariatu Stanu w pałacu watykańskim, posłyszał ten cichy śpiew, idąc wąską żwirową alejką między willą Belvedere a starą ceglana elektrownią. Ścisnął mocniej w dłoni rozszyfrowaną depeszę z Nowego Jorku i przyspieszył kroku. Czarne sznurowane buty skrzypiały na mokrym od rosy żwirze. Kiedyś, na początku swojej kariery, czuł respekt przed tym miejscem: uważał, że jest ono żywym świadectwem Bożej obecności na ziemi.

W miarę upływu lat włosy mu się przerzedziły i wzrok osłabł, lecz za to teraz lepiej widział Watykan. Kiedyś uważał się za uprzywilejowanego księdza, sprowadzonego tutaj przez wzgląd na swoją pobożność i umiłowanie Chrystusa. Teraz już wiedział, że zdecydowały o tym znajomość kryptografii i zdolności językowe. Gdyby poszedł na Harvard zamiast do Notre Dame, pewnie pracowałby teraz w CIA.

„No cóż - pomyślał - wygląda na to, że nawet Bogu potrzebni są szpiedzy”.

Dotarł do małych drzwi i wszedł na górę do biblioteki. Nie była to Biblioteka Watykańska, lecz jej część, udostępniona turystom, z tuzinem łuków zdobionych freskami i wyłożonymi w gablotach rękopisami, mało

ważnymi, za to pięknie iluminowanymi. Znalazł drugie schody i wszedł na górne piętro.

Długi korytarz prowadził do masywnych drewnianych drzwi, strzeżonych nawet o tej porze dnia przez gwardzistę w ozdobnym mundurze z obszernymi spodniami, hełmem i halabardą. Ksiądz wiedział, że pod bufiastym kaftanem szwajcar ma z jednej strony berettę S12, pistolet maszynowy, a z drugiej berettę M9, automat. Sekretów Księcia Pokoju strzegły niezwykle wymyślne żelazne przedmioty

Ksiądz wyjął z kieszeni sutanny plastikową kartę identyfikacyjną i pokazał ją szwajcarowi, który stanął na baczność. Kiwnął głową młodemu człowiekowi, po czym otworzył drzwi z napisem „Archivo secreto”. Tu mieściły się tajne archiwa Watykanu.

Mężczyzna, z którym miał się zobaczyć, czekał cierpliwie w pierwszym z całego szeregu pomieszczeń, siedząc na drewnianym krześle przy drewnianym stole. Otaczały go drewniane półki wypełnione dokumentami. Małe okno wychodziło na dziedziniec Pigna. Mężczyzną na krześle był kardynał Carlos Abruzzi, sekretarz stanu, druga po papieżu osoba w Watykanie. Ksiądz wiedział, że Abruzzi ma daleko większą władzę niż drobny starzec zasiadający na tronie Piotrowym. Kardynał trzymał w swoich rękach wszystkie sznurki władzy i pociągał nimi z umiejętnością wytrawnego harfiarza. Zdawał sobie sprawę z tego, o czym wiedzieli tylko nieliczni katolicy i księża - że Stolica Piotrowa stanowi bardziej centrum biznesu i władzy niż centrum religii. Ściśle rzecz biorąc, Watykan był drugą co do wielkości korporacją na świecie i rządził, przynajmniej w

sensie duchowym, prawie dwumiliardową międzynarodową populacją.

- Co tam masz, Frank? - zapytał Abruzzi, używając zdrobniałej formy imienia księdza. Ten wręczył mu rozszyfrowaną depeszę. - Dobry Boże, Crawley zamordowany - mruknął. - Co za nieszczęście. - Ton jego głosu nie wskazywał jednak na współczucie czy żal. - Marokańskim sztyletem?

- Niestety, tak.

- A więc wiemy, kim jest zabójca.

- Tak.

- W końcu dał o sobie znać po tylu latach.

- W dość dramatyczny sposób.

- Trzeba będzie go znaleźć, zanim wysledzi go policja.

- Tak.

- Stażystka sfotografowała jeden z rysunków Michała Anioła?

- Tak.

- Skąd to wiemy?

- Zarejestrowała ją jedna z kamer w muzeum.

- Czy próbowano odzyskać te zdjęcia?

- Tak. Nie udało się.

- Ją też trzeba powstrzymać. - Kardynał popatrzył w zamyśleniu na depeszę. - To może być dla nas wielka okazja, zwłaszcza teraz, gdy Crawley nie żyje. - Urwał. - Czy istnieje jakiś związek między jego śmiercią a dziewczyną?

- Wątpię.

- Ale to możliwe.

- Tak.

- Kogo będziesz potrzebował?

- Sorvina.

- Jest osiągalny?

- Tak. Czeka na rozkazy eminencji.

- Na twoje rozkazy, Francis. Ja nie mogę mieć z tym nic wspólnego.

Chyba to rozumiesz.

- Oczywiście, eminencjo. - Jeżeli sprawy przybiorą zły obrót, on będzie za to odpowiadał.

- Byłoby dobrze, gdyby raz na zawsze udało się zakończyć tę sprawę.

To gra o wysoką stawkę, między innymi o zjednoczenie Kościoła.

- I świętość jednego z jego papieży - dodał ksiądz.

- Jeżeli zakończysz tę sprawę, sam możesz zostać beatyfikowany -

uśmiechnął się kardynał. - Zawsze możemy wykorzystać drugiego świętego Franciszka.

Ksiądz również się uśmiechnął, lecz bez wesołości.

- W piekle nie ma świętych, eminencjo - odpowiedział. - Obawiam się, że taki czeka mnie los, kiedy to wszystko się skończy.

- Możliwie - odparł kardynał. - Ale może postaram się dla ciebie o mitrę biskupią, zanim trafisz do tego szczególnego piekła na ziemi.

Chciałbyś, Francis?

- Nie szukam nagród, eminencjo. To moja służba i mój obowiązek.

- Nikt, ani człowiek, ani ksiądz nie ma obowiązku sprzątać moralnych brudów po kimś, kto powinien wykazać się większą rozwagą.

- Ksiądz jest tylko człowiekiem, eminencjo. Od początku do końca człowiekiem. A papież jest tylko księdzem.

- Ty chcesz mnie uczyć etyki religijnej? - Kardynał uśmiechnął się łagodnie.

- To prosta zasada.

- Której nas wszystkich uczono w seminarium. Ale zwykłego człowieka uznano by za szatana za to, co zrobił ten namiestnik Chrystusa.

Przyjdzie czas, że będzie smażył się w piekle. Teraz ma zostać świętym.

- To są frazesy, eminencjo. Niezbadane są wyroki Boga i cuda, których dokonuje.

- Wątpię, czy to ma coś wspólnego z Bogiem, czy jego cudami, Francis - odrzekł kardynał. - Bardzo w to wątpię.

Delaney i Finn zostali sami w mieszkaniu. On usiadł obok niej na kanapie. Mówił miękkim i cichym głosem, z leciutką śpiewną intonacją, która zdaniem dziewczyny nie mogła być prawdziwa, bo policjant z pewnością pochodził z nowojorskiej Hell's Kitchen, a nie z dublińskiej Fade Street. Co prawda, Finn niezbyt się na tym znała. Z drugiej strony, miała swój rozum i charakterystyczną dla Środkowego Zachodu nieufność do ludzi zbyt miłych bez wyraźnego powodu. Matka mawiała, że najlepiej smakuje cukierek od nieznanego.

- Prawdopodobnie to był jakiś ćpun, który szukał czegoś do sprzedania - powiedział detektyw. - To potworne, co się stało, ale zamordowanie doktora Crawleya wydaje się straszliwym zbiegiem okoliczności. Chyba pani to rozumie. W dodatku pokłócili się państwo dziś po południu.

- Nie rozumiem, jaki to może mieć związek.

- Ja również. Dlatego tu jestem, by się przekonać, czy te sprawy mają ze sobą coś wspólnego, czy nie.

- Nie mają.

- O co się państwo pokłócili?

- Różnica zdań na temat dzieła sztuki. W jednej z szuflad w magazynie znalazłam rysunek. Byłam pewna, że jego autorem jest Michał Anioł. Doktor Crawley uważał inaczej. Doszło do ostrej wymiany zdań. Zwolnił mnie.

- Różnica zdań to za mało, by kogoś zwolnić.

- Zgadzam się.

- Więc dlaczego to zrobił? - zapytał Delaney, uśmiechając się delikatnie.

- No i mamy kolejną zagadkę.

- Nie podobało mu się, że ktoś tak młody jak ja podważa jego kompetencje. Ten człowiek miał wygórowane poczucie własnej wartości.

- Czy on znał Petera? - zapytał cicho Delaney.

- Nie, nie sędzę.

- Domyśla się pani, kto mógłby tak rozgniewać się na Crawleya, żeby go zabić?

- Nie znałam go zbyt dobrze.

- Co się stało z rysunkiem Michała Anioła?

Zmarszczyła brwi. To pytanie wydało jej się dziwne i podzieliła się z nim tym wrażeniem.

- Przypuszczam, że ten rysunek jest cenny - powiedział.

- Oczywiście.

- Mamy więc motyw zbrodni - odparł, wzruszając ramionami.

- Ostatni raz widziałam go w rękach Crawleya. Włożyłabym rysunek z powrotem do octanowej okładki...

- A po co w ogóle pani go wyjmowała? - zapytał ostro Delaney.

Zawahała się. Dlaczego tak go ten rysunek interesuje? Przecież nie ma to nic wspólnego ze śmiercią Petera czy Crawleya. Wyjęła szkic z okładki, by móc zrobić zdjęcia, lecz postanowiła, że nie powie tego Delaneyowi.

Jeszcze nie teraz.

- Chciałam mu się lepiej przyjrzeć. - Nie było to kłamstwo.

- Ale był w okładce, kiedy Crawley go wziął?

- Tak.

- I wtedy widziała go pani po raz ostatni?

- Tak.

- Crawley nie włożył go do szuflady?

- Mógł to zrobić po moim wyjściu.

- Ale nie widziała pani, jak go wkłada?

- Nie.

Delaney oparł się o poduszki kanapy i spojrzał na Finn. Piękna irlandzka dziewczyna z twarzą niewinnego dziecka, trudno mu więc było zdecydować, czy mówi prawdę, czy nie. Jutro będzie wiedział więcej, po obejrzeniu taśm z kamer zainstalowanych w muzeum i po rozmowie z kilkoma osobami.

- Jest pani mądrą kobietą, prawda?

- Chciałabym za taką uchodzić.

- Kto pani zdaniem mógł zabić pani chłopaka i dlaczego ktoś chciałby zrobić coś tak strasznego?

- Nie mam pojęcia.

- A gdyby była pani na moim miejscu, co by pani pomyślała?

- To, co już wcześniej pan pomyślał: że istnieje związek między tymi dwoma zgonami.

- Nie zgonami. Morderstwami. To ogromna różnica.

- Czy musi być jakiś powód? - zapytała. - Nie może być to zwykły zbieg okoliczności?

W jej głosie brzmiała prośba. Była tak zmęczona, że czuła niemal fi-

zyczny ból. Miała wrażenie, że stała się nagle przestępcą, a nie ofiarą.

Delaney przyglądał jej się przez chwilę w zamyśleniu.

- Jak pani sądzi, co by się stało, gdyby wróciła pani pół godziny później? - zapytał w końcu. - To istotne pytanie, nieprawdaż? Lub też co by się stało, gdyby zamiast do siebie poszła pani do Petera.

- Dlaczego zadaje mi pan te głupie hipotetyczne pytania? Peter nie żyje. Nie wie pan, dlaczego; ja też nie wiem, ale to pan powinien się tego dowiedzieć. - Pokręciła głową. - Ciągłe pyta mnie pan o rysunek. Dlaczego to tak pana interesuje? Pomyliłam się. To nie był Michał Anioł, w porządku?

- Doktor Crawley miał sztylet wbity w usta. Sądzymy, że to marokańska broń. Nazywa się kumia. Wie pani coś na ten temat?

- Nie.

- Peter mógł zginąć od takiego samego noża. Na pewno nie widziała pani takiego sztyletu w muzeum?

- Nie.

- Wygląda pani na zmęczoną.

- Nie pan zgadnie, kto jest temu winien.

Delaney spojrział na zegarek. Minęła pierwsza w nocy.

- Czy ma pani kogoś, kto mógłby z panią zostać?

- Dam sobie radę.

- Dziecko, nie może pani zostać sama.

- Na litość boską, nie jestem dzieckiem! Potrafię o siebie zadbać.

Z trudem powstrzymała się, by nie wybuchnąć płaczem. Jedyne, czego

pragnęła, to położyć się do łóżka i usnąć. Delaney wstał.

- W takim razie najlepiej będzie, jeśli sobie pójdę - powiedział cicho.

- Tak.

Delaney podszedł do drzwi, omijając czerwoną plamę, po czym odwrócił się.

- Jest pani pewna, że to był Michał Anioł?

- Tak - odparła obojętnym głosem. - To był Michał Anioł. Nie obchodzi mnie, co powiedział Crawley i dlaczego to powiedział.

- Może z tego właśnie powodu zginął - rzekł Delaney. - Nie pomyślała pani o tym? A przez to, że pani o tym wiedziała, mógł zginąć Peter zamiast pani?

- Chce mnie pan przestraszyć.

- Niby dlaczego miałbym to robić?

Odwrócił się i wyszedł. Chwilę później usłyszała stuk zatrzymującej się windy i już go nie było. Została sama. Popatrzyła na plamę krwi i uciekła spojrzeniem w bok. Dlaczego on chciał ją przestraszyć i dlaczego tak go interesował rysunek, którego autorem pewnie wcale nie był Michał Anioł?

Zwlokła się z kanapy, starannie zamknęła drzwi, założyła łańcuch i omijając plamę na dywanie, poszła do sypialni, nie gasząc światła w salonie. Nie byłaby w stanie zasnąć dziś po ciemku.

Rozebrała się, wyjęła długi podkoszulek z napisem „Ohio - Home of Elsie” i dużym rysunkiem krowy z naszyjnikami ze stokrotek i położyła się do łóżka. Wyłączyła nocną lampkę. Smuga światła z otwartych drzwi

padła na brzeg posłania. Wokół niej przetaczało się życie miasta niczym niekończąca się, wielka burza energii. Budynek trzeszczał, winda dziwnie dudniła, z pobliskich wieżowców dobiegł krzyk, ktoś na dole otworzył z łoskotem okno. Może głupio zrobiła, zostając tu na noc.

Przypomniała sobie, jak to było, gdy umarł ojciec. Miała wtedy czternaście lat. Kiedy matka powiedziała jej, że tata zmarł na zawał serca w jakimś zapomnianym przez Boga i ludzi miasteczku w Ameryce Środkowej, gdzie prowadził wykopaliska, leżała w łóżku tak jak teraz, wpatrywała się w sufit, słuchała odgłosów nocy i zastanawiała się, jak świat może iść dalej, skoro ojciec nie żyje, odszedł i już nie wróci, usunięty z ogólnego porządku rzeczy, wygnany ze wszechświata. Peter też nie żył. Nigdy już nie usłyszy jego głosu, nie poczuje jego warg na swoich ani nie będzie miała okazji zdecydować, czy pójść z nim do łóżka, czy nie.

Zamknęła oczy i zaczęła słuchać z uwagą, starając się ze wszystkich sił poczuć jakąś jego cząstkę pozostałą w mieszkaniu. Łzy znowu zaczęły ją palić pod powiekami. Nie pomogło wtedy, gdy umarł ojciec, i teraz też nie. Za to będzie się pojawiać nieoczekiwanie. Wiedziała, że podobnie jak ojca, będzie widywać Petera całymi tygodniami za rogiem, mignie jej w tłumie przechodniów, zobaczy jego twarz w przejeżdżającej taksówce, usłyszy szept jego głosu, którego wcale nie było, a potem powoli, w miarę upływu czasu, jego obraz będzie się rozwiewać jak szelest suchych liści na wietrze, aż w końcu zniknie na dobre. Wspomnienia i stare kości w wypadku ojca zostały pogrzebane w symbolicznym grobowcu w dżungli, w zimnej kamiennej głębi jakiejś czarnej studni bez dna.

Leżała tak przez dłuższy czas, aż w końcu usiadła na łóżku. Matka była teraz daleko, na półwyspie Jukatan.

Uczestniczyła w pracach wykopaliskowych przy grobach królewskich w Copan. Finn wiedziała jednak, że jej szalona staruszka odsłuchuje od czasu do czasu wiadomości, a ona bardzo potrzebowała z kimś porozmawiać, choćby za pośrednictwem poczty głosowej. Zapaliła nocną lampkę, wzięła telefon i zaczęła wystukiwać numer matki w Columbus. Czekwała, wsłuchując się w sygnał i gdy odezwał się schrypnięty głos matki, serce niemal przestało jej bić. Żółć jak gorący kwas podeszła jej do gardła. Finn delikatnie odłożyła słuchawkę na widełki, dochodząc do wniosku, że nie będzie straszyć matki spanikowanym głosem, bo tak by brzmiał, gdyby się odezwała.

Wykonany przez nią szkic rysunku Michała Anioła zniknął z notesu przy telefonie. Ostrożnie wzięła do ręki bloczek, przesuając palcami po czystej stronie. Ktoś, kto go zabrał, wyrwał również kilka następnych kartek, by nie pozostał po nim żaden ślad, jakby w ogóle nie istniał. Jak tata. Jak Peter. Jak ona, gdyby zabójca nie spanikował.

Odwróciła się i spuściła bose stopy na chłodną drewnianą podłogę.

Crawley nie żyje, Peter nie żyje, zrobiony przez nią szkic zniknął. Ktoś starał się zatrzeć wszelki ślad po kartce z notesu, jakby w ogóle nie istniała. Ale dlaczego? Chodziło o fałszerstwo? O coś, co muzeum Parker-Hale chciało zrzucić na biednego kustosza z innego muzeum? Nie wydawało się to prawdopodobne; nie z powodu jednego, niezarejestrowanego rysunku. Poza tym renomowane muzeum nie podjęłoby takiego ryzyka z po-

wodu domniemanego szkicu Michała Anioła.

Dałaby głowę, że słyszy czyjeś kroki na drabinie przeciwpożarowej za kuchennym oknem. Było zamknięte, lecz wystarczyło owinąć rękę koszulą i rozbić szybę. Rozejrzała się w panice po sypialni i zobaczyła kij i rękawicę do baseballu, stojące w rogu przy drzwiach. Złapała kij i pobiegła do wnęki kuchennej, zatrzymała się przy zlewie i walnęła kijem w ciemną szybę, rozbijając ją w kawałki. Nie usłyszała jednak żadnych kroków człowieka zbiegającego po drabinie, tylko brzęk szkła spadającego z wysokości czterech pięter i roztrzaskującego się na chodniku.

Nie zastanawiała się nad tym, co zrobiła. Tam ktoś mógł być i jeżeli Delaney miał rację, to człowiek, który zabił Petera i prawdopodobnie Crawleya, mógł teraz ścigać ją. Nie wypuszczając kija z ręki, pospieszyła do sypialni, zabierając po drodze stojący przy kanapie plecak.

Wyrzuciła z niego na łóżko książki, zostawiając jedynie aparat fotograficzny i kosmetyczkę, którą wszędzie ze sobą zabierała. Potem poszła do łazienki, zgarnęła wszystko ód szamponu po tampony i wepchnęła do plecaka, dorzucając jeszcze cztery lub pięć par majtek, dwa staniki, sześć T-shirtów i kilka par skarpet.

Włożyła obcisłe czarne dżinsy Gapa, wsunęła stopy w tenisówki i naciągnęła na głowę czapkę baseballową. Chwilę później zbiegała po schodach, zamiast czekać na windę. Dotarła na parter lekko zasapana, odpięła stojący pod schodami rower i wyszła na dwór. Spojrzała na zegarek: za kwadrans druga. Niezbyt odpowiednia pora na ucieczkę, ale nie miała wyboru. Po dwóch morderstwach wydawało jej się, że za chwilę ktoś

strzeli jej w plecy.

Wrzuciła plecak do koszyka z przodu, wskoczyła na siodełko i pomknęła Fourth Street do First Avenue. Tam zsiadła z roweru i podeszła do budki telefonicznej. Z tylnej kieszeni dżinsów wyjęła czarny notesik, wrzuciła ćwierć dolara do szczeliny automatu i wystukała numer.

- Coolidge - odezwał się męski głos po trzecim sygnale.

- Czy to ty, Eugene?

Tak naprawdę miał na imię Jewgienij, ale przybrał formę amerykańską.

- Tak. A kto mówi? - zapytał z lekkim niepokojem w głosie, jakby szukało go KGB lub jego matka.

- Finn Ryan. Jestem w kłopotcie.

- Fiiin! - wykrzyknął młody człowiek.

Był jednym z jej uczniów na kursach języka angielskiego i miał bzika na punkcie jej piersi - lub tyłka, w zależności od tego, co w danej chwili miał przed oczyma - chociaż wiele razy temu zaprzeczał.

- Co za problema ty masz? Rozwiążę ci ją.

Jewgienij pracował na nocną zmianę w hotelu Coolidge.

- Rozwiążę ci go - poprawiła Finn. - Potrzebuję pokoju na tę noc.

- Tutaj? - zapytał ze zgrozą w głosie.

Uśmiechnęła się. Widziała jego hotel. Był to trzypiętrowy murowany dom, wyglądający jak gołębnik, przycupnięty pod mostem Manhattan przy końcu Division Street, jakby chciał się zdystansować od domów noclegowych na Bowery

- Tak. Nie bój się. Mam kartę kredytową. Zapłacę.

Odpowiedział jej gorzki śmiech. Minęło ją sześciu czarnych nastolatków goniących starszego mężczyznę na rowerze, który rzucał w nich chyba książkami telefonicznymi, wyciąganymi z przewieszanej przez ramię zniszczonej torby na listy. Nowy Jork. Musi jak najszybciej znaleźć kryjówkę.

- My nie przyjmujemy kart kredytowych, tylko gotówkę.

- My nie przyjmujemy kart kredytowych - poprawiła go odruchowo.

- Tak, nie przyjmujemy.

- Ale ja nie mam gotówki.

- Ja mam - odpowiedział Jewgienij. - Oddasz mi później, tak?

- Tak - odrzekła, nie bardzo przekonana, czy chce być dłużniczką osiemnastoletniego pryszczatego Rosjanina, oddającego się marzeniom o jej ciele.

- Przyjeżdża zaraz - powiedział. - Taka ładna dziewczyna nie powinna tak późno chodzić po ulicy - Zaśmiał się. - Brzydka dziewczyna też nie powinna tak późno chodzić po ulicy.

- Już jadę. Jeżeli nie zjawię się za dwadzieścia minut, dzwoń po gliny.

Na drugim końcu słuchawki rozległo się prychnięcie.

- Eugene Zubinow nigdy nie dzwoni po gliny, nawet dla tak pięknej dziewczyny jak ty, Fiiinn. Lepiej rusz tyłek i przyjedź tu szybko, żeby Eugene się nie martwił, capiche?.

- Capiche - uśmiechnęła się do słuchawki.

Odłożyła ją i wsiadła na rower, zastanawiając się, którędy jechać. First Street była jednokierunkowa w drugą stronę i w nocy nie mogła wjechać na chodnik. No to może Second Street i do dzielnicy finansów, pustej o tej porze. Gdyby coś jej się przytrafiło, nikt by jej nie pomógł. Zawróciła więc i pojechała do Avenue A, naciskając mocno na pedały, gdy mijała swój dom. Skręciła w prawo, a szerokie gumy zapiszczały o asfalt, gdy stanęła na pedałach, pracując nogami co siłą. Skręciła w Houston, gdzie nawet o tej porze panował większy ruch, cały czas trzymając się blisko krawężnika, uważając na parkujące samochody, otwierające się drzwi i niebezpiecznie lawirujące taksówki z lewej.

Kiedy dotarła do Eldridge Street i skręciła w lewo, wyczuła, że ktoś za nią jedzie. Za każdym razem, gdy wymijała jakiś samochód, kątem oka rejestrowała drugi rower w odległości jakichś stu metrów. Było to kosztowne cacko ze złoto-czarną ramą z molibdenu, rączkami w kształcie baranich rogów i cienkimi jak brzytwa kołami. Jadący na nim cyklista ubrany był w czarną obcisłą koszulkę, czarne spodenki ze spandeksu, czarne sportowe buty i czarny kewlarowy kask przypominający kształtem głowę drapieżnego dinozaura, ze spiczastym tyłem i ciemną szybą z przodu. Był to strój kurierów rozwożących po mieście paczki i listy, prawdziwych szaleńców, którzy nikomu nie ustępowali drogi: ani autobusom, ani śmieciarkom, ani innym kurierom na rowerach, ani nawet przechodniom.

Siedział jej na ogonie, nie przyspieszając i nie zwalniając. Gdy dotarła do Grand Street, zaczęła się bać. Z początku myślała, że jego obecność to zwykły zbieg okoliczności, że po prostu jadą w tym samym kierunku. Ale

który kurier pracuje o drugiej w nocy? To mógł być gliniarz. Wiedziała jednak, że oni używają rowerów górskich i noszą łatwo rozpoznawalne nylonowe kamizelki w jaskrawych kolorach. Przypomniała sobie ten straszny dźwięk, który wydał z siebie Peter przed śmiercią, i mocniej nacisnęła na pedały. Pot spływał jej po bokach i między piersiami. Musi jakoś zgubić tamtego rowerzystę. Najlepszy sposób to zgubić się samej. Bez wahania skręciła w prawo, między samochody dostawcze stojące wokół Confucius Square, placu nazywanego przez jego bywalców „Confusion”, czyli zamieszanie. Ominęła mężczyznę niosącego dwa wypatroszone prosiaki, wjechała w wąski zaułek zastawiony aż po samą górę kartonami ze zgniłymi warzywami, po czym skręciła w jeszcze węższą uliczkę, tym razem z drewnianymi kratami, które zaczęły się przewracać, gdy je mijiała. Usłyszała krzyk w języku chińskim, czyjaś ręka chwyciła ją za podkoszulek, a przed nosem Finn przeleciała butelka, rozbijając się z hukiem o mur.

Łkając, skręciła w Pell Street tak gwałtownie, że omal nie spadła z roweru, i znalazła się w tętniącym nocnym życiem Chinatown. Wyminęła slalomem liczne samochody i wjechała na chodnik, potrącając wystawione na ulicy przed małym sklepem dziwne owoce i warzywa, po czym przejechała przed nosem starszemu mężczyźnie w czarnej czapce i kapciach - minęła go z tak bliska, że ramieniem wytrąciła mu z ust niedopałek skręta, wyrzucając w górę snop iskier.

Wjechała w Doyers Street i skręciła ostro w lewo, wciąż widząc za sobą drapieżny kask prześladowcy. Był teraz bliżej, niecałe trzydzieści me-

trów za nią i już nie krył się z tym, że ją goni. Dokładnie przed sobą miała skrzyżowanie Doyers Street i Bowery. Światła zmieniały się właśnie z żółtych na czerwone. Z mocno bijącym sercem i z płucami, którym brakowało tchu, zmusiła się do jeszcze większego wysiłku. Dojeżdżając do skrzyżowania w momencie, gdy światło zmieniło się na czerwone, zaciśnęła powieki, odmówiła krótką modlitwę i przejechała przez ulicę. Usłyszała pisk hamulców, ryk klaksonów i chrzęst ścierających się blach. Nie mając czasu ani ochoty patrzeć, jakie spowodowała spustoszenie, przecięła Kimlau Square w stronę Divison Street, po czym skręciła w Market, prowadzący do East River, płynącej w cieniu mostu. Na koniec skręciła jeszcze raz, wprost pod gigantyczną metalową konstrukcją, i znalazła się przed brudnym wejściem do hotelu Coolidge. Ciężko dysząc, zeskoczyła z roweru, przepchnęła go przez podwójne drewniane drzwi i wreszcie mogła się zatrzymać.

Eugene, chudy, ciemnowłosy, ubrany w niedopasowany czarny, błyszczący garnitur i białą koszulę bez kołnierzyka, wyszedł zza drewnianego okratowania u stóp schodów, wyglądającego jak klatka dla ptaków.

- Masz kłopoty, Fiiin?

- Ukryj gdzieś ten rower. Jeżeli zjawi się tu gość w spodenkach ze spandeksu i kasku w kształcie łba dinozaura, to mnie nie widziałeś.

- W kasku w kształcie łba dinozaura?

- I spodenkach ze spandeksu. - Wyszarpnęła plecak z bagażnika, usiłując odzyskać oddech. - Daj mi klucz, a będę cię kochać na wieki.

Zaczekała, aż chłopak wróci do klatki, weźmie klucz z pustawej tabli-

cy wiszącej na ścianie i przyniesie go niczym magik wyczarowujący coś z rękawa. Najwyraźniej gapił się na plamę potu widoczną między jej pier-
siami.

- Trzecie piętro, pokój w głębi, tylko dla wybranych.

- Dzięki, Eugene.

Cmoknęła chłopaka w policzek i wbiegła po schodach na górę.

Jewgienij popatrzył za nią ze szczęśliwym uśmiechem na twarzy. Po chwili westchnął, zrobił rowerem małe koło i wprowadził go do biura mieszczą-
cego się na tyłach klatki.

- Fiiin - szepnął do siebie, oddając się jakiemuś młodzieńczemu ma-
rzeniu. - Fiiin.

Pokój czterysta dziewięć był nieco większy od więziennej celi i w tylko trochę lepszym stanie. Miał z grubsza trzy na trzy metry; małe, brudne okno wychodziło na plataninę stalowych przęseł mostu i kawałek East River. Na drewnianej podłodze leżał kwadratowy dywan w wyblakłym niebieskim kolorze, stało brązowe żelazne łóżko i beżowa komoda z trzema szufladami, a nad nią popękane lustro.

Przez ścianę słyhać było skrzypienie sprężyn łóżka. Wezglowie rytmicznie uderzało o ścianę, a męski głos powtarzał: „O, mamó, o, mamó”.

W małej łazience pomalowanej na pomarańczowo pływała w sedesie zużyta prezerwatywa i niedopałek papierosa, a na dnie wanny tkwiły w bezruchu dwa karaluchy. Nad starą porcelanową umywalką były dwa osobne krany i oba kapały.

Finn rzuciła plecak na wąskie łóżko, po czym sprawdziła, czy drzwi są dobrze zamknięte. Potem poszła do łazienki i ochlapała twarz letnią wodą z kranów. Zerknęła na swoje odbicie w popękany i obtłuczonym lustrze i zaraz odwróciła wzrok.

Jej chłopakowi poderżnięto gardło, a potem pędziła przez pół miasta w środku nocy i to wszystko nie wpłynęło korzystnie na jej wygląd. Napięcie i zmęczenie widoczne na twarzy to jeszcze nic. pod oczyma miała takie wory, że mogłaby w nich zmieścić cały lunch i udawać chomika. Woląla otrzeć twarz rękawem niż użyć jednego z szarych hotelowych ręczników wiszących na plastikowym wieszaczku przy umywalce. Wróciła do pokoju, zgasła czterdziestowatową żarówkę nad głową i położyła się na starym

żelaznym łóżku.

Przez uchylone okno z siatką wpadało światło neonu. „O, mamó” za ścianą zmieniło się w „O Boże”. Facet miał niespożyte siły. Na zewnątrz i nad głową dudniły przejeżdżające po starym żelaznym moście ciężarówki, a samochody osobowe bzykały jak owady przy zetknięciu z okratowaną powierzchnią. „O Boże” przeszło w „Zaraz się spuszcze” i tak się stało. Po serii chaotycznych pomruków i pisków w końcu zaległa cisza. Finn spulchniła cienką poduszkę pod głową i spojrzała na zegarek. Wskazywał trzecią.

Według jej matki, antropologia i archeologia to dziedziny opierające się jedynie na domysłach i indywidualnej interpretacji, popartych odrobinią logiki dla uzyskania naukowego poblasku. Spróbowała zastosować tę samą metodę do obecnej sytuacji. Z początku nic nie wskazywało na to, by coś łączyło morderstwa Petera i Crawleya, lecz zniknięcie szkicu z notesu przy telefonie i ten nocny pościg wszystko zmieniały. Drapieżny Kask musiał obserwować mieszkanie i czekać na nią. Pewnie zamierzał czekać całą noc. Gdyby śledził ją w dzień, łatwiej byłoby mu się ukryć między samochodami. Bez odpowiedzi pozostawało jednak pytanie, dlaczego w ogóle ją śledził. Jedyne powód, który się nasuwał, to rysunek Michała Anioła. Ktoś tak bardzo chciał ukryć fakt jego istnienia, że gotów był zabić - i to nie raz.

Zmarszczyła czoło i ziewnęła. Ten wywód wydawał się sensowny, ale brakowało w nim logiki. Dlaczego ktoś ją śledził, skoro rozmawiała z glinami? A w ogóle wystarczyło, żeby Crawley ukrył lub zniszczył rysu-

nek i wtedy sekret byłby bezpieczny, bo komputer i źródła informowały, że autorem szkicu jest Santiago Urbino, szesnastowieczny drugorzędny artysta. Jedynym dowodem było zrobione przez nią zdjęcie. Utkwiła wzrok w plecaku leżącym w nogach łóżka. Czy to możliwe? Czy ten facet w kasku lub ktoś, dla kogo pracował, wiedzieli, że zrobiła kilka zdjęć? Niemożliwe. W archiwum nie było nikogo, kiedy fotografowała rysunek, i nikomu o tym nie powiedziała, nawet Peterowi. Znowu ziewnęła. Miała jeszcze jedną kartę w grze, lecz musiała z tym poczekać do rana. Za ścianą usłyszała śmiech i sprężyny zaskrzypiały, gdy jedno z kochanków wstawało z łóżka. Skrzywiła się. Przynajmniej inni dobrze się bawili tej nocy.

Musiała usnąć, bo nagle się obudziła. Ruch na moście się zmniejszył, jedynie od czasu do czasu słyszała nad głową przejeżdżającą z pomrukiem ciężarówkę. Na szczęście spała mocno i nic jej się nie śniło. Kiedy spojrzała na zegarek, zorientowała się, że wciąż jest ubrana. Chwilę trwało, zanim dotarło do niej, która jest godzina. Była szósta rano i przez brudne okno do wnętrza wpadało światło. Z sąsiedniego pokoju nie dochodził żaden dźwięk.

Co więc ją obudziło? Zesztywniała i zaczęła nasłuchiwać. Piski i skrzypienia, charakterystyczne dla starych budynków, odbijające się echem dudnienie dobiegające z mostu, odległe wycie syren i drapanie.

Myszy może coś gorszego - szczury? Słyszała o nowojorskich szczurach, lecz widziała ich zaledwie kilka. Wielkie, obrzydliwe stworzenia z żółtymi zębami, niekiedy tak długimi, że wystawały nad dolną wargą. Bohaterowie marnych horrorów w kinach dla zmotoryzowanych.

Nie, to nie był szczur rodem z Hollywood. Otworzyła szerzej oczy i zapatrzyła się w jeden punkt, gdzieś między łóżkiem a sufitem, tak jak robiła to w czasie pozowania, nie koncentrując się na niczym i czekając, aż dźwięk się powtórzy. I tak się stało. Nie było to drapanie, lecz uporczywe tarcie metalu o drewno. Usiadła ostrożnie i spojrzała na drzwi.

Zobaczyła metalowy języczek poruszający się w górę i w dół w szparze między drzwiami a futryną, w poszukiwaniu zasuwki. Metalowa linijka.

Ktoś usiłował się dostać do środka; wątpliwe, by był to Eugene. Drapieżny Kask? Możliwe. Spuściła nogi na podłogę i sięgnęła po plecak. Oto

znalazła się w sytuacji, która nigdy nie zdarzyłaby się w filmie: za chwilę kobietę zgwałci lub zamorduje facet z nożem sprężynowym, a jej chce się tak strasznie siusiu, że zaraz zleje się w majtki.

- Cholera! - szepnęła.

Głośno odchrząknęła i tupnęła w podłogę. Skrobanie ustało, a błyszczący koniec linijki znieruchomiał. Przeszła na palcach do łazienki i zsunęła spodnie i majtki. Przykucnęła nad muszlą tak, by nie dotknąć żadnego jej punktu, opróżniła pęcherz i podtarła się w iście ekspresowym tempie. Potem spuściła wodę, podciągnęła majtki i spodnie, patrząc, jak prezerwatywa i niedopałek papierosa wirują chaotycznie razem z dwoma karaluchami, które, gdy spała, przeniosły się do muszli klozetowej, zawiązując samobójczy pakt. Zapięła dzinsy, wymknęła się z łazienki i chwyciła plecak. Spojrzała na drzwi. Linijka wciąż tkwiła nieruchomo w szparze. Oparła się o łóżko tak, że sprężyny zaskrzypiały, po czym westchnęła dramatycznie, jakby szykowała się do snu. Następnie podeszła do okna i czekała, nie odrywając wzroku od drzwi.

Po minucie linijka znowu zaczęła się ruszać. Finn zarzuciła plecak na ramię i cicho otworzyła okno. O dziwo, bez trudu podciągnęła je w górę. Wyjęła siatkę, postawiła ją na podłodze i wystawiła głowę na zewnątrz, by sprawdzić, czy zdoła tędy uciec. Jeżeli nie, będzie musiała stanąć przy drzwiach i walnąć gościa plecakiem, gdy w końcu pokona zamek.

Za oknem był podest i schody przeciwpożarowe prowadzące na dach.

Niewiele, ale lepsze to niż nic. Przerzuciła nogę przez parapet, pochyliła głowę i znalazła się na chybotałej konstrukcji, która zadrżała pod jej

ciężarem. Przerdzewiałe sworznie wystawały z muru. Finn zaczęła pisać się w górę najciszej jak umiała.

Na szczycie był wygięty uchwyt. Złapała go i wciągnęła się na dach.

Spodziewała się znaleźć jakieś drzwi prowadzące na klatkę schodową - na próżno. Zobaczyła jedynie pofałdowaną, powleczonej smołą powierzchnię dachu z połyskującymi gdzieniegdzie kałużami, sześcioma rurami kanalizacyjnymi i wygiętą instalacją wentylacyjną. Trafiła z deszczu pod rynnę.

Nie mogło być gorzej.

Okazało się, że może. Usłyszała głośny brzęk, gdy ktoś wyszedł na schody przeciwpożarowe. To musiał być Drapieżny Kask. Oszacowała, że ma jakieś pół minuty, zanim on wejdzie na dach. Z lewej strony lśniły w porannym słońcu okna Confucius Tower, z prawej widać było brudną smugę East River i mozaikę dachów między rzeką a hotelem Coolidge. Mogła wzywać pomocy, lecz nic by to nie dało. Była zdana jedynie na siebie.

Jakieś półtora metra nad jej głową wznosiły się najniższe dźwigary mostu Manhattan. Wybiegła na środek dachu, wspięła się po rurze wentylacyjnej, chwyciła oburącz szeroki dźwigar, potem objęła go nogami, wygięła plecy w łuk i po chwili leżała już na metalowej belce. Usiadła i spojrzała na schody przeciwpożarowe. Dostrzegła czubek czarnego kasku. Wstała i trzymając się środka belki, pobiegła przed siebie, wstrzymując oddech, gdy dach hotelu zniknął, a ona znalazła się na wysokości trzech pięter nad chodnikiem.

Co jakiś czas musiała się zatrzymywać i omijać pionowy dźwigar. Im

dalej biegła, tym szybciej biło jej serce, a ona czuła się coraz mniej pewnie. Puste miejsce pod mostem służyło za składnicę porzuconych samochodów i gdyby spadła, trafiłaby prosto na nie. Odważyła się obejrzeć i z przerażeniem stwierdziła, że Drapieżny Kask też bawi się w akrobacje na dźwigarach, tyle że nie okazuje zdenerwowania i zręcznie omija pionowe belki, nie zwalniając przy tym.

Doganiał ją i Finn wiedziała, że nie zdoła dotrzeć do końcowego wspornika, gdzie wreszcie mogłaby zejść na dół. Po pięciu minutach odległość między nimi wynosiła już dziesięć metrów i szybko się zmniejszała. Przy następnej pionowej belce Finn będzie musiała znowu zwolnić i straci kolejne cenne minuty; znajdą się na tym samym dźwigarze. Usłyszała za sobą cichy trzask i odwróciła się przerażona. Ten sam dźwięk słyszała w nocy tuż przed śmiercią Petera.

Człowiek bez twarzy, w czarnym kasku i obcisłych spodenkach sunął po dźwigarze pewnie i ze świetnym wyczuciem równowagi, z długim, cienkim nożem, który trzymał między kciukiem a palcem wskazującym niczym malarz portrecista pędzel. Dotarł bez trudu do ostatniej pionowej belki i zaczął ją obchodzić, przytrzymując się jedną ręką. Z wnętrza kasku dobiegł Finn cichy chichot i wtedy coś w niej drgnęło. Zamiast uciekać przed czarną, złowieszczą postacią w nieprzyzwoitym stroju, zrobiła coś zupełnie przeciwnego. Zawróciła i zsuwając z ramienia plecak, podbiegła do Drapieżnego Kasku i z całej siły uderzyła go plecakiem między nogi w chwili, gdy obchodził pionową belkę.

Krzyknął, gdy plecak trafił go w pachwinę, wytrącając z równowagi w

najgorszym momencie. Wypuścił z ręki nóż, który błysnął w słońcu, obrócił się w powietrzu i poleciał w dół, po czym odbił się od pękniętej przedniej szyby starego samochodu i wpadł w kępę rosnących obok chwastów. Drapieżny Kask trzymał się pół sekundy dłużej, po czym zrozumiał, że nie zdoła uchwycić się dźwigara. Wykonał wolny półobrót i spadł z krzykiem na tę samą przednią szybę co nóż, tyle że nie odbił się, lecz wleciał do środka samochodu. Upadek roztrzaskał szybę kasku niczym skorupę jajka i Finn zobaczyła twarz swojego prześladowcy - młodą, zakrwawioną i przerażoną, o azjatyckich rysach, chińskich lub wietnamskich. Mężczyzna się nie poruszał. Płacząc ze strachu i z ulgi, patrzyła na niego, zastanawiając się, jak jej życie mogło tak szybko i tak całkowicie się odmienić. Potem zarzuciła plecak na ramię, odwróciła się i ruszyła w dół na ulicę.

Porucznik Vincent Delaney stał na chodniku z rękoma w kieszeniach i patrzył na narożny dom. Ulica zastawiona była wozami strażackimi, karetkami i radiowozami. Wszędzie błyskały światła. Miejsce zdarzenia ogrodzono taśmą, za którą kłębił się tłum ludzi w szlafrokach i kapciach. Większość z nich stała tu od kilku godzin i nie wyglądali na zadowolonych. Sierżant William Boyd, jego partner, wyszedł zza rogu, niosąc w rękach dwa styropianowe kubki z kawą, a w zębach zatłuszczoną torbę, niczym bernardyn. Podał Delaneyowi jeden z kubków i przełożył torbę do wolnej ręki. Palcem zrzucił wieczko ze swojej kawy, a potrząsając torbą, otworzył ją i podsunął porucznikowi.

- Pączka?

- Chętnie.

Delaney zajrzał do środka i wyjął pączka z czekoladową polewą. Odgryzł kawałek i popił go łykiem kawy. Boyd wybrał ciastko z kremem bananowym. Delaney znowu spojrzał na budynek. Całe górne piętro było kompletnie zwęglone.

- Czego się dowiedziałeś?

- Ogień wybuchł około czwartej trzydzieści. Na podeście czwartego piętra czuć benzynę, więc było to podpalenie.

Bill zjadł pączka i sięgnął do torby po następnego, tym razem z karmelizowanymi orzechami.

- Ktoś był na górze?

- Staruszek spod pięć B. Wcześniej wstaje, więc pierwszy wyczuł

dym. Zawiadomił sąsiadów, potem sam wyszedł. Nic nie wie o mieszkaniu pięć A. Mówi, że cały tył budynku zajął się od ognia.

Boyd splukał ostatni kawałek pączka ostatnim łykiem kawy.

- Byli już tam strażacy?

- Tak.

- Znaleźli coś?

- Nie.

Tym razem przyszła kolej na cynamonowego. Torba była już pusta,

Boyd wrzucił więc do środka kubek i ścisnął wszystko w kleistą kulkę.

- Twój talent do opowiadania, Billy, jest zdumiewający, podobnie jak twój apetyt.

- Przecież niczego nie znaleźli. Mam kłamać?

- Popytałeś ludzi?

- Ten stary gość spod pięć B mówi, że słyszał, jak ktoś schodził po schodach tuż po drugiej.

- Widział, kto?

- Nie.

- Coś jeszcze?

- Budka telefoniczna na rogu.

- Co z nią?

- Na wszelki wypadek sprawdziłem wykaz rozmów. Telefonowano z niej około drugiej dziesiątej.

- Interesujące.

- Bardziej interesujące jest to, dokąd telefonowano.

- Nie przeciągaj struny, Billy. To do ciebie nie pasuje.

- Do hotelu Coolidge.

- Tej noclegowni przy moście?

- Tak. Posłałem tam mundurowego, by wypytał nocnego recepcjonistę o ten telefon. Okazało się, że recepcjonista leży za kontuarem z pode-
rżniętym gardłem. Jakies dziesięć minut później przychodzi stary pijaczek
i mówi, że czarny diabeł wpadł przez okno do jego domu i zapaćkał
wszystko krwią.

- Co to, u diabła, ma znaczyć?

- Jakiś wietnamski punk w czarnym kolarskim stroju zleciał z mostu i
wpadł przez okno starego chevroleta, w którym spał ten pijaczek. Masakra.
Zabawne jest to, że w chwastach obok samochodu znaleziono nóż spręży-
nowy. - Billy spojrzał na budynek. - Myślisz, że to może mieć jakiś zwią-
zek?

- Tak, Billy; myślę, że może mieć. Powinniśmy tam pojechać i rozej-
rzeć się.

Wsiedli do nie oznakowanej crown victorii Delaneya. Boyd prowadził.

Włączyli się do ruchu na Sixth Street za tonącym we mgle osiedlem wie-
zowców Village View. Delaney spojrzał na budkę telefoniczną, a Boyd
wcisnął syrenę, przecinając First Avenue. Jadąc dalej Sixth Street, minęli
po drodze z pół tuzina restauracji serwujących indyjskie dania. Boyd
zmarszczył wielki, czerwony nos. Jego żołądek bez żadnych uprzedzeń
przyjmował zarówno pączki, jak i kurczaka tanduri .

Duży samochód terenowy przemknął na południe Second Avenue. Do-

jechali do skrzyżowania z Houston i Boyd już miał skręcić na zachód, gdy

Delaney krzyknął:

- Zatrzymaj się! To ona!

- Kto?

- Zatrzymaj ten cholerny wóz, dobrze?

Delaney dostrzegł najpierw burzę jasnorudych włosów wyłaniających się ze stacji metra, a potem całą postać Finn Ryan. Opony crown victorii zapiszczały w proteście, gdy Boyd gwałtownie zahamował i nie wiadomo dlaczego wcisnął klakson. Tymczasem Delaney usiłował dostać się na drugą stronę ulicy, lawirując między jadącymi samochodami.

Finn odwróciła się na dźwięk klaksonu i zobaczyła porucznika pędzącego ku niej przez sześć pasów Houston Street. Odskakiwał od taksówek i dostawczych vanów niczym uciekający przed obławą jeleni. Znieruchomiała na krótką chwilę, potem odwróciła się i ponownie zniknęła w czeluściach stacji metra. Zanim Delaney przebiegł na drugą stronę ulicy, już jej nie było. Zatrzymał się, ciężko dysząc, przy wejściu do metra. Finn Ryan zniknęła, a on nie miał pojęcia, gdzie jej szukać.

Finn przejechała jeden przystanek linią F do stacji Broadway - Lafayette, przesiadła się na linię G, a potem jeszcze raz na linię 4 kursującą do Brooklynu i wysiadła na stacji Bowling Green. Stała sztywno wyprostowana, z ręką zaciśniętą na metalowym uchwycie, wpatrując się w drzwi, lecz niczego i nikogo wokół siebie nie widząc. Pojawienie się Delaney'a przeppełniło miarę. Kiedy tak gnał przez ulicę, nie sprawiał wrażenia kogoś, kto chciał ofiarować pomocną dłoń. Już wcześniej podejrzewał ją o to, że ma coś wspólnego z zamordowaniem Petera i pewnie ze śmiercią Crawleya również. Dodanie jeszcze jednej ofiary - człowieka w czarnym kasku - nie zmniejszyłoby jego podejrzliwości, mimo że w tym wypadku było to działanie w obronie własnej. Nawet nie wiedziała, kim był ten dzieciak o azjatyckich rysach. Nagle stała się podejrzaną o wielokrotne morderstwo, ściganą przez policję po ulicach i w metrze.

Pociąg wjechał na stację Bowling Green na południowym końcu Manhattanu i Finn wróciła zdolność jasnego myślenia. Według planu następną stacją był Borough Hall w Brooklynie. Dość się namęczyła, by nauczyć się poruszania po Manhattanie, i nie miała ochoty na poznawanie nowej dzielnicy. Kiedy drzwi się rozsunęły, wysiadła z grupą młodych, jasnowłosych ludzi, którzy bez wątpienia chcieli zrobić wrażenie na Wall Street. Wyszła na powierzchnię, zerknęła w stronę, gdzie stały bliźniacze wieże, po czym odwróciła się i ruszyła do Bartery Park. Znalazła ławkę przy ścieżce do joggingu biegnącej wokół wielkiego palca Manhattanu i spojrzała ponad rzeką na Statuę Wolności, w porannej mgle wyglądającą

niczym duch. Finn zdjęła plecak, postawiła go na ławce i usiadła obok, podwijając nogę pod siebie. Musiała poważnie się nad sobą zastanowić. Nazywała się Fiona Katherine Ryan, urodziła się w Columbus w Ohio i studiowała historię sztuki na Uniwersytecie Nowojorskim. Spała najwyżej raptem z pięcioma facetami, wolała lody Haagen Daz od Ben and Jerry i nie wierzyła w to, co mówił Howard Stern w swoich audycjach radiowych i co pokazywali w serialu Seks w wielkim mieście. Była we Włoszech, spędziła trochę czasu w Amsterdamie i Paryżu i trzy razy w życiu porządnie się upiła. Nie paliła trawki, nie brała narkotyków, jedynie tylenol extra na bóle menstruacyjne. Martwiła się pryszczami, które wyskakiwały jej zimą na twarzy. Największym jej sekretem było to, że kochałaby się z Johnnym Deppem na środku Times Square, gdyby ją o to poprosił, co oczywiście nie mogło się zdarzyć. Miała świadomość, że jest inteligentna, może nawet ponad przeciętność; ładna, lecz nie piękna, co całkowicie jej odpowiadało. Lubiła małe zwierzęta, szczególnie koty. Nie przepadała za pajakami i anchois. Innymi słowy, była zupełnie normalna. Dlaczego więc znalazła się bez dachu nad głową, ścigają ją gliny i Azjaci z długimi nożami? Trafiła w sam środek czegoś, tylko nie miała pojęcia czego. Żałowała teraz, że nie pali. Westchnęła i zapatrzyła się w pomarszczoną taflę wody w miejscu, gdzie East River wpadała do Hudsonu. Tak właśnie się w tej chwili czuła - porwana przez prąd.

W szkole miała profesora od dwudziestowiecznej literatury angielskiej, którego przezywali Łysy Niedźwiedź, bo miał włosy na całym ciele i ani jednego na głowie; czterdzieści lat, w środku lutego przychodził do

szkoły w skarpetkach w romby i w szortach i bez końca opowiadał o teorii Amblera. Eric Ambler był autorem powieści sensacyjnych z początku dwudziestego wieku, tworzonych według jednego schematu: zwyczajna osoba, on lub ona, nagle znajduje się w samym środku nadzwyczajnego i najczęściej niebezpiecznego splotu zdarzeń. Łysy Niedźwiedź miał różne teorie na temat tego, dlaczego Ambler tak właśnie pisał, lecz jej zdaniem autor zdawał sobie sprawę z tego, że jego książki nie będą czytać szpie-dzy i mordercy, tylko zwykli ludzie, czemu więc nie miałby ich wciągnąć do gry?

Ją też wciągnięto do gry i nie wiedziała, jak z niej wyjść. W dodatku to wcale nie była gra. Gdyby oddała się w ręce Delaneya, musiałaby przede wszystkim wyjaśnić, dlaczego uciekła. Stały jej przed oczyma pokoje przesłuchań z serialu Prawo i bezprawie i wyobraziła sobie, jak przesłuchuje ją Lenny Briscoe, a potem trafia do jakiegoś więzienia kobiecego. Jedyne, co w tej chwili przychodziło jej do głowy, to wyjazd z miasta i powrót do Columbus. Miała klucz od domu, konto w banku i przyjaciół. Mogłaby tam zostać, przynajmniej do powrotu matki z Jukatenu. Byłaby bezpieczna. Ale czy rzeczywiście?

Ktoś czekał w jej mieszkaniu i poderżnął gardło Peterowi. Prawdopodobnie była to ta sama osoba, która zamordowała Crawleya i dziś rano próbowała załatwić ją. Bez wątplenia ten Azjata na rowerze był wynajętym zbirzem. Chociaż brzmiało to nieprawdopodobnie, ktoś czyhał na jej życie, bo widziała lub po prostu wiedziała o rysunku z notesu Michała Anioła i teraz nie przestaną jej za to ścigać. Bez trudu ustalą, kim jest

modelka o rudych włosach pozująca w New York Studio School czy w Cooper Union, nie wspominając o uniwersytecie. Bez trudu też wytropią ją w Columbus.

Rzeką przepłynął holownik, tworząc na powierzchni wody szeroką fałę. Co robisz, gdy toniesz i trzeci raz idziesz pod wodę? Wzywasz pomocy

Nie miała rogu byka ani gwizdka, ale miała numer telefonu. „Jeżeli to będzie sprawa życia lub śmierci; jeżeli z jakiegoś powodu nie będziesz mogła się ze mną skontaktować, zadzwoń pod ten numer. - Matka zmierzyła ją długim, groźnym spojrzeniem i jeszcze mocniej zmarszczyła brwi. - Mam na myśli prawdziwe kłopoty, dziewczyno; w przeciwnym razie wracasz do domu, kończysz tutaj studia i wychodzisz za mąż za Davida Weinerja.”

Poważna groźba. David Weiner, alias Weenie, pokochał ją w szóstej wiosnie życia i wciąż darzył płomiennym uczuciem. Był jedynym chłopcem w Columbus, który zwymiotował w czasie własnej bar micwy, ochlapując rabina i o włos omijając Torę, z której miał czytać. Weenie był teraz architektem przestrzeni, co tylko brzmiało egzotycznie. Tak naprawdę to niczego nie projektował. Mówiło się mu, ile osób zamieszka w domu, a on obliczał, ile potrzeba toalet i ile metrów sześciennych powietrza, żeby te osoby się nie podusiły. David był okropnie bogaty, lecz pozostał nudny jak flaki z olejem. Miał włosy jak szczotka ryżowa i tak wielkie stopy, że mógłby przejść jezioro Erie, zanurzając nogi jedynie do kostek.

Według słów matki właściciel tego telefonu awaryjnego pracował z oj-

cem. Powiedziała to jakoś dziwnie, jakby ojciec wcale nie był profesorem antropologii z Ohio. Finn zaczęła ją wypytywać, lecz mama zamknęła się jak małż w skorupie, a wyraz jej twarzy mówił, że córka mądrze zrobi, nie drażąc tematu. Niezmywalnym markerem zapisała numer na wewnętrznej stronie klapy plecaka w odwrotnej kolejności, dodając trzy dodatkowe cyfry z lewej i dwie z prawej. Potem kazała Finn nauczyć się go na pamięć. Nie tego należało się spodziewać po normalnej matce, która wysyłała córkę na uniwersytet, lecz Amelia McKenzie Ryan nie była normalną matką. Tak czy owak, o takiej właśnie sprawie życia lub śmierci wtedy mówiła.

Finn zarzuciła plecak na ramię i przeszła przez park do budki telefonicznej stojącej przy brzegu chodnika. Z kieszeni spodni wyjęła ćwierćdolarówkę, wrzuciła ją do szczeliny automatu i wystukała numer. Po trzecim dzwonku odezwała się automatyczna sekretarka.

„Tu Michael Valentine, Ex Libris, Lispenard trzydzieści dwa, Nowy Jork. Otwieramy tylko po wcześniejszym umówieniu się. Proszę zostawić nazwisko, numer telefonu i inne szczegóły, to może oddzwonię w najbliższym czasie. Do usłyszenia”.

Po sygnale nastąpiła cisza.

- Pieprz się! - mruknęła Finn i odwiesiła słuchawkę.

„Po wcześniejszym umówieniu się”? „Może oddzwonię”? „W najbliższym czasie”? Ten Michael Valentine na pewno nie był człowiekiem interesu. I to on niby miał jej pomóc wykaraskać się z tej sytuacji? Z drugiej jednak strony miał miły głos: baryton, lekko schrypnięty, z kryjącym się

gdzieś tam w głębi poczuciem humoru. Właściciele takiego głosu powinni wyglądać jak Al Pacino, w młodszej i wyższej wersji. I nigdy tak nie wyglądali.

Nie miała zielonego pojęcia, gdzie jest ulica Lispenard, złapała więc taksówkę i podała adres kierowcy. On też nie wiedział, ale przynajmniej miał plan miasta. Okazało się, że to niedaleko, okrążył więc Beaver Street, przejechał Broadway i zatrzymał się piętnaście przecznic dalej. Lispenard była wąską uliczką między Broadwayem a Sixth Avenue, ze starymi magazynami zaadaptowanymi na mieszkania. W połowie pierwszej przecznicy zobaczyła markizę z napisem „Pizzeria Michał Anioł” i zaczęła się zastanawiać, czy to jakiś znak. Na parterze większości budynków mieściły się sklepy, głównie galerie i kawiarnie, ale nie przy Lispenard 32. Tu okna były zabite deskami i aż po dach zasłonięte metalowymi żaluzjami. Do środka prowadziły szare drzwi ze skomplikowanym zamkiem i wyblakłą wizytówką przytwierdzoną pinezkami:

Ex Libris

Antykwariat. Zbieranie informacji. Tylko po wcześniejszym uzgodnieniu. Proszę spojrzeć w kamerę i uśmiechnąć się.

Kamerą okazało się małe pudełko wielkości orzecha włoskiego, umieszczone w lewym górnym rogu framugi. Finn spojrzała na nią, wystawiła język i skrzywiła się.

- No i jak się panu podoba, panie Arogancki Dupku? - mruknęła.

- Ładnie, kotku, ale wolałbym uśmiech - padła natychmiastowa od-

powieść i Finn cofnęła się odruchowo, czując, że oblewa się rumieńcem.

- Podejdz bliżej. Jesteś poza zasięgiem kamery - polecił głos.

Finn zrobiła krok w przód.

- Telefonowałam, ale odezwała się tylko automatyczna sekretarka.

- Tak jest zawsze. To zastrzeżony numer. Skąd go znasz?

- Od matki.

- A nazwisko matki brzmi...?

- Amelia McKenzie Ryan.

Zapadła cisza.

- A twoim ojcem był Lyman Andrew Ryan?

- Zgadza się.

- Miał przydomk.

- Zgadza się. Miał.

- Jakie?

- Niby dlaczego miałabym je wyjawiać?

- Bo jeżeli nie powiesz, nie otworzę drzwi i nie przedstawię ci swojego problemu.

- Skąd pan wie, że mam jakiś problem?

- Nie bądź irytująca. Matka nie dała ci tego numeru po to, żebyśmy napili się razem herbaty. Dała ci go na wypadek sytuacji kryzysowej.

- „Kozioł”.

- Dobra dziewczynka. Więc jesteś Fiona.

- Finn. I nie jestem dziewczynką.

- Chłopcem na pewno też nie. - Rozległ się brzęczyk i drzwi ustąpiły

- W końcu korytarza znajdziesz windę towarową. Wsiądź do niej i wciśnij

piątkę. Tylko dokładnie zamknij za sobą drzwi.

Finn upewniła się, że drzwi są zamknięte, po czym ruszyła wąskim korytarzem z ceglanym murem po lewej stronie i gołą kamienną ścianą po prawej. Wsiadła do obszernej windy towarowej, po czym linką ściągnęła kratę. Wcisnęła guzik z numerem 5 i winda ruszyła ze zgrzytem.

To, co widziała przez szczeble kraty, było zdumiewające. Każde piętro wyglądało jak biblioteka z nowel fantastycznych Raya Bradburyego czy z opowieści o braciach Collyer Franza Lidza: okratowane metalowe podłogi z niekończącymi się rzędami wysokich, szarych regałów i zapchanych po brzegi szaf na dokumenty; zakamarki wskazujące na istnienie sekretnych wejść do labiryntu, którego z windy nie było widać, oświetlone przyćmionymi zielonymi żarówkami w osłonach w kształcie mis. Raz czy dwa wydawało jej się, że dostrzega jakiś ruch między regałami, jakby cień wielkiego szczura, uznała jednak, że to złudzenie wywołane ciemnością i stanem jej nerwów. Winda zatrzymała się płynnie, Finn uniosła kratę, wysiadła i spuściła drzwi. Kabina automatycznie zjechała w dół, pozostawiając głęboki, pusty tunel. Finn zrobiła kilka kroków w przód i spojrzała w dół. Otwory w okratowanej podłodze były na tyle duże, że widziała przez nie wszystkie piętra aż do parteru. Kiedyś budynek pozbawiono wewnętrznych ścian i podłóg i zamieniono w gigantyczną klatkę z siatkami i podpórkami.

Skręciła w lewo i podeszła do najbliższej półki z książkami. Konstruktive theoretische und experimentelle Beitrag zu dem Probleme der Flüssigkeitsrakete: W. Von Braun - 1934 . Tytuł napisano ręcznie i przyklejono

do grzbietu. Jakaś naukowa rozprawa? Chciała po nią sięgnąć, lecz powstrzymał ją głos.

- Nie dotykaj tych materiałów. Nie trzeba niepokoić Enkela. Jest do nich bardzo przywiązany.

- Enkela? - powtórzyła.

- Enkela Shmolkina, mojego archiwisty Nie bardzo wiem, gdzie jest teraz; pewnie gdzieś między regałami. Może wpadłaś na niego.

Rozejrzała się w poszukiwaniu kamer, lecz tym razem ich nie zauważyła.

- Gdzie pan jest?

- Idź przed siebie, aż dojdiesz do końca rzędu. Potem skręć w lewo.

Zobaczysz drzwi.

Czując się trochę jak Dorotka z Czarodzieja z Krainy Oz, ruszyła dalej, stukając głucho stopami po metalowej podłodze. Przestrzeń po lewej i prawej stronie podzielono równo między trzymetrowej wysokości regały biegnące przez całą szerokość biblioteki i takiej samej wysokości szafy na dokumenty z solidnymi stalowymi zamkami. Całość wyglądała jak prawdziwa twierdza.

Finn doszła do końca rzędu, skręciła w lewo i zobaczyła szerokie białe drzwi bez klamki i zamka. Już miała w nie zapukać, gdy otworzyły się z cichym kliknięciem. Były zrobione ze stali i miały około ośmiu centymetrów grubości oraz bolce wzdłuż jednego z boków, jak drzwi do sejfu bankowego.

Wnętrze przypominało salon z epoki Dickensa, z kilkoma wygodnymi,

szerokimi fotelami klubowymi, stołem zarzuconym gazetami i wąskim kominkiem. Na gzymsie stał kubek na węgiel ze skórzanym kapciuchem, po drugiej stronie skrzypce i staroświecka fajka z lulką z pianki morskiej. Nad kominkiem widniały inicjały V R. przychepione do jasnej tapety w paski. To było sceneria nie z Dickensa, lecz z Arthura Conan Doylea. Jedynym niepasującym tu przedmiotem był ekspres do kawy, stojący na bocznym stoliku wraz z filiżankami, śmietanką, cukiernicą i talerzem pełnym ciasteczek.

- Enkel je upiekl - powiedział głos. - Owsianka i masło orzechowe to też jego dzieło. Mamy więc coś słodkiego na ząb.

Siedzący przy stoliku mężczyzna uśmiechnął się. Wyglądał jak skrzyżowanie Johna Malkovicha z Willemem Dafoe: wysokie czoło, wydatne kości policzkowe, szeroka broda i duże, seksowne wargi. Jego głęboko osadzone czarne oczy spoglądały przenikliwie. Wyglądał na jakieś czterdzieści pięć lat i miał dość siwych włosów, by sprawiać wrażenie mniej niebezpiecznego niż zapewne był w młodszym wieku.

- Finn Ryan. W ogóle nie jesteś podobna do swojego staruszka, z wyjątkiem kolorów włosów.

Nie wiedziała, co ma odpowiedzieć, rozejrzała się więc po salonie.

- Gabinet Sherlocka Holmesa - stwierdziła.

- Bardzo dobrze - odparł.

- Czy to jakiś test?

- Nie. Po prostu lubię odczytanych ludzi, którzy wiedzą, co widzą.

Urządziłem go tak dla zabawy. Następnym razem może spróbuję czegoś

w stylu Nero Wolfe'a.

- Nie jest pan gruby.

- No to będę Archie Goodwinem*.

- To już prędeż.

- Więc jaki masz problem?

- Morderstwo, dziwnym trafem.

- Ty zamordowałaś? - zapytał, wskazując jej jeden z klubowych foteli.

- Nie - odpowiedziała.

- W takim razie to żaden problem - stwierdził. - Jedyne sprawa, która wymaga rozwiązania.

- Myślę, że to coś więcej.

- Wyjaśnij mi to.

Tak też zrobiła.

* Nero Wolfe i Archie Goodwin to bohaterowie cyklu opowieści kryminalnych Reksa Stiuta, filmów i komiksów; amerykańskie opowieści Sherlocka Holmesa i doktora Watsona [przyp. red.].

Pół godziny później siedziała w fotelu, z podwiniętymi pod siebie nogami, chrupiąc ciasteczka i popijając kawę.

- Więc co o tym sądzisz? - zapytał Valentine, powracając do tematu.

- Myślę, że Peter wszedł komuś w drogę i dlatego zginął. Myślę też, że Crawley został zamordowany, bo zobaczyłam rysunek Michała Anioła.

I myślę, że będę następna.

- Interesujące.

- To bardziej niż interesujące. Chodzi o moje życie, panie Valentine.

- Michael, jeśli łaska. Nie, źle mnie zrozumiałaś. Moja uwaga, że to jest interesujące, odnosiła się do tego, że ktoś mógł zginąć, bo zobaczył jakieś dzieło sztuki. Tego nie da się logicznie uzasadnić... Na razie.

- Nie sądzę, żeby jakaś część tej sprawy miała logiczne uzasadnienie.

W tym w ogóle nie ma żadnego sensu.

- Ma dla kogoś, kto zabił twojego przyjaciela i dyrektora Parker-Hale.

- Dlaczego mam wrażenie, że kręcimy się w kółko?

- Bo tak jest - odpowiedział Valentine. - Kółko staje się coraz mniejsze, aż w końcu dochodzimy do prawdy, która znajduje się w samym środku.

- To zbyt przypomina filozofię zen - stwierdziła Finn. - Matka dała mi twój numer na wypadek, gdybym znalazła się w prawdziwych tarapatach - no i znalazłam się. Nie zamierzasz czegoś zrobić? Siedzimy tu, popijamy kawę, jemy ciasteczka i do niczego nie doszliśmy

- To ty tak sądzisz - odparł Valentine. - Ja wiem o wielu rzeczach, o których przedtem nie miałem pojęcia. Wiem, jak wyglądasz, gdzie mieszkasz. Wiem, że pozujesz nago, uczysz angielskiego imigrantów, a ostatnio wylano cię ze stażu w prestiżowym muzeum sztuki i jesteś zamieszana w dwa morderstwa. Każdy z tych faktów może być bardzo istotny dla sprawy

- Czemu każdy czepia się tego pozwania?

- Ponieważ to prowokuje ludzi do wyobrażania sobie ciebie bez ubrania. Dla jednych to niezręczne, dla innych zapewne rozkoszne. To zupełnie co innego niż gdybyś powiedziała, że pracujesz w McDonalddie. -

Valentine westchnął. - Moja droga Finn, moim zadaniem jest zwracanie uwagi na szczegóły, nawet najdrobniejsze. Kiedy dokonuję dla kogoś wyceny rzadkiej książki, kształt jednej litery może zadecydować o tym, czy jest to autentyk, czy fałszyfikat. Jeżeli doradzam komuś na podstawie jakiejś informacji, to muszę mieć pewność, że jest ona prawdziwa. Jeżeli przyglądasz się czemuś z bliska, widzisz szczegóły, a w nich błędy, czasami zaś absolutną doskonałość. I jedno, i drugie może być równie ważne.

- Masz na myśli Michała Anioła?

- Na przykład. Tylko że tu może być problem: nie wiadomo, czy to w ogóle jest rysunek Michała Anioła. To nie byłby pierwszy przypadek zbrodni z powodu fałszerstwa.

- Ale to był oryginał. Jestem tego pewna.

Valentine uśmiechnął się.

- Nie chciałam cię urazić, ale nie jesteś w tych sprawach eksper-

tem.

- A ty jesteś?

- Powiedziałaś, że masz zdjęcia tego rysunku.

Kiwnęła twierdząco głową. Pogrzebała w leżącym obok fotela plecaku, wyjęła minoltę i podała mu. Valentine otworzył klapkę w dolnej części i podłączył aparat do stojącego na biurku płaskiego monitora IBM. Finn wstała i podeszła do mężczyzny, gdy wystukiwał coś na klawiaturze. Rozejrzała się po pokoju, lecz nie zauważyła nigdzie komputera.

- Serwer jest w piwnicy - wyjaśnił Valentine, nie odrywając wzroku od monitora, jakby czytał w jej myślach. - Tam jest trochę chłodniej.

- A co ty masz? - zapytała. - Jakiś superkomputer?

- Niezupełnie, ale blisko. Wykonuję sporo prac dla pewnych ludzi w Kalifornii, a oni płacą mi sprzętem komputerowym. - Odchylił się na oparcie. - Zobaczmy, jak to wygląda. - Na ekranie pojawił się rysunek Michała Anioła naturalnej wielkości. Odwzorowanie szczegółów było perfekcyjne.

- I co? - zapytała Finn.

- Muszę przyznać, że wygląda bardzo dobrze. Na pierwszy rzut oka to oryginał. - Wystukał coś na klawiaturze i rysunek znikł.

- Co ty robisz?

- Uruchamiam test porównawczy. Mam trochę materiałów pomocniczych. Jeżeli będziemy potrzebowali więcej, to je ściągnę.

- Co porównujesz?

- Słowa znajdujące się w tamtym rogu. Zobaczymy, czy pismo jest

takie samo.

Na ekranie przez chwilę nic nie było, a później pojawiło się okno podzielone na cztery części. Każda zawierała małą próbkę pisma. Valentine wcisnął kolejny klawisz i pojawiło się piąte okienko z rysunkiem Michała Anioła. Po kolejnym wciśnięciu klawisza rysunek znikł i pozostało samo pismo.

- Teraz zobaczymy - powiedział Valentine.

Zaczął pisać coś szybko długimi palcami i Finn pomyślała, że przyjemnie byłoby poczuć je na skórze. Odsunęła jednak od siebie tę myśl równie szybko, jak szybko zniknęły okienka na ekranie. Teraz pojawiły się dwa. W lewym była próbka bardzo starego, pochylego pisma w języku włoskim, a w drugim powiększona wersja tekstu z rysunku.

Finn pochyliła się nad ramieniem Valentine'a, a jej włosy spadły mu na policzek. Bez trudu odczytała linijki:

Pięknie uwity, jakże się raduje

Wian, że na włosach złocistych spoczywa,

Jak kwiat przed kwiatem naprzód się wyrywa,

Aby być pierwszym, co włosy całuje!

Valentine przeszedł na początek następnej linii.

Szczęśliwa cały dzień suknia się czuje,

Że pierś owija i wokoło spływa;

Złota plecionka, dotykiem pieściwa,

Tęsknie wzdłuż twarzy i szyi się snuje*.

Finn cofnęła się i zarumieniła, zdając sobie sprawę, że stoi zbyt blisko

Valentine'a.

- To jeden z jego sonetów poświęcony kochance, Clarissie Saffi. Tak naprawdę była kurtyzaną.

- Pierwszy, który jej poświęcił, jeżeli dobrze pamiętam - dodał Valentine. - Jesteś bardzo dobra.

- Ty też jesteś niezły - odpowiedziała, robiąc kolejny krok w tył. Zebrała włosy i przytrzymała je przy szyi. - Większość ludzi nawet nie wie, że pisał wiersze.

- Każdy wtedy pisał wiersze. - Valentine ukazał w uśmiechu duże kwadratowe zęby, po czym odwrócił się do ekranu. - Myślę, że poezja zajmowała dzisiejszą pozycję teleturniejów. - Znów wystukał coś na klawiaturze. - A teraz sprawdźmy, czy potrafimy je dopasować. - Powoli, używając myszy, przesunął tekst z rysunku na ten drugi. Poklikał myszą, wprowadzając szereg instrukcji. Ekran znowu opustoszał, a następnie pojawiły się na nim dwie kolumny liter, po pięć w każdej:

* Przekład L. Staffa 88

A

A

E

E

I

I

O

O

U

U

Następnie przy pomocy myszy Valentine nałożył jedną kolumnę na drugą:

A

E

I

O

U

- Wydaje mi się, że są takie same - powiedziała Finn.

- Mnie też - odparł Valentine. - Powiedziałbym, że twój rysunek to autentyczny Michał Anioł. - Popatrzył na ekran. - Charakter pisma jest identyczny. - Urwał. - Czy Delaney powiedział ci, jak Crawley został zamordowany?

- Powiedział, że go uduszono, a potem ktoś wbił mu jakiś rytualny sztylet w usta. - Skrzywiła się. - Nie lubiłam pana Crawleya, ale to brzmi okropnie.

- A może wiesz coś więcej na temat tego sztyletu?

- Nazywa się kumia czy jakoś tak.

- Hiszpański, andaluzyjski, a nawet z południowego Maroka.

- Czy ty wiesz wszystko?

- Po trochu o wielu rzeczach. To czyni mnie niebezpiecznym.

- Jesteś niebezpieczny?

- Mogę być.

Finn wróciła na fotel.

- Więc co teraz zrobimy?

- Jeszcze nie wiem - mruknął, wpatrując się w ekran. - To jest interesujące, ale...

- Żaden dowód dla policji.

- Po pierwsze, to tylko zdjęcie. Prawdziwego rysunku nie ma. Czy Delaney wspominał może, że znalazł go w gabinecie Crawleya?

- Nie. Uporczywie wypytywał mnie, gdzie ostatni raz widziałam rysunek, a ja powtarzałam, że w ręku Crawleya. - Zmarszczyła brwi. - Pewnie myśli, że go ukradłam.

- Tam musiały być kamery.

- Były. Nie wiem, czy na nich jestem. Jeśli tak, to byłby dowód, że go nie wzięłam.

- Ale również, że go sfotografowałaś - powiedział Valentine. - Co byłoby dostatecznym powodem, by przyjść do twojego mieszkania.

- Myślałam o tym, ale to ciągle nie ma sensu. To tak, jakby samo istnienie rysunku, falsyfikatu lub nie, było dowodem czegoś, co uzasadniałoby morderstwo.

- To jest właśnie krążenie w kółko - uśmiechnął się Valentine. - W końcu dochodzisz do prawdy w środku wiru. Co właśnie zrobiłaś.

- Do jakiej prawdy?

- Że istnienie rysunku uzasadnia morderstwo.

- A co to za prawda?

- Niebezpieczna.

Mężczyzna w koloratce wysiadł z samolotu Delty, rejs z Rzymu o trzeciej piętnaście, przepuścił czarną torbę przez urządzenie kontrolne, po czym wręczył paszport funkcjonariuszowi urzędu imigracyjnego o surowym spojrzeniu. Według zawartych w dokumencie danych przybysz nazywał się Ricardo Gentile i był księdzem, co wydawało się oczywiste. W rzeczywistości żadna z tych informacji nie była prawdziwa, a także sam paszport, choć autentyczny, nie figurował w aktach watykańskiego urzędu paszportowego. Urzędnik oddał księdzu dokument, po czym kiwnął głową, jakby chciał powiedzieć: „Stoję na pierwszej linii obrony w wojnie z terrorystami”, i zezwolił na przekroczenie granicy Stanów Zjednoczonych.

Ksiądz Gentile wyszedł wraz z tłumem ludzi z lotniska w popołudniowe słońce, wsiadł do taksówki i polecił nigeryjskiemu kierowcy zawieźć się do JFK Holiday Inn. Nie rozmawiał z Afrykaninem w jego rodzimym języku anjang, chociaż biegle się nim posługiwał. Ostatnia rzecz, jakiej pragnął, to zrobić na kimś wrażenie. Już sama koloratka wystarczająco rzucała się w oczy.

Przejazd trwał zaledwie kilka minut i o trzeciej czterdzieści pięć ksiądz Gentile zarejestrował się w hotelu na skrzyżowaniu Van Wyck i Belt Parkway. Pokój był wąski, skromnie umeblowany i mały, o wystroju w tonacji jasnego fioletu. Okno wychodziło na coś w rodzaju ogrodu japońskiego. Gentilego niewiele to obchodziło. Starannie zaciągnął story i zapalił boczną lampkę przy łóżku. Na suficie nie było żadnego źródła światła.

W czasie swoich licznych podróży ksiądz coraz częściej widywał pokoje, w których nie ma żyrandola na suficie. Podszedł do szafy i wyjął z niej walizkę, którą ktoś dla niego zostawił, po czym otworzył ją kluczem przekazanym mu poprzedniego dnia w Rzymie przez kuriera. Wyjął zawartość, na którą składały się dwa garnitury, kilka jeszcze zapakowanych koszul marki Arrow w różnych kolorach, para czarnych butów z firmy James Taylor i Syn, podwyższających go o pięć centymetrów, i pistolet automatyczny glock 21 kaliber 10 mm z magazynkiem zawierającym piętnaście naboii oraz kaburą firmy Patrick Johnakin do mocowania na ramieniu. Gentile przebrał się, przypiął kaburę z pistoletem, a resztę włożył do walizki i ponownie ją zamknął. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął dwa portfele: jeden duży, europejski, drugi zwykły, amerykański. W większym miał dokumenty na nazwisko Petera Ruffino, włoskiego agenta z ARTS - oddziału taktycznego do odzyskiwania dzieł sztuki, wchodzącego w skład Alintela, wywiadu międzynarodowego, światowego koncernu reprezentującego wszystkie firmy od Lloydsa po Muzeum Brytyjskie, jak również rodziny królewskie, wiele korporacji, a nawet kilka rządów.

Drugi portfel zawierał listy uwierzytelniające wystawione przez biuro bezpieczeństwa na niejakiego Laurencea Gaynora MacLeana. Oba dokumenty były autentyczne, dokładnie sprawdzone i dopracowane w najdrobniejszych szczegółach. Jako ksiądz Gentile doskonale wiedział, że w watykańskim ministerstwie stanu istniał najdłużej na świecie działający wywiad. Wywiad ten pracował w takiej czy innej formie od czasu przybycia świętego Piotra do Rzymu i pierwszych chrześcijan, którzy rysowali

znak ryby na ścianach katakumb. Watykan wielokrotnie jednak zaprzeczał jego istnieniu. Dokumenty i dopasowane do nich historyjki nie były żadnym problemem.

Gentile zdecydował się na agenta bezpieczeństwa wewnętrznego, dobrego starego Larry'ego MacLeana, i chwilę pracował nad nim przed lustrem w łazience, by pozbyć się włoskiego akcentu i zastąpić go lekkim amerykańskim ze Środkowego Wschodu, po czym wyszedł z pokoju.

W hallu hotelowym poprosił o sprowadzenie taksówki, która miała go zawieźć do miasta, a pół godziny później był już na Manhattanie, w hotelu Gramercy Park i informował recepcjonistę, że po raz kolejny Delta zgubiła jego bagaż. Zameldował się jako Laurence G. MacLean i zapłacił za pobyt kartą Bank of America, która czerpała ze studni bez dna. Następnie dziesięć minut spędził przed lustrem w łazience, szlifując płaski akcent mieszkańca Kansas, po czym opuścił hotel i przystąpił do pracy.

Sklep nazywał się po prostu „Maroko” i zajmował niewielki fragment Lafayette Street jakieś trzy przecznice dalej, na rogu Grand Street.

Dźwięk dzwonka oznajmił wejście Finn i Valentine'a. Nagle znaleźli się na drugim końcu świata. Powietrze wypełniał zapach kminku i cynamonu, na ścianach wisiały dywany w najróżniejszych kolorach i rozmiarach, wszędzie piętrzyły się stoły i mnóstwo przeróżnych przedmiotów: od koszyków po stare muszkiety. Wszystkiego doglądał z zaplecza gruby mężczyzna w fezie na głowie, palący pękatego papierosa, ubrany w biały płócienny garnitur, w którym wyglądał, jakby właśnie wyszedł z filmu Casablanca. Finn myślała, że za chwilę pojawią się Humphrey Bogart i Ingrid Bergman. Valentine powitał mężczyznę islamskim pozdrowieniem, na które ten uprzejmie odpowiedział, po czym spojrzał z ciekawością na Finn. Valentine dokonał prezentacji.

- Finn Ryan, a to jest mój przyjaciel, Hassan Lasri.

- Salam - odpowiedziała Finn, na co Lasri się uśmiechnął.

- Właściwie to „szalom”, bo jestem marokańskim Żydem, Juif Maroc, jakby powiedzieli w drugim języku mojego narodu, ale doceniam pani wysiłek. - Ponownie się uśmiechnął. - Jestem jak dobrze wytresowany pies: odpowiadam na każde pozdrowienie, zwłaszcza od tak pięknej checroun jak pani.

- Checroun?

- Rudowłosej. Powiadają, że rudowłosi są obdarzeni wyjątkowym szczęściem, a skoro moje nazwisko przynosi mi tylko pecha... - Wzruszył

ramionami.

- Lasri to po arabsku „leworęczny” - wyjaśnił Valentine.

- To najgorsze chyba, co może spotkać Afrykanina. Ale może pani przyniesie mi szczęście.

Wskazał na dwa ozdobne krzesła i cała trójka usiadła. Gospodarz strzelił głośno palcami i po chwili pojawił się młodzieniec w długiej białej szacie i małej, białej haftowanej czapeczce. Spojrzał z zachwytem na Finn, po czym przeniósł wzrok na Lasriego. Ten wypowiedział do niego kilka szybkich słów po arabsku. Młody mężczyzna skinął głową, jeszcze raz popatrzył na Finn i zniknął.

- To mój bratanek, Madżub. Najwyraźniej zakochał się w pani do szaleństwa.

Finn poczuła, że się czerwieni.

- Nie ma powodu się wstydzić. Jest pani bardzo piękna i wspomniała z pani okaz checroun z piegami niczym gwiazdy rozsypanymi na mleczno-białej skórze. Obawiam się jednak, że Madżub zakochałby się w szym-pansicy, gdyby ta pojawiła się w drzwiach. To taki niewinny wiek.

Po kilku minutach młodzieniec wrócił z emaliowaną tacą, na której stały trzy małe filiżanki, marokański dzbanek do kawy i talerz czegoś brązowego, kleistego i bardzo tuczającego. Madżub jeszcze raz popatrzył na Finn, westchnął i więcej się nie pojawił. Hassan rozlał kawę do filiżanek, wrzucił potworną ilość cukru do każdej i podsunął gościom talerz z klei-stymi, brązowymi kawałkami.

- Nie mam pojęcia, jak Madżub to nazywa, ale robi się je z toffi,

orzeszków pekan i nerkowca. Podobno są bardzo dobre na prostatę. Pani nie musi się o to martwić, lecz my, mężczyźni, powinniśmy dbać o zdrowie.

Uśmiechnął się, wrzucił do ust dwie kostki i popił je łykiem kawy Finn ugryzła koniuszek małej pałeczki i poczuła, że dwanaście lat starannej pielęgnacji zębów może pójść na marne. Słodycze były wyborne.

- No więc w czym mógłbym wam pomóc? – zapytał Hassan.

- Wczoraj zamordowano człowieka. Posłużono się przy tym rytualnym sztyletem kumia.

- A tak - kiwnął głową Hassan. - Dyrektora muzeum.

- Już pan o tym słyszał? - zdziwiła się Finn.

- Amerykanie to jedno, a Arabowie drugie, nawet pochodzenia żydowskiego, jak ja. Wy uważacie, że świat biegnie jedną drogą, my - że drugą. Kiedy używa się kumji, by unieruchomić czyjś język, to to jest sprawa marokańska, dlatego szybko się o niej dowiadujemy. - Uśmiechnął się z lekkim smutkiem. - W dzisiejszych czasach jest lepiej, by ludzie z dużymi nosami i ciemną skórą dowiadawali się o wszystkim wcześniej, zanim w drzwiach pojawią się funkcjonariusze urzędu bezpieczeństwa z biletem do hotelu w Guantanamo.

- Opowiedz nam o kumji - poprosił Valentine.

- Kumia, czasami zwana też kandzarem, pochodzi z północnego Maroka. Zazwyczaj symbolizuje przejście w dorosłość, jest znakiem przyjęcia chłopca do grona mężczyzn, rozumiesz?

Valentine kiwnął głową. Finn czekała. Pomyślała, że weźmie jeszcze

jeden kawałek kleistego przysmaku, ale się rozmyśliła. Kiedy Hassan wyjął małą srebrną papierośnicę i zapalił kolejnego owalnego papierosa, pożałowała, że nie pali. Nie pali, nie pije, nie je słodkich wschodnich smakołyków i nie uprawia seksu. Równie dobrze mogłaby być zakonnica. Lasri zaciągnął się papierosem, wypuścił dym szerokimi, owłosionymi nozdrzami i włożył do ust kolejny kawałek łakocia. Przeżuł go, po czym spojrzał w zamyśleniu na Finn.

- Oczywiście kumia pełni również inną rolę - powiedział z pełnymi ustami.

- Jaką? - zapytała Finn.

- Nie tylko służy do obrzezania. Arabowie i Żydzi poddają dzieci rytuałowi obrzezania. Tylko niewierni chrześcijanie i Azjaci tego nie robią. Tym sztyletem ucina się też języki zdrajcom. Tak mówi tradycja. Nie słyszałem, żeby ostatnio obcięto nim komuś język. Oficjalnie nazywa się to unieruchomieniem języka zdrajcy.

- Czy mogli to zrobić Crawleyowi? - zapytała Finn.

- Skąd mam to wiedzieć, moja droga? Nie znałem tego człowieka. Za to wiem, skąd ten konkretny sztylet pochodzi.

- Jak to?

- Dziś rano policjant pokazał mi jego zdjęcie. Nazywał się Delaney.

Wiedział, że jestem przewodniczącym miejscowego towarzystwa przyjaźni amerykańsko-marokańskiej. Tak czy owak, opowiedziałem mu o sztylcie, o jego pochodzeniu i zastosowaniu.

- A do kogo on należał? - zapytał Valentine.

- Nie pytał mnie o to.

- Ale wiesz.

- Oczywiście. Z wyjątkiem tanich, robionych dla turystów noży, które sprzedaje się na sukach w Marakeszu, Fezie i Casablance, prawdziwa kumia, zwłaszcza bardzo stara mauretańska, jest jak odcisk palca. -

Uśmiechnął się szeroko i sięgnął po kolejny słodki kawałek. Finn pociągnęła łyk kawy. - Nie wspominając już o tym, że zazwyczaj na trzonku lub na pochwie wyryte jest nazwisko właściciela. - Uśmiechnął się. - Pan Delaney oczywiście nie czyta po arabsku.

Finn zaczęło się kręcić w głowie od kłębow dymu papierosowego unoszącego się w sklepie. Hassan przełknął cukierka, dopił kawę, zlizął starannie zmielone fusy z dna filiżanki, po czym znowu się uśmiechnął.

- Fusy są bardzo dobre na okrężnicę - powiedział. - Marokańczycy rzadko zapadają na raka okrężnicy. - Otworzył srebrną papierośnicę, wyjął kolejnego papierosa i zapalił. Był klasycznym przykładem tego, co psychologowie nazywają kompulsywną fiksacją oralną na tle nerwicowym. - Z drugiej strony, bardzo często zapadają na raka płuc - dodał i jakby na potwierdzenie tych słów zakaszłał.

- Sztylet - mruknął Valentine.

- Pochodzi z kolekcji prywatnej szkoły dla chłopców w Connecticut - odpowiedział Marokańczyk.

- Jak się nazywa ta szkoła? - zapytał Valentine.

- Greyfriars - odparł Lasri, patrząc na ostatni cukierek na talerzu. -

Akademia Greyfriars.

Wszedł do pokoju i odprawił swój rytuał z mundurem. Nagi podszedł do krzesła i usiadł na nim. Najpierw, jak zwykle, gdy tu przychodził, przyjrzał się skórzanej oprawie książki, po czym ostrożnie ją otworzył i zaczął przewracać strony wypełnione drobnym, lecz bardzo wyraźnym pismem, zatrzymując się od czasu do czasu, by wyszeptać słowa jak nie-nawistne modlitwy.

- Genus humanum quod constant stirpibus tantopere Inter se differenti-
bus non est origine unum descendus a protoparentibus numero iisdem.

Rzeczywiście, ludzie różnią się między sobą, mają odmienne korzenie: jedni są podli, inni błogosławieni, a jeszcze inni przekłęci od urodzenia. Jedni rodzą się diabłami, drudzy świętymi. Skoro są to niezmiennie i boskie słowa, nie można z nimi dyskutować, tak więc kierowanie się nimi jest boskim aktem. To takie proste, gdy zrozumie się ich sens.

Odwrócił stronę i stanęła mu przed oczyma farma. Fotografie wyblakły, twarze zszarzały, lecz wciąż żyły w pamięci. Znał każdego jak brata. Patterson w okularach jak ten Beatles, którego zastrzelono, Dorm, zwany przez kolegów Dormouse, Winetka, Bośnie, Teitelbaum i Reid. Pixie Mortimer, Hayes, Terhune, Dickie Biearsto. Widział ich wszystkich, marzących w zimowym chłódzie, przemykających przez las: dziesięciu facetów z czterdziestego czwartego, bawiących się w niańki niedawno przybyłych z ojczyzny świrusów od sztuki. Ale w końcu zmądrzeli, nie? Najpierw byli szpiegami, a dopiero potem facetami od sztuki i spędzili na tej pieprzonej wojnie dość czasu, by zrozumieć, że powinni coś na niej zyskać,

skoro już udało im się przeżyć. Wojna to gra dla łobuzów i drani, nie dla bohaterów.

I oto miał przed oczyma farmę Altenburg, a za nią mały, walący się klasztor benedyktyński o nazwie Althof, opuszczony dawno temu z braku zakonników lub zakonnice, stojący w tym zapomnianym przez Boga i ludzi miejscu. Padał zimny, drobny deszcz, przenikający do szpiku kości. Żeby się rozgrzać, wsunął głębiej szyję w kołnierzyk kurtki, lecz i tak nic to nie dało. Był przemoknięty do suchej nitki, ciekło mu z nosa i papieros nie chciał się palić.

Zeszli wreszcie z gór i przedzierali się przez las ścieżkami uczęszczanymi przez kozice. Nie mogli trzymać się razem i w końcu oddział rozproszył się jak kruszący się ze starości kamień. Było dziesięciu podoficerów, wszyscy z karabinami typu garand i czterdziestkami piątkami. Pixie, chudy pedzio z New Jersey, niósł na ramieniu karabin automatyczny browninga jak Chrystus krzyż, a Dick Hayes - szalony łysol - móżdziej i bez przerwy gadał o tym, co on by chciał zrobić. A chciałby wsunąć go tej Greer Garson. Marzył o tym, odkąd zobaczył ją w Pani Miniver. Kiedy Pixie powiedział mu, że wyszła za mąż za faceta, który grał w tym filmie jej syna, omal się nie zesrał i oświadczył Pixie'emu, że zanim wojna się skończy, znajdzie jakiś sposób, by odciąć mu tego bezużytecznego pieprzonego kutasa. Dziesięciu prawdziwych chłopaków i trzech tajniaków z ALIU - jednostki poszukującej zrabowanych dzieł sztuki, która, jak wiadomo, wchodziła w skład OSS, Biura Służb Strategicznych - i wszyscy chcieli przyłapać Szkopów na gorącym uczynku. McPhail, Taggart i

Cornwall. McPhail uważał się za wielkiego dupka z tym swoim bostońskim akcentem i zabawnym sygnetem z trupa główką i piszczelami. Taggart gadał sam do siebie, a Cornwall nie odzywał się do nikogo i wciąż pisał coś w tym swoim notesie. Jednym słowem, dziwni goście.

Dick Hayes, łysy chłop z moździerzem, dostał pierwszy Strzał padł z jednego z tych radzieckich samopowtarzalnych karabinów SVT 40, tak lubianych przez Niemców. Rozległ się głuchy trzask, jakby uderzenie w policzek; nawet nie odbił się echem w górzystej okolicy. On szedł tuż za Hayesem i nagle zobaczył, że w miejscu ręki jest tylko krew, kości i białe zwoje; jak się domyślił - ściętna. Potem dźwięk, jakby ktoś zamykał pulpit uczniowski i Hayes padł na ziemię z otwartą klatką piersiową, w której widać było płuca i serce pływające w kałuży krwi i czymś fioletowym. Jeden strzał i już po nim, i nie zdołał spełnić swojego marzenia z Greer Garson.

Wszyscy padli na ziemię i wyglądało na to, że każdemu prócz Hayesa udało się dopaść rowu biegnącego pod kątem przez łąkę. Prawdopodobnie był pozostałością po szajcach sprzed stu lat, z jakiejś innej głupiej wojny. Tak czy inaczej, wszyscy się w nim schowali. Trzej goście z ALIU byli porucznikami, a Cornwall nimi dowodził, lecz żaden nie miał pojęcia o walce, więc zostawili to jemu, bo on był sierżantem i przez te kilka lat nie dał się zabić, a oni byli tu dopiero od Bożego Narodzenia.

Wystawił na sekundę głowę, by ocenić sytuację, i Szkop z karabinem SVT znowu strzelił, robiąc bruzdę w ziemi jakieś siedem centymetrów od jego głowy. Mimo to zobaczył, co chciał.

Farma bardziej wyglądała na francuskie niż niemieckie gospodarstwo. Sześć budynków z przypominającą koszary oborą, prawdopodobnie dla krów. Duży dom - niski, jednopiętrowy, z krytym strzechą dachem, który wyglądał jak spuszczone na czoło kapelusz, grubym nadprożem nad otworem okiennym i przestrzeloną szybą z czarnymi oczodołami. Gospodarstwo otaczał kamienny mur pięciometrowej wysokości i prawie metrowej szerokości, obrośnięty wiekowymi jeżynami, skuteczniejszymi od drucianych zasieków. Z lewej strony mur łączył się ze starym klasztorem, też jednopiętrowym jak dom. Kryty łupkami dach wyglądał w deszczu na czarny. Okna na pierwszym piętrze były bardzo wąskie i osłonięte drewnianymi okiennicami. Niektóre z nich wisały na jednym zawiasie i odsłaniały kryjącą się za nimi ciemność. Zapewne to stamtąd strzelano. Wyjął karmelowego koloru lornetkę, którą przehandlował za kanadyjską, i dokładnie wszystko obejrzał. Znajdowali się na skarpie, opadającej do drogi, więc ze swego miejsca widzieli cały teren nad murem i dachami budynków gospodarczych. Wtedy właśnie zorientował się, że coś tu się nie zgadza, bo za niską, długą oborą zobaczył sześć trzytonowych opli blitz, używanych przez Szkopów do wszystkiego, szczelnie zasłoniętych plandekami. Nie dostrzegł na nich żadnych oznaczeń wojskowych. Jedyne ciężarówka stojąca najbliżej domu miała przyczepioną do zderzaka tabliczkę z dwiema literami S w kształcie piorunów. Ale metalowy porzec od strony pasażera był pomarańczowy, co wskazywało na Feldjager - żandarmerię wojskową. Sześć trzytonowych ciężarówek zdolnych pomieścić setkę ludzi w środku jakiejś farmy? To nie trzymało się kupy

- Co tam mamy, panie sierżancie?

To był Dormouse. Na grube wargi spływały mu z nosa gile, jak u małego dziecka, i cały czas mrugał powiekami.

- Wytrzymaj ten pieprzony nos, Dormouse.

- Tak jest, panie sierżancie. - Wytarł, ale nie przestało mu z niego ciec. - Kto trafił tego Hayesa?

- Snajper w tamtym starym kościele. Pewnie powiesz, że to klasztor.

- Po jaką cholerę bronią tej starej ruiny? A jeżeli to grupa uciekających Szkopów, to co tam robi snajper?

- Zadajesz zbyt dużo pytań, Dormouse. Pewnego dnia wdepniesz przez to w gówno. I wytrzymaj nos. Wyglądasz obrzydliwie.

Sierżant przyłożył lornetkę do oczu i jeszcze raz popatrzył na ciężarówkę. Ciekawe, co jest w środku. Zabawna ta wojna. Przedtem łapał karabin, biegł i strzelał do Niemców, a oni strzelali do niego. Teraz miał wrażenie, że są w jakimś tajnym labiryncie, szukając tajemnic i rzeczy, które nie miały nic wspólnego z walką. Ponownie spojrzął przez lornetkę. Żandarmeria wojskowa?

Akademia Greyfriars leżała nad Sark River, w pagórkowatej, zalesionej okolicy, dwadzieścia kilometrów na północ od Greenwich w stanie Connecticut. Najbliższą miejscowością była wieś Friardale przy drodze do Riverview i Toll Gate Pond. Michael Valentine przejechał przez wieś, kierując się na Oaklane, wzdłuż niskiego kamiennego muru zwieńczonego ogrodzeniem z kutego żelaza, prowadzącym do głównej bramy. Budynek szkoły mieścił się dokładnie na wprost, za lekko skręcającym podjazdem obsadzonym starymi dębami. Przypominał skrzyżowanie średniowiecznego kościoła ze starym, oplecionym bluszczem angielskim domem wiejskim. Był wielki i wyglądał na bardzo wiekowy.

- Jak z powieści o Harrym Potterze - skomentowała Finn, patrząc przez przednią szybę wynajętego samochodu, gdy jechali tonącym w słońcu podjazdem.

- Raczej jak z Franka Richardsa - mruknął Valentine.

- Kogo?

- Nieważne.

Na lewo od obsadzonego drzewami podjazdu stało sześć budynków gospodarczych, w tym stróżówka, coś na tyle dużego, by mogło być basenem lub salą gimnastyczną, i mała kaplica z miniaturową dzwonnica. Na prawo - boisko do baseballu, korty tenisowe i coś, co przypominało stajnię. Na tyłach szkoły rozciągał się dochodzący aż do muru sad z niskimi drzewkami rosnącymi w równych rzędach. Całości dopełniały wijące się ścieżki, starannie utrzymane trawniki i artystycznie skomponowane rabaty

kwiatowe.

Zaparkowali w specjalnie do tego celu przeznaczonym miejscu przed kwadratowym dziedzińcem. Stały tu tylko dwa samochody: taurus kombi z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku w kolorze burgunda bez jednej wycieraczki na przedniej szybie i stary jaguar mark 2 sedan w kolorze brytyjskiej zieleni wyścigowej. Taurus miał na tylnym siedzeniu dziecięcy fotelik.

Wysiedli z samochodu na poranny upał. Słońce stało dokładnie nad ich głowami i wszystko sprawiało wrażenie płaskiego, spalonego i opuszczonego. Szkoła w środku lata wyglądała jak porzucona łupina i tak miało być aż do września. Weszli na dziedziniec z kamienną fontanną i figurą kobiety w antycznym stroju, trzymającej na ramieniu przechyloną amforę, z której wylewała się woda do granitowej misy. Postać sprawiała wrażenie, jakby lała tę wodę od stu lat, misa nigdy się nie wypełniała, a amfora nigdy nie opróżniała. Chlupot wody w fontannie był jedynym dźwiękiem zakłócającym panującą wokół ciszę. Skręcili w lewo i wspięli się po szerokich schodach. Valentine otworzył czarne dębowe drzwi.

Znaleźli się w obszernym hallu wyłożonym boazerią z tego samego drewna, z którego wykonano drzwi. Marmurowe płyty na podłodze tworzyły szachownicę. Ze zdobionego dębowymi kasetonami sufitu zwieszał się masywny żyrandol z kutego żelaza. Finn spodziewała się, że zobaczy stojące wzdłuż ścian rycerskie zbroje i skrzyżowane halabardy, lecz zamiast tego ujrzała słabo oświetlone gabloty z zakurzonymi trofeami i fotografię oprawioną w ramki. Dokładnie na wprost drzwi tkwiła w ścianie

wielka granitowa tablica przypominająca płytę nagrobną, która, w pewnym sensie była. Widniały na niej wyryte i złożone cyfry i litery. Na samej górze daty: 1916-1918, 1941-1945, poniżej zaś w dwunastu kolumnach widniały nazwiska. Najwidoczniej dla tej szkoły historia zatrzymała się na drugiej wojnie światowej i nie interesowały jej późniejsze konflikty lub też po prostu zabrakło dla nich miejsca i absolwenci, którzy zginęli w Korei, Wietnamie i Iraku, musieli radzić sobie sami.

Finn i Valentine przeszli przez hall, kierując się zawodzącym odgłosem starej igłowej drukarki i stłumionym klekotem klawiatury. Dotarli do wąskiego korytarza wyłożonego do połowy boazerią, z gipsową ścianą w kolorze ochry i kilkoma parami drzwi, z których tylko jedne były otwarte. Valentine zajrzał do środka, pukając cicho we framugę. Za biurkiem, wyprostowana jak struna, z uniesioną wysoko głową, niska, tęga kobieta stuknęła w klawiaturę. Nosiała okulary, a włosy miała zebrane w luźny, niechlujny kok. Uniosła wzrok i oczy jej się rozszerzyły na widok Valentine'a.

- Jestem doktor Michael Valentine z Nowego Jorku - powiedział z uśmiechem. - A to moja asystentka, panna Ryan.

- Doktor Valentine? - powtórzyła kobieta, wyglądając na jeszcze bardziej zaskoczoną, niczym królik oślepiiony światłem reflektorów. - O ile wiem, to nikt nie zachorował. Właściwie to nikogo tu nie ma. Tylko kilku nauczycieli i dyrektor.

- A pani? - zapytał Valentine.

- Jessie Mimble. Jestem tu sekretarką.

- Chcielibyśmy zobaczyć się z doktorem Whartonem, jeśli można.

- Czy byli państwo umówieni?

- Nie. Chodzi o ten skradziony nóż.

- Ojejku.

- Przyszliśmy właśnie w tej sprawie.

Młoda kobieta o oczach królika patrzyła na nich, jakby czekała na dalsze rozkazy. Sprawiała wrażenie, jakby Valentine ją zahipnotyzował.

- Doktor Wharton - przypomniła jej Finn.

- A tak.

Wstała zza biurka, podeszła do wewnętrznych drzwi, cichutko zapukała i weszła do środka. Finn zauważyła, że sekretarka ma ogromną pupę, sterczące biodra i wygląda, jakby znacznie szczuplejszą kobietę wsadzono do czołgu, który przykryto spódnicą w kwiaty. Po chwili panna Mimble wyszła, otworzyła przed nimi drzwi i usunęła się na bok.

- Doktor Wharton przyjmie państwa.

Zaprosiła ich gestem do gabinetu i zamknęła za nimi drzwi.

Doktor Harry Wharton miał około pięćdziesięciu pięciu lat, był łysy, gładko ogolony i na widok wchodzących gości zdjął z nosa okulary w czerwonych oprawkach, po czym odłożył je na stos papierów leżących przed nim na biurku. Gabinet sprawiał wrażenie przytulnego i jasnego. Jasnoczerwone zasłony na wysokim oknie za plecami Whartona zaciągnięto dla ochrony przed słońcem. Biurko z ciemnego dębu było obszerne i nowoczesne. Na podłodze leżał dywan w kolorze zasłon, a przed biurkiem stały dwa skórzane fotele w kolorze czerwonym. Na ścianie za dy-

rektorem wisiała oprawna w ramki fotografia szkoły z lotu ptaka, a wzdłuż pozostałych stały sięgające sufitu regały z książkami. Był to idealny, jakby żywcem wyjęty z magazynu „Architectural Digest” gabinet dyrektora szkoły prywatnej. Finn uśmiechnęła się. Taki pokój z pewnością działał uspokajająco na bogatych rodziców. W powietrzu unosił się lekki zapach jabłkowego tytoniu do fajki, nigdzie jednak nie zauważyła popielniczki.

Wharton wstał, kierując uwagę na Finn. Zauważyła, że mężczyzna nosi jasnoczerwony krawat w niebieskie tarcze herbowe. Miał na sobie ciemny garnitur w prążki, a czubki butów błyszcząły mu równie mocno jak pozbawiona włosów głowa. Wyciągnął rękę i zaprezentował idealnie miły i szczyry uśmiech. Finn pierwsza ujęła jego dłoń. Uścisk był suchy i mocny, lecz niezbyt długi, po czym dyrektor ponownie usiadł za biurkiem.

- Co mógłbym dla państwa zrobić? - zapytał.

- Jesteśmy tu w sprawie kumji.

- A, tego noża - kiwnął głową Wharton. - Skradziono go kilka tygodni temu.

- Tak - odparł Valentine.

- Dlaczego on państwa interesuje? - zapytał Wharton uprzejmie, lecz w jego głosie zabrzmiała ostra nuta.

- Generalnie interesują mnie antyki, lecz w tym wypadku ciekawi mnie, jaki z niego zrobiono użytek.

- Popełniono morderstwo.

- Tak.

- A więc jest pan z policji?

- Czasami robię dla nich ekspertyzy.

Sprytny unik, pomyślała Finn. Ani prawda, ani kłamstwo, wypowiedziane bez chwili wahania. Nieoczekiwane pytanie i gotowa odpowiedź.

Matka powiedziałaaby, że niezły numer z tego Valentine'a.

- Przykra sprawa - stwierdził Wharton. - Ale szkoła nie ma z tym nic wspólnego. Po prostu wykorzystano ten nóż. Niemniej jednak rzuca to cień na akademię. Możemy się jedynie cieszyć, że trwają teraz wakacje.

Nie jest to zdarzenie, które zainteresowałoby bogatych i sławnych, pomyślała Finn.

- Alexander Crawley nie był absolwentem akademii?

- Nie.

- Jest pan pewny?

Miły i obojętny wyraz twarzy dyrektora nabrał nagle ostrości.

- Oczywiście. W pierwszym rzędzie sprawdziłem akta nowojorskiej policji. Sądząc z wieku pana Crawleya, uczęszczałby do akademii w tym samym czasie co ja. Uczyłem się tu od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego piątego do sześćdziesiątego siódmego. Gdyby był pensjonariuszem lub dochodzącym, na pewno bym go znał.

- Rozumiem.

- To była kradzież. Nóż przyciągnął uwagę złodzieja. Niestety, pan Crawley stał się jego ofiarą.

- Nie sądzi pan, że to trochę naciągane?

- Wygląda to na dziwny zbieg okoliczności, w dodatku tragiczny,

lecz zapewniam pana, że to nic więcej.

- Skąd ten nóż wziął się w akademii? - zapytała Finn.

- Mamy tu małe muzeum. Nazywają je gabinetem osobliwości. Nóż był prezentem od jednego z wychowanków.

Valentine popatrzył na Finn. Natychmiast zrozumiała, o co chodzi.

- Moglibyśmy obejrzeć? - zapytała, prezentując swój najlepszy uśmiech. - Miałam na myśli muzeum.

- Nie widzę powodu - odparł dyrektor. - Przecież noża już tam nie ma.

- Proszę - powiedziała Finn, po czym wstała, dzięki czemu zapięcie dzinsów znalazło się dokładnie na wysokości oczu Whartona.

- No dobrze - odpowiedział prawie natychmiast. Wstał i automatycznie sięgnął do guzika marynarki, by go zapiąć. Wygładził krawat. - Moglibyśmy przejść przez szkołę, lecz prościej będzie przez dziedziniec.

Poprowadził ich do hallu, po drodze informując, dokąd idą, pannę

Mimble z oczyma jak filiżanki. Nie usiłował zabawiać gości rozmową;

szedł szybko wąską, wysypaną żwirem ścieżką przecinającą starannie utrzymany trawnik, jakby rzucał im wyzwanie, by dotrzymali mu kroku.

Dotarli do kamiennych stopni przy końcu dziedzińca i przez drzwi ze

szklanych płytek weszli do małej szatni z rzędami mosiężnych haczyków

na ubrania, biegnących po obu stronach pod kątem prostym między dwo-

ma skrzydłami dużego budynku i dwoma wąskimi korytarzami. Wharton

bez słowa skręcił w prawo. Po lewej stronie znajdowały się otwarte drzwi

prowadzące do szkolnego laboratorium, a za nimi następne, opatrzone

drewnianą tabliczką z napisem „Ciemnia”. Wharton skręcił i zatrzymał się przed drzwiami z prawej strony. Sięgnął do kieszeni spodni, wyjął duży pęk kluczy i wsunął jeden z nich w zamek.

- Zamykacie drzwi do muzeum? - zdziwił się Valentine.

- Teraz tak - odpowiedział cierpko Wharton.

Przekręcił klucz i drzwi się otworzyły. Włączył światło i kilka jarzeniówek obudziło się do życia.

Muzeum było małe, nie większe od przeciętnego salonu. Na jednej ze ścian wisiały mapy i obrazy, a wokół pomieszczenia stały szklane gabloty.

Pokój wyglądał stylowo, jak stare fotografie, które Finn widziała w Muzeum Smithsonian. W gablotach było wszystko, od kolekcji ptasich jaj, leżących na małych, żółtych bawełnianych podstawkach, przez stary aparat do oglądania zdjęć stereoskopowych z kilkoma fotografiami, po złoty medal olimpijski z 1924 roku w lekkoatletyce i najwyższe odznaczenie wojskowe Congressional Medal of Honor z czasów drugiej wojny światowej.

Nad jedną z gablot wisiała para muszkietów skałkowych z 1812 roku, a w samej gablocie kolekcja pamiątek z wojny secesyjnej ze starym coltem używanym przez marynarkę wojenną. Obok rewolweru leżała para strasznie wyglądających, oprawionych w mosiądz lornetek ze stłuczonymi prawymi soczewkami i powyginanym, rozerwanym okulem. Finn się skrzywiła. To dodawało nowego znaczenia powiedzeniu: „Nie strzelaj, póki nie zobaczysz białek oczu”.

W głębi, po prawej stronie, wisiał mały, raczej amatorski portret olejny

małpy. Wyglądał, jakby od lat go nie odkurzano. Pod nim stała drewniana gablota, z której diamentową przecinarką wycięto trójkąt szkła i wyciągnięto kawałkiem kitu. Brakujący fragment szyby wciąż leżał obok dziury, a cała gablota była obsypana proszkiem do wykrywania odcisków palców. Finn zajrzała przez otwór i zobaczyła miejsce, w którym na zielonym rypsie widniał przypominający zjawę ciemniejszy ślad po nożu. Kartka pod spodem informowała: „Mauretański sztylet rytualny. Dar pułkownika George'a Gattyego”.

- Kim był Geroge Gatty? - zapytała Finn.

- Uczniem tej szkoły w latach trzydziestych. Potem wstąpił do West Point.

- Ciekawe, jak wszedł w posiadanie hiszpańskiego sztyletu - mruknął Valentine.

- Prawdopodobnie w czasie wojny. Hiszpańskie Maroko, Casablanca, gdzieś tam.

- Widzę, że zna pan dwudziestowieczną historię - zauważył Valentine.

- Prócz stanowiska dyrektora szkoły pełnię również funkcję kierownika katedry historii. Uczę szósty oddział.

- Szósty oddział? - powtórzyła Finn.

- Panu chodzi o dwunastą klasę - wyjaśnił Valentine.

- Czy wie pan coś więcej o Gattym?

- Nie. Tylko tyle, że uczęszczał do tej szkoły w latach trzydziestych i wstąpił do West Point. Takie informacje przekazałem też policji.

- Nie wie pan, gdzie moglibyśmy go znaleźć?

- Odszukiwanie dawnych uczniów nie należy do moich obowiązków,

panie Valentine. Od tego jest stowarzyszenie wychowanków.

- Doktorze Valentine.

- Jak pan woli.

Z tymi słowy Wharton odwrócił się i wyszedł z muzeum.

- Krewki facet - stwierdził Valentine.

- Fakt - przyznała Finn. - Myślisz, że uda nam się odnaleźć pułkownika Gattyego?

- Z takim nazwiskiem nie będzie to zbyt trudne.

Valentine spojrzał jeszcze raz na mały obraz nad gablotą i wyszedł za

Whartonem z muzeum. Dyrektor czekał na nich przed drzwiami. Kiedy

Finn i Valentine opuścili pomieszczenie, zamknął drzwi na klucz.

- Czy jeszcze w czymś mógłbym państwu pomóc? - zapytał.

- Nie - odpowiedział Valentine, kręcąc głową. - Myślę, że dość zobaczyłem.

Wharton zmierzył go ostrym spojrzeniem.

- W takim razie żegnam.

- Dziękujemy za pomoc - dodał Valentine, kiwając głową.

- Nie ma za co - odpowiedział dyrektor, odwrócił się i ruszył do wyjścia.

Finn i Valentine podążyli za nim, lecz szybko zniknął im z oczu. Sły-

chać było jedynie stukot kroków, odbijający się echem wśród szkolnych

korytarzy. Wyszli przez mniejsze drzwi na tonący w upalnym słońcu

dzieciniec.

- I co o tym wszystkim sądzisz? - zapytał Valentine, gdy szli do samochodu.

- Czy to jakiś egzamin? - zapytała Finn.

- Jeśli tak to chcesz nazwać.

- Od czego mam zacząć?

- Oczywiście od początku.

- W gabinecie pachniało fajką, lecz nie zauważyłam ani jednej.

- Tak; ja też zwróciłem na to uwagę.

- Nie chciał, żebyśmy przechodzili przez szkołę w drodze do muzeum, może więc był tam ktoś, kogo nie chciał nam pokazać; może właśnie ten palacz fajki.

- Jeszcze coś?

- Wydaje mi się, że kłamał, jeśli chodzi o Crawleya. Założę się, że gdybyśmy sprawdzili, okazałoby się, że Crawley uczył się w akademii.

- Mów dalej.

- Kłamał też, mówiąc o tym pułkowniku Gattym. Założę się, że wie więcej niż mówi.

- Dlaczego miałby to robić?

- Nie jestem pewna. Pewnie, by go chronić z jakiegoś powodu.

- Co jeszcze?

- Chyba tylko to, że bardzo interesował cię ten obraz w muzeum.

Wyglądał na jakieś stare dzieło Picassa.

- To Juan Gris.

- Ten kubista?

Gris był Hiszpanem jak Picasso, jego sąsiadem w Paryżu i wraz z Georgesem Brakiem należał do pierwszych przedstawicieli tego stylu. Uczyła się o nim na drugim roku. Jeżeli Valentine miał rację, obraz był wart mnóstwo pieniędzy.

- Jeżeli to oryginał, to jest to dzieło bez tytułu z tysiąc dziewięćset dwudziestego siódmego roku i nie powinno go tu być.

- Dlaczego? - zapytała Finn. - Kolejny hojny wychowanek?

- Wątpię - odparł Valentine. - Został zrabowany przez hitlerowców z Galerii Wildensteina w Paryżu i od tej pory nikt go nie widział.

- To jak się tu znalazł?

- No właśnie. To jest dopiero zagadka.

Zatrzymali się przy samochodzie. Taurus nadal stał na swoim miejscu, lecz jaguar zniknął.

- Można przypuszczać, że taurus należy do panny Mimble.

- Myślałam, że jaguar jest Whartona.

- Ja też, dopóki nie zobaczyłem fotografii z lotu ptaka za jego biurkiem. Widać na niej spory dom tuż za budynkiem szkoły. Rezydencja pana dyrektora.

- Czyj więc jest ten jaguar?

- Tego, kto palił fajkę w gabinecie Whartona tuż przed naszym przyjęciem.

- Cholera - mruknęła Finn. - Powinniśmy byli zapisać numer rejestracyjny.

- To numer weterana drugiej wojny światowej mieszkającego w Nowym Jorku. 1LGS2699.

Jakoś nie zdziwiło ją to, że zapamiętał numer.

- Pułkownik Gatty?

- Prawdopodobnie. Łatwo to sprawdzić. - Rzucił Finn kluczyki. - Ty prowadzisz.

Otworzyła samochód i siadła za kółkiem. Valentine zajął miejsce obok kierowcy. Pochylił się, wyciągnął laptopa spod siedzenia i podłączył go do gniazdka zapalniczki. Uruchomił komputer, włączył bezprzewodowy modem GPRS i połączył się bez trudu z bazą danych nowojorskiego wydziału komunikacji. Finn minęła długi podjazd i skręciła na drogę prowadzącą do autostrady. Po kilku minutach Valentine miał to, czego chciał.

- To Gatty Mieszka niedaleko Muzeum Historii Naturalnej.

- Nie zajęło ci to dużo czasu.

- Wszystko, co potrafią zrobić afgańscy terroryści, ja zrobię lepiej.

Uśmiechnął się, wyłączył laptopa i zamknął klapę. Ruszyli w drogę powrotną do Nowego Jorku.

Zapadał wieczór. Po purpurowym niebie nurkowały lelki, wydając godowe krzyki. Zamiast pogrążyć się w ciemności, dom i zabudowania gospodarcze tonęły w blasku sześciu lamp umieszczonych na wysokich słupach, zasilanych przez warczący gdzieś przenośny generator. Kto w tych czasach miał paliwo do oświetlania głupiej farmy, robiąc z niej łatwy cel dla samolotów alianckich lub przechodzących patroli? Ale samoloty alianckie nigdy nie zapuszczały się tak blisko granicy szwajcarskiej i nie było w tej okolicy żadnych patroli z wyjątkiem ich oddziału. To była martwa strefa i jeżeli trwała tu jakaś wojna, to najwyżej prywatna.

Rozbili obóz tuż za granicą lasu, używając do tego resztek starego kamiennego muru zamaskowanego krzakami jeżyn. Jeden z tajniaków, Taggart, szeptał coś na ucho Cornwallowi, który robił notatki w małym notesie, przyświecając sobie kieszonkową latarką. Wszyscy mieli racje żywnościowe M-3, składające się z mięsno-jarzynowego gulaszu, lub M-1 z mięsa i fasoli. Na zimno smakowały równie okropnie jak wyglądały, a po podgrzaniu i nie lepiej. Nie żeby sierżant był wybredny Przez trzy lata jadł to gówno po całej Europie i jego kubki smakowe stwardniały już niczym tektura. Gównem można się napchać równie dobrze jak smacznym jedzeniem, a wychodzi to samo - pakiet C-3 z papierem toaletowym. Jak wszyscy powiadali, była to zasrana wojna.

Nagle zdał sobie sprawę, że Cornwall coś do niego mówi.

- Sierżancie.

- Tak, panie poruczniku.

- Musimy podejść nieco bliżej farmy

- My, panie poruczniku?

- Wy i patrol. Tylu ludzi, ilu uznacie za konieczne.

Głupia, pieprzona uwaga. „Potrzebuję całej pieprzonej armii amerykańskiej, jeżeli możesz mi ją dać”, - pomyślał sierżant. Światło niemieckich lamp migotało w okularach porucznika, jakby w ogóle nie miał oczu. Jego głos brzmiał jak głos nauczyciela historii, wiedzącego wszystko najlepiej. Truteń.

- Co chciałby pan wiedzieć, poruczniku?

- Zróbcie rozpoznanie, sierżancie. Ilu tam jest ludzi, jakie uzbrojenie, tego typu sprawy.

- Tak jest.

Oni odwalą czarną robotę, a Cornwall, McPhail i Taggart będą sobie siedzieć z tyłu i rozmawiać o sztuce. Jezus!

Wybrał Teitelbauma i Reida, bo potrafili trzymać gęby na kłódkę.

Przeleźli przez żywopłot i minęli linię drzew w chwili, gdy wzeszedł księżyc. Prawie godzinę zajęło im zejście w dół do wąskiej drogi biegnącej przed farmą. Była dokładnie na granicy światła rzucanego przez umieszczone na słupach lampy, a przydrożny rów zapewnia dość cienia, by nie dostrzegli ich wartownicy.

Wyciągnął lornetkę i zlustrował teren. Wszystko wyglądało tak jak przedtem, tylko teraz było większe. Dostrzegł wyrwę w obrośniętym jeżynami kamiennym murze, posterunek i kilka roztrzaskanych kawałków drewna, które były kiedyś bramą wjazdową. Po lewej stronie tkwił war-

townik, wyglądający żałośnie w brezentowej pelerynie przeciwdeszczowej, chociaż dawno już przestało padać. Palił papierosa, żar zakreśla łuk w drodze od ręki do ust. To byłby łatwy strzał, rewanż za Hayesa, ale kogo obchodził Hayes. Jeżeli snajper znajdował się nadal na wieży klasztoru, mógłby zdjąć sierżant w mgnieniu oka. Nie, to było tylko rozpoznanie, nic więcej.

Sierżant zauważył również, że przejście przez kamienny mur będzie diabelnie trudne. Był zbyt wysoki i porośnięty jeżynami. Zawisłoby jak ptaki w pieprzonej siatce. Z tego, co zdążył się zorientować, musieliby przejść przez główną bramę, jeżeli w ogóle mieli się dostać do środka. Z drugiej jednak strony, gdyby powiedział to Cornwallowi lub któremuś z tych fałszywych oficerków, pewnie by tak zrobili i w efekcie wszyscy by zginęli. Jak ktoś powiedział mu jeszcze we Francji: „Wiedzieć więcej to mieć więcej”. Sierżant kazał Teitelbaumowi i Reidowi zostać na miejscu, przekazał im wieczorne hasło i powiedział, że zaraz wraca. Jeżeli zapalą i pozwolą się zastrzelić snajperowi z klasztoru, to będzie wyłącznie ich sprawa.

Wślizgnął się między drzewa i podążył na północ. Z wielkiej mapy topograficznej, którą miał Cornwall, sierżant wiedział, że istnieje niewielkie prawdopodobieństwo, że na drodze pojawi się jeden z tych królewskich tygrysów i wyśle ich wszystkich do piekła swoim osiemdziesięciośmimilimetrowym działem. Co prawda nie widział jeszcze żadnego i małe miał szanse zobaczyć. Najgroźniej wyglądał wypalony stary czołg, tkwiący w rowie na szczycie wzgórza, pamiętający chyba czasy hiszpańskiej

wojny domowej. Sierżant czuł się przyblokowany przez tych gości z OSS, ale dopóki nie robili niczego głupiego, nie miał nic przeciwko nim. Nie był bohaterem, to jasne. Chciał jedynie przeżyć i wrócić do Canarsie.

Szedł przez las, automatycznie przeczesując wzrokiem teren w poszukiwaniu pułapek lub drutów rozciągniętych nisko nad ziemią, nasłuchując dźwięków, pozostając w swoistym instynktownym transie, który upodobał go do zwierzęcia, gotów zareagować na coś, co odbiegało od naturalnego porządku rzeczy. W końcu dotarł do kolejnego rowu melioracyjnego, który prowadził do przepustu biegnącego pod drogą do pola po drugiej stronie. Gdyby na tym terenie miały być jakieś mechanizmy ostrzegające, miny lub druty, to powinny znajdować się tutaj, ale niczego takiego nie zauważył. Oznakowania na ciężarówkach wskazywały na SS, ale to nie była żadna elitarna jednostka. Te kutasy, czy nawet zwykli żołnierze, nie zostawiliby niezabezpieczonych tyłów. Sprawdził dokładnie ziemię.

Żadnych niedopałków, zapalek, resztek jedzenia czy smrodu sików; niczego, co by wskazywało na obecność wartownika. Uśmiechnął się do siebie, zadowolony, że przyszedł tu sam. Coś się tu szykowało, coś równie szurniętego jak Cornwall i dwóch jego tak zwanych poruczników.

Przykucnął nad przepustem, badając wzrokiem ziemię. Od sześciu miesięcy trzymali się razem. Przeniesiono ich tu z Antwerpii zaraz po wyzwoleniu Holandii i dołączono do G2 na Bóg wie czyj rozkaz. Od tego czasu przemierzali Europę, głównie gadając z ludźmi i nie biorąc udziału w walkach. Dwa tygodnie temu siedzieli jakieś osiemdziesiąt kilometrów od Koblencji, czekając na Angoli i zastanawiając się, co robić, i wtedy

Cornwall odkrył coś, co pchnęło ich na południe i wschód niczym psy myśliwskie czujące zapach suki. Może to, co wywęszył, to była właśnie dziwaczna jednostka SS w środku pieprzonej Bawarii i sześć samochodów marki Opel Blitz. Taki pożeracz paliwa jak blitz, rozwijający prędkość pięćdziesięciu kilometrów na godzinę lub nawet więcej na dobrej drodze, wart był fortunę, i to właśnie dało mu do myślenia. Ciężarówki musiały mieć specjalne zadanie do wykonania i dokumenty pozwalające dojechać tak daleko na południe, skąd można było dostać się do Szwajcarii, Włoch lub Austrii. Na wschodzie byli Ruscy, na zachodzie alianci, a oni w środku ściśnięci jak pryszcz. Możliwe, że zmierzali do Szwajcarii, bo Włochy się poddały, a Austria miała to zrobić lata moment. To oznaczało, że są niecałe sto kilometrów od jeziora Constance.

Przeszukał przepust, zastanawiając się, jakie kłopoty ściągnie na niego własna ciekawość. Powiedzmy, że ładunek w tych sześciu oplach jest rzeczywiście cenny, i powiedzmy, że Cornwall chce go przejąć. Ale pytanie, co potem zamierza z nim zrobić. Jego zadaniem było odzyskanie całego towaru i oficjalnymi kanałami oddanie go prawowitym właścicielom. Zaczynał jednak się zastanawiać. Może oni nie brali udziału w wojnie i bawili się w poszukiwaczy. Może każdy działał na własną rękę. Może nadszedł czas dla chłopca z Canarsie, by odkroić sobie duży kawałek tego tortu. Może.

Sięgnął ręką do kolby pistoletu na biodrze. Trzech fałszywych oficerów, którzy nigdy nie byli w wojsku, mieli ciepłe posadki i w przeciwieństwie do innych byli patriotami. Nie miałby z tym większych kłopotów,

ale co zrobiliby z sześcioma ciężarówkami? To wszystko było przecież udokumentowane.

Podniósł się. Świt wstawał szybko, a między drzewami snuła się mgła niczym mnóstwo podartych łachmanów. Sześć ciężarówek i na tyle blisko granicy szwajcarskiej, że mogłyby pokonać tę odległość w dzień, może dwa. Warto o tym pomyśleć. Poprzez poszarpaną mgłę popatrzył na bramę wjazdową na farmę. Przez chwilę był niemal pewny, że widzi postać wchodzącą przez tę bramę. Wyciągnął lornetkę. To nie wartownik. Jakiś człowiek w mundurze. Zapewne generał, na co wskazywał czerwony pas na pieprzonych bryczesach. Wyglądał jednak na zbyt młodego - miał około czterdziestki, drapieżną twarz podobną do głowy jastrzębia i spiczastą brodę. Może to jakieś przebranie. Zatrzymał się przy bramie i wówczas pojawiła się kolejna postać: kobieta w swetrze i chustce. Facet w mundurze przypalił jej papierosa. Zaśmiali się z czegoś. Kobieta była młoda. Interesujące. Żona gospodarza lub córka, albo ktoś uczestniczący w podróży. Sześć ciężarówek, fałszywy generał i kobieta. Co to wszystko znaczyło?

Rezydencja Gatty'ego znajdowała się przy West Seventy Second Street. Była to pięciopiętrowa kamienica, która wyglądała, jakby wiele lat temu przeniesiono ją z kanału w Amsterdamie. Z lewej strony graniczył z nią dom, elewacji wykonanej z piaskowca, a z prawej - wielki apartamentowiec. Główne wejście znajdowało się w suterenie i musieli zejść do małej studni ogrodzonej płotem z kutego żelaza. Na drzwiach wisiała ogromna kołatka w kształcie czarnej dłoni, trzymającej coś, co wyglądało jak mała kula armatnia z nieruchomym okiem w środku. Valentine stuknął nią dwa razy w ciężkie dębowe drzwi. Dźwięk odbił się echem w środku, a potem zabrzmiały kroki na kamiennej podłodze.

- Straszny dom - stwierdziła Finn.

Valentine się uśmiechnął.

- Straszne to są pieniądze, za które można kupić taką rezydencję na West Side.

Nad ich głowami rozblęsnęło światło. Po chwili drzwi się otworzyły i stanął w nich mężczyzna ubrany w prosty czarny garnitur. Miał około siedemdziesiątki, resztki srebrzystobiałych włosów na głowie, ciemne oczy, które zbyt dużo widziały i wąskie usta. Górną wargę przecinała blizna, odsłaniająca kawałek żółtego zęba. Urodził się w czasach, gdy jeszcze nie operowano rozszczepionego podniebienia i takie anomalie były na porządku dziennym.

- Chcielibyśmy rozmawiać z pułkownikiem – powiedział Valentine. -

To ma związek z Akademią Greyfriars. Zdaje się, że niedawno tam był.

- Chwileczkę - odpowiedział mężczyzna.

Mówił lekko przez nos, ale dość wyraźnie. Zaraz też zamknął drzwi i wyłączył światło, pozostawiając przybyszy w ciemnościach.

- To lokaj morduje - stwierdziła Finn. - On jest naprawdę straszny.

- To nie tylko lokaj - odparł Valentine. - Także ochroniarz. Nosi broń.

Widziałem kaburę, jak się odwracał.

Lokaj-ochroniarz wrócił po kilku minutach i wpuścił ich do środka.

Weszli za nim do mrocznego, wykładanego łupkami hallu ze staromodnymi kinkietami na ścianach. Poprowadził ich szerokimi dębowymi schodami do ogromnego pokoju o wysokości dwóch pięter, wyglądającego jak skrzyżowanie nawy kościelnej z magnacką sienią. Sufit zdobiły gipsowe grona winorośli, ściany do wysokości trzech czwartych wyłożono ciemną dębową boazerią, a podłogę przykrywały szerokie deski. Trzy zwieńczone łukami wielkie okna na jednym końcu wychodziły na Seventy Second Street, a przez dwanaście węższych okien sięgających od podłogi aż do sufitu, widać było mały, otoczony murem ogród, słabo oświetlony przez trzy niewielkie lampy w narożach.

Na ścianach pokoju wisiało mnóstwo obrazów, przeważnie dzieł mistrzów holenderskich: wnętrza kościelne Emanuela de Witte, wnętrza domów Pietera de Hoocha, pejzaże morskie Aelberta Cuypa i mroczne zamczyska Meindert Hobbema. Wyjątkiem był duży portret młodej dziewczyny pędzla Renoira, wiszący na honorowym miejscu nad wielkim, wykładanym kaflami kominkiem.

Pokój zdobiły również heraldyczne sztandary zwisające z galerii

pierwszego piętra, biegnącej wzdłuż trzech ścian, oraz umieszczone w rogach cztery czarne zbroje. Prawie całą podłogę przykrywał jasnoczerwony dywan, na którym stały na wprost siebie dwie wielkie kanapy ze skóry w karmelowym kolorze. Pomiędzy nimi na skórze zebry ustawiono kwadratowy stolik do kawy zrobiony z drzewa tekowego, z blatem w ozdoby z kutego mosiądzu. Na rozstawionych w różnych miejscach niskich stolikach stały fotografie w srebrnych ramkach i leżały rozmaite drobiazgi, od ozdobnych złotych papierośnic po co najmniej trzy srebrne sztylety kumia.

- Widzę, że podobają się państwu moje zbiory – odezwał się głos gdzieś nad ich głowami. - Zapraszam do oglądania.

Finn uniosła głowę i ujrzała mężczyznę o wydatnej szczęce, spoglądającego na nich z galerii. Po chwili zniknął, rozległ się niski buczący dźwięk, po czym mężczyzna pojawił się w odległym końcu pokoju. Miał na sobie elegancki garnitur ze słynnej z ekskluzywnych zakładów krawieckich ulicy Saville Row w Londynie, o kroju sprzed co najmniej trzydziestu lat, gładko zaczesane czarne włosy w stylu Ronalda Reagana, przyciemniane zapewne pastą do butów, i ogromne, wyblakłe niebieskie oczy. Sękaty dłonie pokrywały duże plamy wątrobowe. Idąc, wspierał się na lasce i lekko pociągał nogą. Lewe ramię wydawało się też nieco wyższe od prawego. Pomimo czarnych włosów wyglądał na osobę dobrze po osiemdziesiątce.

- Siadajcie - powiedział, wskazując skórzane kanapy laską trzymaną w lewej dłoni.

Finn i Valentine zrobili, jak kazał. On sam usiadł na ciężkim drewnianym krześle z wysokim oparciem, stojącym prostopadle do kanap. Pojawił się lokaj-ochroniarz ze starym srebrnym kompletem do kawy. Postawił tacę na stole i zniknął.

- Edward Winslow - odezwał się pułkownik. – Ludzie często mylą go z Paulem Revere.

Z kieszeni marynarki wyjął fajkę z korzenia wrzośca i zapalił ją czarną zapalniczką pamiętającą czasy drugiej wojny światowej. Zamknął ją z wprawą i wydmuchnął obłoczek pachnącego jabłkiem dymu.

„Jedna zagadka rozwiązana”, - pomyślała Finn.

- Winslow był o wiele wcześniejszy od Revere'a – wtrącił Valentine.

- I moim zdaniem lepszy, zwłaszcza w mniejszych formach. Revere był trochę melodramatyczny, i takie miał też poglądy polityczne*.

- Zna się pan na srebrze?

- I na polityce - uśmiechnął się Valentine. - Zwłaszcza na melodramatycznej.

- A kim jest pańska młoda i wyjątkowo piękna towarzyszka?

- Nazywam się Finn Ryan, pułkowniku. Jesteśmy tu z powodu sztyletu kumia, który podarował pan Akademii Greyfriars.

- Tego wepchniętego w gardło biednego Alexa Crawleya? - zaśmiał się starszy pan. - Chociaż bardzo chciałbym to zrobić, wątpię, czy artretyzm by mi na to pozwolił, nie wspominając już o udarze, któremu uległem jakiś rok temu. Nie chodzę już tak jak kiedyś.

- Znał pan Crawleya? - zapytał Valentine.

- Na tyle, by go nie lubić. Był, jak to się mówi, liczykrapą. Zupełnie nie miał wyczucia sztuki, której był przedstawicielem.

- Jak go pan poznał? - spytała Finn. - Przez muzeum czy Akademię Greyfriars?

Starszy pan obrzucił ją długim, niemal drapieżnym spojrzeniem, od którego ścierpła jej skóra.

- Ani tak, ani tak. Zresztą to nie pani sprawa. Proszę się rozejrzeć, panno Ryan. Prawidłowo wymówiłem pani nazwisko? Ja żyję ze sztuki.

Mnóstwo jej kupuję. Kiedy kupuje pani na taką skalę jak ja, często nabywa pani niedostępne dzieła z takich miejsc jak muzeum Parker-Hale. Mie-li sporo prac holenderskich mistrzów, które kolekcjonuję.

- Z wyjątkiem Renoira - zauważył Valentine, wskazując na obraz wi-szący nad kominkiem.

- Tak, kupiłem go tuż przed końcem wojny.

- Aha.

* Paul Revere - uczestnik bastionskiego „buntu herbacianego”, wzór amerykańskiego patrioty [przyp. red.].

Valentine zawiesił głos i czekał. Gatty był kolekcjonerem, dość pospo-litym, jeżeli sądzić po wystroju salonu, a kolekcjonerzy lubią się chwalić.

- W Szwajcarii, ściśle rzecz biorąc.

- Osobliwy przydział.

- Niezupełnie przydział. Współpracowałem z ramienia armii z Alle-nem Dullesem w Bernie.

- Tak?

- To były tajne operacje wojskowe. Do dzisiaj nie mogę o nich mówić.

- Dulles kierował nasłuchem w Biurze Służb Strategicznych. Co ma z tym wspólnego Renoir?

Pułkownika wyraźnie zaskoczyła wiedza Valentine'a na ten temat.

Uniósł brew, po czym się uśmiechnął.

- W Europie było mnóstwo dzieł sztuki na sprzedaż. Przed, w czasie i po wojnie. Po prostu skorzystałem z tendencji zniżkowej na rynku. Pochodzenie tego Renoira jest najzupełniej legalne.

- Nie powiedziałem, że nie jest - odparł łagodnym tonem Valentine.

- Nadal od nich kupuję.

- To znaczy od kogo?

- Od Galerii Hoffmana - odpowiedział Gatty.

Finn drgnęła zaskoczona. Valentine mimochodem położył jej dłoń na kolanie i już jej stamtąd nie zabrał. Nie była pewna, co bardziej ją zaskoczyło - dotyk ręki Valentine'a czy nazwa galerii. Tę samą wskazał komputer, ustalając pochodzenie rysunku Michała Anioła. Nie rozwiązywało to zagadki, lecz przynajmniej dokładało kolejny kawałek do łamigłówki. Sztylet, Akademia Greyfriars, znajomość Gatty ego z Crawleyem i teraz ta szwajcarska galeria. Trudno jednak było doszukać się w tym jakiegoś sensu.

- Czy to nie dziwne, że morderca zadał sobie tyle trudu, by włamać się do szkoły w Connecticut i ukraść broń, by posłużyć się nią w Nowym Jorku?

- O ile mi wiadomo, to był zbieg okoliczności. Kradzież w jednym

miejscu, sztylet odnajduje się w drugim. Równie dobrze morderca mógł kupić ten nóż w lombardzie. Nie ma dowodu, że była to ta sama osoba.

- Gdyby bronił pan się w sądzie, zapewne przyznano by panu rację.

- Ale nie jestem w sądzie, prawda? - odparł Gatty. - I raczej nie będę.

- Nie, chyba nie - przyznał Valentine i klepnął lekko Finn po kolanie.

Wstał; ona również się podniosła. Pułkownik nie ruszył się z miejsca.

Pojawił się białowłosy ochroniarz, jakby Gatty wcisnął ukryty guzik.

- Bert, odprowadź państwa.

Starszy pan uśmiechnął się chłodno i lokaj odprowadził ich do drzwi.

- Co to wszystko miało znaczyć? - spytała Finn, gdy szli do samo-

chodu. - Nie zapytałeś go o nic z wyjątkiem Renoira. I skąd wiedziałeś, że istnieje jakiś związek z rysunkiem?

- Nie wiedziałem - odparł Valentine. - Za to wiem, że widziałem już tego Renoira.

- Gdzie?

- W tym samym miejscu co Juana Grisa wiszącego w szkolnym muzeum, to znaczy w międzynarodowym rejestrze zaginionych dzieł sztuki.

Ten Renoir zniknął w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym razem z pejzażem Pissarra podczas przewożenia z Amsterdamu do Szwajcarii.

Prawdopodobnie nigdy do niej nie dotarł. Dwa skradzione obrazy w ciągu jednego dnia... - Urwał. - O dwa za dużo - dodał po chwili.

Górne piętro siedziby Ex Libris było zaskakująco puste w porównaniu z zapchanymi niższymi kondygnacjami. Po powrocie od Gattyego Valentine otworzył kluczem wielką windę towarową i wjechali w milczeniu na górę. Finn znalazła się w hali o powierzchni ponad czterech i pół tysiąca metrów kwadratowych, wyglądającej jak z filmu Felliniego. Jedno rozległe i wysokie pomieszczenie prowadziło do drugiego. Pierwsze miało metalowe ściany wytłaczane we wzór ceglanego muru i pomalowane na czerwono. Stał tu stół z ogromnym blatem z czarnego marmuru z Georgii. Stąd przeszli do szerokiego hallu pomalowanego na ciemnozielony kolor z neonowymi rzeźbami Johna Kulika i owalnymi chińskimi dywanami przykrywającymi podłogę wyłożoną błyszczącymi czarnymi kafelkami. W trzecim pomieszczeniu, pełniącym zapewne rolę salonu, też leżały chińskie dywany na podłodze, na ścianach zaś wisiały wielkie surrealistyczne obrazy Sidneya Goldmana z nagimi ciałami i zakonnicami. Finn usiadła na jednej z trzech kanap i rozejrzała się po pokoju. Valentine zniknął za rogiem i po kilku minutach wrócił, niosąc na tacy dwa ogromne bajgle i dwa piwa w butelkach ze smukłymi szyjkami.

- Błatz?

- Z Wisconsin - uśmiechnął się Valentine. - Chodziłem do szkoły w Madison i zasmakowałem w tej marce.

- Mój tata uczył na tamtejszym uniwersytecie - powiedziała Finn.

Pociągnęła łyk piwa, odgryzła kawałek bajgla i zaczęła go żuć, patrząc na siedzącego na wprost niej Valentine'a.

- Zgadza się. - Przytknął butelkę do ust, nie ruszając leżącego na tacy

bajgla. - Tam właśnie się z nim zetknąłem.

- Jak się poznaliście?

- Uczył mnie antropologii.

- Kiedy to było?

- Koniec lat sześćdziesiątych, początek siedemdziesiątych.

- Musiał być wtedy młody.

- Owszem. Ja byłem nawet jeszcze młodszy - zaśmiał się.

Finn przełknęła kolejny kęs bajgla i popiła piwem. Rozejrzała się po pokoju, popatrzyła na meble i dzieła sztuki, pomyślała o jednej z nowojorskich nieruchomości, na której górnym piętrze właśnie siedziała, i o jej gospodarzu. To wszystko było takie męczące. W głowie zaczęło jej wirować. Tego już za wiele.

- Nie dorobił się pan tego, sprzedając stare książki, panie Valentine.

- Michael. Cóż za pasywno-agresywne stwierdzenie, panno Ryan.

- Daruj sobie tę tanią psychoanalizę. Zajmujesz się nie tylko sprzedażą książek i zbieraniem informacji.

- Tak.

- Jesteś jakimś tajniakiem?

- Tajniakiem?

- No, szpiegiem.

- Nie. Raczej nie.

- A kim był mój tata?

- Profesorem antropologii.

- Kiedy zmarł, sprowadzili ciało do Columbus.

- Tak.

- Było w zamkniętej trumnie. Wtedy się nad tym nie zastanawiałam.

Byłam po prostu zła, że nie mogę zobaczyć jego twarzy.

Valentine nic na to nie odpowiedział.

- Ale później, znacznie później zaczęłam myśleć o tych wszystkich miejscach, w których był: zawsze politycznie niestabilnych, zawsze niebezpiecznych... A potem zaczęłam się zastanawiać, dlaczego przywieźli go w zamkniętej trumnie, skoro zmarł na zupełnie niewinny zawał serca.

Valentine wzruszył ramionami.

- Zmarł w dżungli. Może potrzeba było czasu, by sprowadzić jego szczątki.

- A może brakowało mu paznokci, może był torturowany, a może tak naprawdę to nie było ciało mojego ojca.

- Chcesz przez to powiedzieć, że według ciebie ojciec był szpiegiem?

- Pochodzę z Columbus w Ohio. Myślę, jak to zwykli określać nauczyciele, linearnie. No wiesz: proste linie, fakty stawiane jeden za drugim jak w dominie, by sprawdzić, dokąd cię zaprowadzą. W tym wypadku matka daje mi twój numer telefonu, a ty nie jesteś grubym starym antykwariuszem i byłeś kiedyś studentem taty... Pewnie kimś więcej niż studentem. Czy błędnie rozumiem? Mój chłopak ginie z ręki mordercy, ja o włos unikam śmierci, mój były szef kończy ze sztyletem w gardle, a ty nawet nie mrugniesz... Michael.

- Mówisz zupełnie jak on.

- Kto?

- Twój tata. Tak samo wyliczał fakty na palcach.

Finn popatrzyła na ręce i zorientowała się, co właśnie zrobiła z palcami. Spłonęła rumieńcem, przypominając sobie, jak ojciec, jedząc obiad, wyjaśniał coś i tak samo układał jeden palec na drugim. Zamknęła oczy, bo nagle poczuła się zmęczona. Teraz marzyła tylko o tym, żeby paść na łóżko i przeleżeć w nim miesiąc lub dwa. Ile to już czasu minęło? Dwadzieścia cztery, trzydzieści sześć godzin? Coś koło tego. To było jak błysk pioruna, jak nieoczekiwana zmiana miejsc. Jedziesz sobie spokojnie samochodem i nagle stoisz przywiązany do słupa telefonicznego. Nie tak wygląda życie, a raczej - nie tak powinno wyglądać. Robiła wszystko, co trzeba: dobrze się uczyła, szczotkowała zęby z boku na bok i z góry na dół, była grzeczna w stosunku do innych, rumieniła się, a więc to wszystko nie powinno się zdarzyć. Otworzyła oczy.

- Nie chcę słuchać więcej tych bzdur, Michael. Nie bawię się w kotka i myszkę ani w Sherlocka Holmesa i doktora Watsona. Mówimy tu o moim życiu, a raczej o mojej śmierci. O morderstwie. Chcę znać prawdę. I chcę wiedzieć, kim ty, u diabła, jesteś.

- Może ci się to nie spodobać.

- Przekonajmy się.

- Czy wiesz coś o swoim dziadku? Ze strony ojca.

- A co to ma do rzeczy?

- Bardzo dużo.

- Prowadził jakiś interes. Ojciec nigdy o nim nie mówił. Był oczywi-

ście Irlandczykiem. - Westchnęła. - To stara historia.

- Przecież jesteśmy częścią historii, z niej się wywodzimy. Znasz ta-

kie powiedzenie: „Kto nie pamięta historii...

- ...skazany jest na jej ponowne przeżycie”.

- Mnóstwo ludzi zna to powiedzenie, ale czy wiesz, kto jest jego au-
torem?

- Nie.

- Filozof hiszpańskiego pochodzenia, George Santayana. Urodził się
w połowie dziewiętnastego wieku, zmarł w tysiąc dziewięćset pięćdziesią-
tym drugim. Twój dziadek kiedyś się z nim spotkał.

- Zawsze zmierzasz do domu najdłuższą drogą?

- Twój dziadek urodził się w Irlandii, ale nie nazywał się Ryan, lecz
Flynn, Padraic Flynn. A Flynn, po irlandzku „O’Flionn”, znaczy „rudy”.

- Jezu - jęknęła. - To znaczy, że tak naprawdę nazywam się Finn
Flynn?

- Zmienił je legalnie, gdy w pośpiechu wyjeżdżał z Cork. Brał udział
w powstaniu wielkanocnym w tysiąc dziewięćset szesnastym roku i mu-
siało opuścić miasto. Przyjechał do Kanady i nie prowadził żadnego interesu.
Przemycał alkohol. Wzbogacił się na szmuglowaniu alkoholu łodziami z
Windsoru przez Detroit River.

- To wszystko jest bardzo interesujące, ale dokąd prowadzi?

- Kiedy przedostał się na amerykańską stronę rzeki, poznał mojego
dziadka, Michelangela Valentiniego. On też zmienił nazwisko, na Mickey
Valentine, ale wszyscy nazywali go Mickey Hearts. Był przez jakiś czas

sławny, jak twój dziadek. Patrick Ryan wycofał się z interesu po zniesieniu prohibicji i przeprowadził się do Ohio. Mickey Hearts zginął zastrzelony w wojnie gangów w latach siedemdziesiątych. Potem Gotti i jego czubki przejęli interes.

- No dobrze, więc oboje mamy kryminalne korzenie. Jeżeli to prawda, bo zaczynam mieć co do tego wątpliwości. Ale do czego zmierzasz?

- Do tego, że ani mój, ani twój dziadek nie chcieli, aby ich dzieci wyrosły na przestępców. Ich do obrania takiej drogi zmusiła bieda. Za to ich synowie mogli bez przeszkód zdobywać wykształcenie. Obaj poszli do Yale. Podczas wojny mój ojciec pracował dla generalnego prokuratora wojskowego, a twój ojciec dla Biura Służb Strategicznych.

- Nie wiedziałam o tym. Nadal jednak nie rozumiem, co to ma wspólnego z zamordowaniem Crawleya czy mojego chłopaka.

- Zaczynam podejrzewać, że wiele; przynajmniej pośrednio.

- Dokończ więc swoją opowieść.

- Po wojnie mój ojciec zaczął pracować dla CIA, a twój staruszek uczył antropologii, co w latach pięćdziesiątych i na początku sześćdziesiątych wiązało się z licznymi podróżami, głównie do południowej Azji i Ameryki Środkowej. Świetnie pasował do tej roli: okulary w rogowej oprawie, łysy, ruda broda, szeroki uśmiech, tweedowa marynarka z łataniami na łokciach; nawet palił fajkę. Nikt nie zwracał na niego uwagi.

Napisał prace o Hmongach i Ludziach Gór z Wietnamu i Kambodży, zanim ktokolwiek potrafił ich znaleźć na mapie. Przewidział również wybuch rewolucji na Kubie i zwrócił uwagę na Fidela Castro, jeszcze zanim

ten doszedł do władzy.

- Chcesz powiedzieć, że był szpiegiem?

- Nie. W każdym razie nie oficjalnie, ale mój ojciec zwerbował go jako wolnego strzelca, jednego z najlepszych w branży, a twój tata z kolei namówił mnie. Był specjalistą od informacji. Poszerzyłem swoją wiedzę o historię i inne specjalności.

- Jak przestępstwo.

- To się z tym wiązało. Dziadek wtedy jeszcze żył. Ojciec dawno temu zerwał z nim wszelkie stosunki, podobnie jak twój ojciec ze swoim ojcem, lecz mnie zawsze ciekawiły moje korzenie, a czy to się komuś podoba, czy nie, Mickey Hearts był moją rodziną.

- Co łączy się z morderstwem i kradzieżą dzieł sztuki.

- Kradzieże dzieł sztuki były moim głównym źródłem utrzymania przez ostatnie dwadzieścia lat. Poszukiwanie, odnajdywanie, odzyskiwanie, poświadczenie autentyczności. Pracuję dla klientów indywidualnych, towarzystw ubezpieczeniowych, muzeów; dla każdego, kto mnie potrzebuje.

- A także pośredniczysz między złodziejami a nabywcą.

- Czasami tak trzeba, inaczej dzieło sztuki może na tym ucierpieć.

- Ars gratia artis - rzuciła drwiąco Finn. - Sztuka w imię sztuki. I wielkie honorarium. - Pokręciła głową. - Daleko odeszliśmy od taty.

- Nie tak bardzo. Od twojej mamy też.

- Mamy? To drobna starsza pani.

- Może cię zaskoczyć. Tkwiła w tym równie głęboko jak twój ojciec.

- W czym dokładnie?

- Twojego ojca nie zabito dlatego, że próbował przeszkodzić jakiemuś operetkowemu dyktatorowi jednej z republik bananowych. Zginął, bo odkrył, że ten operetkowy dyktator nazwiskiem Jose Montt mordował chłopów na masową skalę i plądrował stanowiska archeologiczne na terenie środkowej Gwatemali. Człowiek, który spełniał jego rozkazy, był dowódcą jednego ze szwadronów śmierci Montta, Le Mano Blanco, Białej Ręki. Nazywał się Julio Roberto Alpirez. Zarabiali setki milionów dolarów rocznie na zagrabionych dziełach sztuki. Twój ojciec wszedł im w drogę, a nawet nagłośnił tę sprawę, co było jeszcze gorsze.

- Co się stało z Alpirezem? - zapytała napiętym głosem Finn, blednąc na twarzy.

- Umarł - odpowiedział Valentine.

- Jak?

- Zabiłem go - odrzekł beznamiętnym tonem. - Miał mieszkanie w stolicy Gwatemali w strefie czwartej, za stałym kościołem Świętego Augustyna na Cuarta Avenida Sur. - Valentine pociągnął łyk piwa ze stojącej przed nim butelki. Popatrzył na Finn, ale jakby w ogóle jej nie widział. - Poszedłem do jego mieszkania. Spał zamroczony do nieprzytomności kokainą i dwunastoletnią whisky. Związałem mu ręce i nogi, potem obudziłem go, przypalając papierosem i mówiłem do niego przez kilka minut. Następnie owinałem mu gardło bardzo cienką struną od fortepianu, mocno pociągnąłem i odciąłem mu głowę. Od tego czasu skończyły się kradzieże cennych artefaktów.

Twój ojciec był moim nauczycielem, mentorem i przyjacielem, a ja pochodzę z rodziny, w której głęboko wierzy się w siłę zemsty. - Dopił piwo i wstał. - Zrobiło się późno. Idę spać. Ty też powinnaś się przespać.

Twój pokój jest na końcu korytarza.

Uśmiechnął się, odwrócił i wyszedł z salonu.

Rezydencja arcybiskupa Nowego Jorku to piękny stuletni pałac przy Madison Avenue 452, tuż za katedrą Świętego Patryka, połączony z nią podziemnym przejściem. Parter, zwany muzeum, wypełniony sztywnymi, zabytkowymi meblami, zwykle służy jako miejsce do robienia zdjęć, organizowania przyjęć i różnych akcji charytatywnych z udziałem wysoko postawionych osobistości. Na pierwszym piętrze mieszczą się biura i prywatne pokoje współpracowników kardynała: kucharza, trzech gospodyń, dwóch księży pełniących rolę sekretarzy i kanclerza archidiecezji. Sekretarze to wyszkoleni strzelcy wyborowi, którzy ukończyli liczne kursy z taktyki i rodzajów broni w Akademii FBI w Quantico, zazwyczaj uzbrojeni, gdy towarzyszą kardynałowi poza rezydencją lub katedrą. Prywatny apartament arcybiskupa na drugim piętrze składa się z sypialni, łazienki, małej kuchni, salonu i gabinetu. W skromnie umeblowanym salonie stoi kanapa, kilka krzeseł, mały, lecz dobrze zaopatrzony barek i duży kolorowy telewizor. Gabinet ma kilka wielkich witrażowych okien, sklepiony sufit i długi, stary stół refektarzowy, służący kardynałowi za biurko. Mała sypialnia, trzy i pół na cztery metry, leży między gabinetem a salonem. Wyposażona jest w wielkie łóżko i jedno okno z białobrązowymi zasłonami uszytymi z tego samego materiału co kapa na łóżko. Okno ma kuloodporne szyby i warstwę laminatu, zapobiegającą rozbiciu w wypadku zamachu bombowego. Sufit nad łóżkiem zdobi brzydkie malowidło przedstawiające Chrystusa wjeżdżającego na osiołku do Jerozolimy. Na przeciwległej ścianie wisi wielki czternastowieczny złoty krucyfiks,

stanowiący niegdyś część ołtarza w katedrze we Wrocławiu. W końcu pokoju stoi wysoka szafa z drzewa żelaznego z szatami liturgicznym arcybiskupa, takimi jak kapy, ornaty, komże, purpurowo-czarne mantolety obszyte złotą nicią i gronostajami oraz wysadzany szmaragdami złoty pektorał używany podczas piątkowych mszy wieczornych, gdy arcybiskup udziela sakramentów świętych.

Człowiek występujący pod kilkoma nazwiskami, jako ksiądz Ricardo Gentile z Rzymu, Peter Ruffino z oddziału taktycznego do odzyskiwania dzieł sztuki i Laurence G. MacLean z biura bezpieczeństwa, szedł cicho przez pokoje prywatnego apartamentu arcybiskupa na drugim piętrze.

Jego kroki tłumiła para czarnych nike'ów. Ukryty za małym magazynem za zakrystią, zaczekał, aż zamkną o dwudziestej trzeciej katedrę, po czym, kierując się wcześniej otrzymanymi wskazówkami, zszedł do podziemnej krypty łączącej się korytarzem z rezydencją.

Łatwość, z jaką dostał się do prywatnego apartamentu Jego Eminencji Davida kardynała Bannermana, była w najwyższym stopniu niepokojąca w mieście i kraju, które tak niedawno doświadczyły ataku terrorystycznego. Amerykanie nadal byli w tych sprawach amatorami i wykazywali zdumiewającą ignorancję, nie przyjmując do wiadomości faktu, że ktoś może ich tak bardzo nienawidzić, by pragnąć ich zniszczyć tylko dlatego, że są Amerykanami. Watykan od prawie tysiąca, a może więcej lat, wysyłał zamachowców, by w imię Boga wykonywali szatańskie zlecenia, a inne narody robiły to o wiele wcześniej.

Do dwunastego wieku w Szwajcarii było więcej politycznych mor-

derstw niż kiedykolwiek w Stanach Zjednoczonych, a jedynym krajem, w którym zdarzyło się ich mniej, była najbliższa sąsiadka Ameryki - Kanada. Nawet ten przyjazny i odludny kraj lodu i śniegu doświadczył w swoim czasie spektakularnych ataków terrorystycznych. Wiązało się to w głównej mierze z kwestią nie wyciągania wniosków z historii, a w tym Amerykanie byli świetni i woleli wierzyć, że - jakby to powiedzieć - inne narody świata krążą wokół nich jak planety wokół Słońca. Może kilku bogatych fanatyków i szaleńców pokroju Osamy ben Ladena i samoloty pasażerskie ciskane niczym patyki lub kamienie wreszcie ich czegoś nauczą.

Ksiądz Gentile przystanął w drzwiach sypialni i przykręcił tłumik do lufy brzydkiej małej beretty cougar, po czym rozejrzał się po pokoju. Bannerman spał, cicho pochrapując. Gęste, szpakowate włosy odcinały się od bieli poduszki. Leżał na wznak, dokładnie pośrodku wielkiego łóża, z rękoma złożonymi na kapie jak nieboszczyk i prześcieradłem podciągniętym pod szyję. Gentile zwrócił uwagę na kołnierzyk jedwabnej pizamy, pochodzącej prawdopodobnie od Gammarellego, sklepu w pobliżu Panteonu. Podeszedł bliżej, usiadł na brzegu łóża i delikatnie stuknął skrajem tłumika w szlachetny irlandzki nos kardynała.

- Pobudka - powiedział cicho.

Bannerman przestał chrapać i coś mruknął. Gentile uderzył go nieco mocniej w nos. Kardynał otworzył oczy i zmarszczył czoło, czując ból.

- Co, u diabła?

- Pobudka - powtórzył Gentile. - Musimy porozmawiać. Nie podnoś

głosu. Lepiej, żeby nikt nam nie przeszkodził.

Bannerman zrobił zeza, patrząc na lufę z tłumikiem tkwiącą w odległości zaledwie kilku centymetrów od jego nosa. Strzał z tak bliska roztrzaskałby mu mózg, który z kolei ochlapałby malowidło z Jezusem na osiołku.

- Kim pan jest? - zapytał.

Kardynał był starym człowiekiem, sporo po siedemdziesiątce, lecz głos nadal miał mocny i dźwięczny.

- Vincit qui se vincit - odpowiedział ksiądz z pistoletem. „Zwycięzcą jest ten, kto siebie zwycięża”.

Oczy Bannermana rozszerzyły się na te słowa. Było to coś, o czym każdy człowiek na jego stanowisku wiedział i czego się obawiał. W tych kilku słowach i odpowiedzi na nie kryło się ziarno skandalu o niewyobrażalnych rozmiarach. Natychmiast domyślił się, kim jest jego gość, na co pozwalała mu władza i skąd ta władza pochodzi. Wiedział również, że będzie martwy, jeżeli w ciągu kilku sekund nie poda odzewu.

- Verbum sapienti sat - wyszeptał. „Mądrymu wystarczy słowo”.

- Czy jesteście mądrym człowiekiem, eminencjo? - zapytał ksiądz Gentile.

- Wiem, po co pan tu jest. Potrafię odczytywać e-maile z ASR równie dobrze jak każdy inny człowiek.

- To po co tu jestem, eminencjo? Pomińmy Archivio Secreto Vaticano.

- Z powodu morderstwa Alexandra Crawleya. By wyjaśnić tajemnicę jego śmierci.

Kardynał uniósł się na poduszce, patrząc na Gentilego w nikłym świetle padającym z okna.

- Tylko częściowo, eminencjo. Powierzono mi znacznie bardziej skomplikowane zadanie. Crawley to tylko czubek góry lodowej. Będzie więcej ofiar, o czym eminencja dobrze wie. Im więcej ofiar, tym większe niebezpieczeństwo dla Kościoła. Nie można do tego dopuścić.

- A co ja mam z tym wspólnego? - zapytał Bannerman. - To nie moja sprawa. To wszystko miało miejsce ponad pół wieku temu. To robota Spellmana i jego przeklętych chłopców. On był przyjacielem Pacellego, nie ja.

- Obawiam się, że eminencja jest spadkobiercą arcybiskupa Spellmana. Wraz z tym wspaniałym mantoletem odziedziczył eminencja również i to. Ta sprawa dotyczy w równym stopniu kongregacji eminencji, jak i mieszkańców Nowego Jorku.

Bannerman usiadł, a wraz z nim uniosła się lufa pistoletu, cały czas pozostając na wysokości jego oczu. Przyjrzał się uważnie siedzącemu na brzegu łóżka człowiekowi: w średnim wieku, wysportowany, o pospolitej twarzy i w koloratce, która była tu zupełnie nie na miejscu. Zastanawiał się, czy ten człowiek w ogóle jest księdzem, czy też przełożeni archiwum dobierali sobie ludzi, skąd chcieli. Zresztą nie to było ważne, lecz fakt obecności tego człowieka w jego sypialni z bronią w ręku.

- Czego pan chce?

- Chcę mieć wszystkie możliwe informacje o tym chłopcu.

- Niewiele ich jest. Dokumenty dotyczące dziecka zostały zniszczone

zaraz po jego przyjeździe do Ameryki. Taka była zresztą umowa, by w pierwszym rzędzie udzielić mu schronienia.

- To była umowa zawarta ze zbrodniarzami. Umowa zawarta pod przymusem. Wie eminencja równie dobrze jak ja, że takie umowy nie mają wagi. Domyślam się, że te dokumenty istnieją i że eminencja śledził losy tego chłopca przez te wszystkie lata.

- To wszystko jest zbyt niebezpieczne.

- Oczywiście, że jest niebezpieczne. Gdyby to był spacer po parku, jak to mówicie wy, Amerykanie, nie byłoby mnie tutaj.

- Jeżeli istnienie dziecka wyjdzie na jaw, reperkusje mogą być ogromne. Kościół ostatnio wiele przeszedł. Sprawy się skomplikowały.

- No tak. Gdyby wszystkie te jęczące ofiary trzymały gęby na kłódkę, wszystko byłoby w porządku, prawda? - Ksiądz z beretą pokręcił głową.

- Każdy ewangelicki kaznodzieja występujący w telewizji zacytowałby wam wers pierwszy z rozdziału jedenastego Księgi Eklezjastesa: „Wyrzuć swój chleb na powierzchnię wód - a przecież po wielu dniach odnaleźć go możesz”. Większość z nich zapomina o tym, że nie można niczego przewidzieć. Może być zarówno dobrze, jak i źle. O to właśnie chodzi. Potrzebne mi są akta tego chłopca. Poza tym będę też potrzebował jak najwięcej informacji o Fundacji Grange'a.

- Jedno nie ma nic wspólnego z drugim.

- Zamordowanie Crawleya dowodzi czego innego. Mocodawcy powiedzieli mu jedynie, że należy przyjrzeć się uważniej organizacji o tej nazwie i że śmierć Crawleya ma z nią jakiś związek. Gwałtowna reakcja

kardynała to potwierdzała.

- Bawi się pan informacjami, które do niczego dobrego nie doprowadzą. To szaleństwo. Jeden fałszywy ruch i media postawią mnie pod pręgierzem.

- To może w czasie najbliższej mszy eminencja pomodli się o to, żebym nie zrobił fałszywego ruchu. A teraz: gdzie znajdę dokumenty dotyczące chłopca?

Kardynał popatrzył na pistolet, a potem na człowieka, który go trzymał. Kłamstwo nie wchodziło w grę.

- Są w archiwum wspólnoty Sant'Egidio w kościele Świętego Józefa w Greenwich Village.

Gentile kiwnął głową. Wspólnota Sant'Egidio była wielkim świeckim ruchem opiekującym się sierotami i wysiedlonymi dziećmi.

- Pod jakim nazwiskiem?

- Frederico Botte.

- Jak do nich dotrzeć?

- Jeżeli o nie poproszę, zaczną się zastanawiać, dlaczego się tym interesuję. Poza tym akta są bardzo stare. Nie zostały skomputeryzowane.

- Poradzę sobie. A co z Fundacją Grange'a?

- Dowiem się, ile będę mógł.

- Żadnych pośredników, żadnych sekretarzy. Będę rozmawiać tylko z eminencją.

- Dobrze. Jak się z panem skontaktuję?

- Ja skontaktuję się z eminencją. - Sięgnął do kieszeni czarnej mary-

narki, wyjął z niej mały satelitarny pager firmy Globalstar i położył kardynałowi na kolanach. - Proszę to cały czas przy sobie nosić. Gdy zacznie wibrować, proszę zadzwonić pod numer, który wyświetli się na ekranie. Numer będzie się zmieniał. Proszę dzwonić z tego telefonu. - Obok pagera położył mały telefon komórkowy - I jeszcze jedno - dodał, wstając.

- Tak?

- Proszę za mną nie iść i nie próbować odnaleźć mnie drogą urzędową.

Pod żadnym pozorem nie wolno eminencji dzwonić na policję. Eminencja musi wiedzieć jedno: nie jestem wrogiem eminencji. Musi też wiedzieć, że nie zawaham się poświęcić eminencji dla wspólnego dobra. Proszę nie robić głupstw.

Z tymi słowy Gentile wymknął się z sypialni, pozostawiając arcybiskupa Nowego Jorku trzęsącego się ze zdenerwowania we własnym łóżku. Na dworze, nad strzelistymi iglicami katedry, wstawał księżyc.

Poszła do jego pokoju i stanęła przy łóżku. Nie spał, leżał z rękoma pod głową i wpatrywał się w sufit, wspominając zapewne bolesne chwile z przeszłości. Odwrócił ku niej twarz. Światło księżyca padało na jej plecy. Nie spuszczać wzroku z Michaela, zaczęła rozpinąć guziki koszuli.

- Nie musisz tego robić.

- Wiem.

Zdjęła koszulę, po czym sięgnęła do tyłu, rozpięła biustonosz i rzuciła go na podłogę. Jeden po drugim rozpięła guziki spodni, wiedząc, że on patrzy na nią, starając się nie myśleć, o czym on myśli; starając się nie myśleć o niczym z wyjątkiem tej chwili. Nie powiedział nic więcej.

Zsunęła spodnie, białe bawełniane majtki i stanęła przed nim naga. Padające z tyłu światło tworzyło z jej splecionych włosów roziskrzoną aureolę, podkreślało krągłość bioder i smukłe, sprężyste mięśnie ud. Stała tak przez chwilę, pozwalając mu patrzeć na siebie; pragnąc, by zobaczył ją całą, skąpaną w świetle księżyca. Potem wsunęła się pod prześcieradło obok niego, wspominając dotyk jego dłoni na udzie w domu pułkownika, bo już wówczas wiedziała, że to się stanie. Dotyk ten palił niczym rozżarzone żelazo i jednocześnie był delikatny niczym kochanek.

Po raz drugi pomyślała o dziwnych chwilach i zrzędzeniach losu, które potrafiły wywrócić wszystko do góry nogami w czasie i przestrzeni. Przez ułamek sekundy pomyślała o Peterze i tym strasznym agonalnym krzyku i nagle stanęła jej przed oczyma toaletka matki w domu na Doderidge Street w Columbus i ślubna fotografia w srebrnej ramce. Matka i ojciec stali

na niej z posępnymi twarzami - ojciec w tweedowym garniturze i szylkretowych okularach, górujący nad matką, taką młodą, o jasnych oczach, w doskonałej sukni ślubnej, z bukietem białych kwiatów w ręku - na tle wysokich drzew i różanych ogrodów Whetstone Park. Jak każda czarno-biała fotografia, i ta wyblakła i zżółkła.

Finn przez chwilę czuła się bardzo młoda i niedoświadczona, gdy dotknęła gorącego uda Valentine'a, lecz było już za późno, bo położył dłoń na jej płaskim, napiętym brzuchu. Odwróciła się ku niemu, a on wsunął się w nią i wypełnił ją całą, jakby tam było jego miejsce. Zaczął się poruszać, a ona wraz z nim i nic już nie miało znaczenia, mimo że nie wiedziała, czy robi to dla niego i jego bólu, dla ojca czy dla siebie samej. Liczyła się tylko ta chwila i to im w zupełności wystarczało.

Porucznik James Cornwall z wydziału do spraw pomników, sztuk pięknych i archiwów przy ALIU, jednostce wchodzącej w skład OSS, Biura Służb Strategicznych, poszukującej zrabowanych dzieł sztuki w zachodnich Niemczech, siedział na kamieniu ze swoim sierżantem, próbując znaleźć sposób na wejście do wiejskiego domu ukrytego za ścianą drzew. Szło im kiepsko. Prowiant się kończył, w okolicy roiło się od wycofujących się niemieckich patroli i, zdaniem sierżanta, gdyby choć jeden czołg zdecydował się podjechać w ich kierunku, powystrzelałby ich jak kaczki. Porucznik zapalił lucky strike'a, zsunął na czoło okulary w metalowej oprawce i zastanawiał się, jak ktoś, kto zaliczył dwa lata studiów na Sorbonie i uzyskał dyplom z wyróżnieniem na uniwersytecie Yale, mógł wylądować na kamieniu w Bawarii, obok człowieka cuchnącego potem i papierosami, niosącego na plecach karabin garanda. Cornwall był zastępcą kustosza działu grafik i rysunków w muzeum Parker-Hale. O tej porze powinien jeść śniadanie w hotelu Brevoort, kumplując się z Rorimerem i Henry Taylorem z Metropolitan Museum, zamiast wystawiać się na postrzał w Bawarii.

- Co więc o tym myślicie, sierżancie?

- Nie płacą mi za myślenie, panie poruczniku.

- Nie bądźcie dupkiem.

- Tak jest, panie poruczniku. - Sierżant przerwał i zapalił papierosa,

wyciągniętego z pogniecionej paczki, którą trzymał za cholewką wojskowego buta, po czym spojrział na poranną mgłę, pokrywającą wzgórze i

snującą się między drzewami. - Z wyjątkiem tego snajpera, nie sądzę, żebyśmy mieli do czynienia z oddziałem bojowym. To coś zupełnie innego, panie poruczniku.

- Na przykład co?

- Jakaś misja specjalna. Sześć ciężarówek, opła, nie mercedesa. To znaczy, że są na benzynę, a nie na ropę, a to znaczy, że chcą jechać szybko. Nie użyliby sześciu ciężarówek do osłony oddziałów i nie marnowaliby benzyny na oświetlenie, jak tej nocy. Może to jakaś szwabska gruba ryba daje drapaka, ale wówczas mieliby wojskowe łaziki. Oficer, którego widziałem, nosił mundur generała, był jednak za młody: miał nie więcej niż trzydzieści pięć lat. To z pewnością lewy generał.

- Wasze wnioski?

- Tak jak powiedziałem: wykonują jakieś tajne zadanie i bardzo się spieszą. Coś przewożą; łupy, papiery, coś cennego. - Urwał i odchrząknął.

- I jest jeszcze ta dziwka.

- Kobieta, o której wspominaliście.

- Tak, panie poruczniku.

- Jesteście pewni, że to nie zjawia albo wasze pobożne życzenie? - zapytał Cornwall z nikłym uśmiechem.

- Nie, panie poruczniku. Była całkiem rzeczywista.

- Mówiliście, że może mieć jakiś związek z właścicielem farmy. Co powiecie na taką hipotezę?

- Nie wiem nic na temat hipotez, ale wiem, że kobieta była z krwi i kości, i gdyby była żoną farmera czy coś w tym rodzaju, to nie szwenda-

łaby się po dworze w środku nocy.

- Czy sądzicie, że to może mieć jakieś taktyczne znaczenie?

- Taktyka to nie moja sprawa, tak jak te hipo-coś-tam. Widziałem tę damulkę. Pomyślałem, że powinien pan o tym wiedzieć. To wszystko.

- Dobrze - powiedział Cornwall. - Teraz już wiem.

- Więc co pan chce zrobić? - zapytał sierżant. - Snajper widział, jak przyszliśmy. Może zrobią jakiś ruch, będą próbowali się przebić.

- A co wy byście zrobili?

Sierżant uśmiechnął się. Wiedział, że Cornwall szuka czegoś więcej niż jego rady. Chciał mieć jakiś plan, ponieważ nie miał zafajdanego pojęcia, co powinien zrobić.

- To zależy, czy chce pan uchronić te ciężarówki od wysadzenia w powietrze, czy nie.

- Lepiej byłoby je uchronić.

- Więc powinniśmy uderzyć pierwsi, zanim oni coś zrobią. Przycisnąć ich do ziemi pięćdziesiątką i zdmuchnąć pieprzonego snajpera z tej pieprzonej wieży z bazooki M9.

- W dzień czy w nocy?

Sierżant powstrzymał się przed powiedzeniem porucznikowi, aby nie był dupkiem.

- W nocy.

- Dobrze - odparł porucznik. - Muszę się nad tym zastanowić.

„Bylebyś, kurwa, nie myślał nad tym zbyt długo”, - pomyślał sierżant, ale trzymał gębę na kłódkę i pomyślał o dziwce i o malowanym generale.

Przesunął długim, kościstym palcem po wyblakłej fotografii, starannie wklejonej do wielkiej księgi, obok rysunku farmy. Był na niej Stabsführer Gerhard Utikal z Einsatzstab Reichsleiter Rosenberg, Sztabu Operacyjnego Rosenberga, organizacji, której celem była grabież dzieł sztuki w okupowanych krajach, kierowanej przez Alfreda Rosenberga, ideologa niemieckiego nazizmu. Po raz ostatni widziano go wczesną wiosną tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku w okolicach Füssen i zamku Neuschwanstein w Alpach Bawarskich. Na zdjęciu miał około trzydziestu lat, nosił nielegalnie, jak się okazało, mundur kapitana Wehrmachtu i mrużył oczy w świetle słonecznym. Zdjęcie ujmowało trzy czwarte jego profilu, drzewa i wielki basen kąpielowy za nim. Wykonano je prawdopodobnie w Wersalu lub w Ogrodzie Tuileryjskim w Paryżu, między czterdziestym pierwszym a czterdziestym trzecim rokiem, gdy Utikal pełnił tam służbę.

Nagi, siwy mężczyzna uśmiechnął się lekko. Gerhard Utikal był pierwszy, już dawno temu. Zgodnie z dokumentami ulotnił się jak dym, lecz on odnalazł go w Urugwaju. Były Stabsführer dzielił tam czas między apartamentem na Playa Ramirez w Montevideo a wielkim ranczem w Argentynie, nad brzegiem Parany. Do tego czasu ujęto Eichmanna, a Herberta Cukursa, rzeźnika z Rygi, zlikwidował izraelski pluton egzekucyjny, po tym, jak Łotysz pochwalił się dziennikarzowi, Jackowi Andersonowi, że jest niepokonany.

Utikal nie był niepokonany, tylko bystrzejszy. Zamiast przechowywać w szafie starannie wyprasowany nazistowski mundur, jak czynił to Cu-

kurs, ukrył się, przyjmując tożsamość jednego z internowanych marynarzy z zatopionego okrętu wojennego „Graf Spee”. To wystarczyło na dwadzieścia pięć lat, ale nie było rozwiązaniem na wieki - i dalekim od ideału.

Nagi mężczyzna dotknął palcem twarzy na fotografii. Pierwszy z wielu, a będzie ich jeszcze więcej. Utikał krzyknął, gdy siedmiocentymetrowy gwóźdź wbił mu się w lewe oko, po czym umarł, wijąc się strasznie na krześle, gdy druga siedmiocentymetrowa drzazga przebiła prawe oko.

Nagi mężczyzna zamknął księgę.

- Mirabile dictu - wyszeptał cicho. - Kyrie Elejson (Aż dziw powiedzieć. Panie, zmiłuj się nad nami.)

Kuchnia Valentine'a na górnym piętrze Ex Librisu była dziełem pochwalnym na cześć lat pięćdziesiątych, których Finn nie znała. Podłogę wyłożono niebiesko-białymi płytkami z linoleum, szafki w żółtym kolorze miały chromowane ręczki i białe wnętrza, a dwa małe okna wychodzące na ogród, w którym rosły podwiązane do palików krzaczki pomidorów, zdobiły zasłonki z niebieskiego perkalu. Metrowej szerokości kuchenka firmy Gaffers & Sattler w żółtym kolorze, z czterema gazowymi palnikami, wyposażona była w podgrzewaną płytę z regulatorem temperatury, timer i piąty palnik. Turkusowa lodówka firmy Kelvinator pochodziła z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku. Na żółtym cętkowanym, laminowanym blacie firmy Formica stała gofrownica Rivala, chromowany owalny toster i wielkie chromowane pudło na chleb, a za nim bardzo nowoczesna mikrofalówka.

Pośrodku kuchni stał czteroosobowy komplet stołowy z żółtego winylu i chromu, a w rogu pod oknem, we wnęce jadalnej - ława z winylu błękitnego.

Finn w majtkach i białej bawełnianej koszuli Valentine'a marki Sea Island siedziała rozparta wygodnie przy stole pod oknem, popijając kawę zaparzoną w wielkim srebrnym ekspresie. Valentine, ubrany jedynie w idiotyczny fartuch z napisem: „Odrobina słodczy daje mistrzowi kucharskiemu pewność, że gotowanie jest przyjemnością”, smażył na kuchence jajecznicę. Finn wzięła do ręki stojące na stole dwie ceramiczne figurki dziewczynki i chłopca w zielonych spódniczkach, tańczących taniec hula i

grających na ukulele - solniczkę i pieprzniczkę. Według wiszącego nad zlewem zegara w kształcie kota z obracającym się okiem i kołyszącym ogonem, minęła właśnie ósma rano. Widocznie w latach pięćdziesiątych wszystko było w słodkich pastelowych kolorach. Nigdzie jednak nie zauważyła zmywarki, tak przynajmniej wydawało się na pierwszy rzut oka.

Całość wyglądała śmiesznie aż do przesady, lecz wszystko było tu na swoim miejscu, łącznie z plastikowymi podkładkami stołowymi z obrazkiem kowbojek i jasnożółtymi kubkami z wizerunkiem kowboja i napisem: „Dzień dobry pani”.

Wróciła myślami do ostatniej nocy spędzonej z Valentine'em. Przeciągnęła się, czując dreszcz przebiegający wzdłuż pleców od karku do dołu brzucha. Nie ulegało wątpliwości, że Valentine to perfekcjonista we wszystkim, co robi.

- Zawsze tak dopieszczasz swoje kobiety? – zapytała z uśmiechem.

Odwrócił się i również uśmiechnął. Wyglądał teraz o dziesięć lat młodziej.

- Niewiele jest takich, które chcą być dopieszczane - odpowiedział.

Już chciała coś powiedzieć, ale się powstrzymała. Przyszło jej do głowy, że za takim, właśnie facetami tęskniła w średniej szkole. W ogóle nie zdawali sobie sprawy ze swojej atrakcyjności, co tylko dodawało im uroku. Z drugiej jednak strony Valentine kochał się z nią w sposób wskazujący na doświadczenie i wiedzę. Czy można dużo wiedzieć o kobietach, nie mając ich wielu? Odsunęła od siebie te myśli. Kochali się wiele godzin i to było wspaniałe. Niczego więcej nie chciała wiedzieć, a już na pewno -

dlaczego to robił lub dlaczego ona to zrobiła. Może zbyt długo była w szkole. To był prawdziwy świat. Nad tym też nie chciała się zastanawiać. Valentine wyjął dwa talerze z ciepłego piekarnika, nałożył na nie jajecznicę, po czym wrócił po grzanki i bekon. Wziął talerze w jedną rękę, a w drugą stojący na blacie keczup. Z wprawą przeniósł wszystko na stół i wsunął się na niebieskie winylowe siedzenie. Postawił talerze na plastikowych podkładkach i zaczęli jeść, rozmawiając między jednym a drugim kęsem i nie czując żadnego skrępowania. Finn miała wrażenie, że od zawsze są kochankami, co trochę ją przerażało.

- O co chodzi z tym wystrojem retro? - zapytała.

- To najprostszy sposób na urządzenie wnętrza - odpowiedział. -

Trzeba wybrać sobie jakąś epokę, a potem skompletować rzeczy z tego okresu. To świetna zabawa. Zabierasz się za szukanie przedmiotów, nie traktując tego poważnie. Potrafię w równym stopniu ekscytować się pierwszym wydaniem Betty Crocker's Good and Easy Cook Book z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego czwartego roku, jak i odnalezieniem Vermeera skradzionego z domu na wsi w Irlandii.

- Słyszałam o tym, gdy przerabialiśmy holenderskich mistrzów - powiedziała Finn z błyskiem w oczach. - Czytająca list z pokojówką. Nawet napisali o tym książkę. Ty za tym stoisz?

- To była druga kradzież tego obrazu. Miała związek z narkotykami.

Właśnie od tej strony go wyśledziłem. - Pokręcił głową i wypił łyk kawy z kubka z kowbojem. - Kiedyś kradzieże obrazów oglądało się w filmach z Davidem Nivenem czy Carym Grantem. Teraz mają one związek z narko-

tykami, a niekiedy z bronią.

- Nie rozumiem. Przecież to nie ma ze sobą nic wspólnego.

- Ależ ma - odparł Valentine.

- Możesz to wyjaśnić?

- W nielegalnych interesach w grę wchodzi ogromne sumy w gotówce. Gotówkę trudno jest przechowywać i trudno wydawać. Kradzież dzieł sztuki rozwiązuje oba te problemy.

- W jaki sposób?

- To forma środka płatniczego. Większość dzieł sztuki, tych cennych, ma powszechnie uznaną wartość. Obraz lub rysunek można sprzedać za określoną kwotę. Zamiast płacić pieniędzmi, wielcy dilerzy narkotykowi i handlarze bronią, zwłaszcza ci współpracujący z terrorystami, dokonują transakcji dziełami sztuki. Łatwo je przewozić przez granice i są zazwyczaj ubezpieczone. Mogę ci wymienić pół tuzina galerii w Europie, które handlują kradzionymi dziełami sztuki, i dwa razy tyle w samym Nowym Jorku. To wielki biznes. Finn podwinęła nogę pod siebie.

- Czy z tym właśnie mamy do czynienia?

- Nie jestem pewny. Jeżeli chodzi o narkotyki, jest to zbyt wymyślne; nie spotkałem się dotąd z czymś takim. Na pierwszy rzut oka powiedziałbym, że nie. Tu chodzi o coś innego i trwa to już od pewnego czasu.

- Czemu tak sądzisz?

- Crawley stał wysoko na drabinie społecznej. Mówiłaś, że na rysunku Michała Anioła widniały oznaczenia dotyczące miejsca pochodzenia.

- Nie, numery inwentaryzacyjne.

- A co z pokwitowaniem odbioru dla Galerii Hoffmana? Kto po niego pojechał? Crawley czy ktoś inny?

- Wszystko jest w komputerze. Chyba jeden z założycieli muzeum

Parker-Hale kupił go od Galerii Hoffmana w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku. Crawleya jeszcze wtedy nie było.

- Ale on wciągał go do inwentarza.

- Tak. Parę lat temu, jako rysunek Urbina.

- Zbyt wiele tu zbiegów okoliczności i za mało odpowiedzi - mruknął Valentine.

Skończył jajecznicę i zabrał się za bekon. Finn dołała kawy jemu, a potem sobie. W miłej staromodnej kuchni zapadła cisza. Gdzieś z oddali dochodziły odgłosy porannego ruchu ulicznego na Broadwayu i nieco bliższe piski i grzmoty śmieciarek za Lispenard Street.

- Dobrze. Zbierzmy to, co mamy - odezwał się Valentine. - Wszystko się zaczęło, gdy przypadkiem natknęłaś się na rysunek Michała Anioła i Alex Crawley cię na tym przyłapał.

- Zabrzmiało to tak, jakbym coś ukradła.

- W tym właśnie rzecz - odpowiedział. - Nie zrobiłaś nic złego, dlaczego więc Crawley tak się zdenerwował? Wystarczyło, żeby powiedział, że się mylisz i zwolnił cię dopiero wtedy, gdybyś się upierał, że to rysunek Michała Anioła.

- Do czego zmierzasz?

- Albo on nie chciał, żeby ktokolwiek wiedział, że muzeum jest w posiadaniu tego rysunku, albo to falsyfikat. Raczej to pierwsze niż to drugie,

bo już wcześniej postarano się o to, by w inwentarzu ten szkic figurował

jako praca innego artysty. Oczywiście nasuwa się pytanie: dlaczego? -

Zabębnił palcami po stole. - Bardzo chciałbym zobaczyć oryginalne papiery przewozowe. Gdzieś muszą być i łatwiej je odnaleźć niż dane w komputerze; trudniej też je podrobić.

- Zajmuje się tym firma o nazwie U. S. Docugraphics Service. Wiedziałam ich ciężarówkę na parkingu za muzeum.

- To ułatwia sprawę.

Myślał przez chwilę, smarując grzanekę dżemem rabarbarowym E.

Waldo Ward. Nawet tak drobny ruch uwydatnił twarde mięśnie ramion.

Finn przypomniała sobie, jak tej nocy leżała w objęciach Michaela. Był niebywale silny i miał jędrne, zdrowe ciało, które musiał ćwiczyć znacznie częściej niż trzy razy na tydzień w sali gimnastycznej. Na pewno nie były to mięśnie bibliotekarza. Zostali kochankami, ale nadal niewiele o nim wiedziała.

- Milion za twoje myśli.

Ukazał idealnie białe zęby w tym swoim trochę dzikim i lekko drażniącym uśmiechu, patrząc na nią inteligentnymi oczyma.

- Nie ma mowy - zaśmiała się. - Więc co teraz zrobimy? Uciekniemy na bezludną wyspę i zaczekamy, aż sprawa przycichnie?

- Znam takie miejsce - odparł. - Nie sądzę jednak, żeby to było możliwe.

- No to dokąd pójdziemy? Policja prowadzi śledztwo w sprawie morderstwa Crawleya i Petera. Ustaliliśmy, że istnieje jakiś związek między

Gattym, Crawleyem a Akademią Greyfriars, o czym świadczy skradziony nóż i obraz Juana Grisa. Ten wazeliniarz, dyrektor Wharton, też pewnie jest w to zamieszany. Wiemy, że Gatty ma coś wspólnego ze skradzionymi dziełami sztuki, przynajmniej jako nabywca, bo ma tego Renoira. Ale nic tu do siebie nie pasuje.

- Na pewno pasuje, tylko musimy znaleźć wspólny punkt.

- Jak go znajdziemy?

- Chcę porozmawiać ze znajomym marszandem. Potem pójdę do muzeum Parker-Hale i zadam kilka pytań.

- Pod jakim pretekstem?

- Powiem im, że jestem twoim ojcem chrzestnym i nie mogę cię znaleźć. Twój chłopak został zamordowany, więc oczywiście się martwię.

- Nie wiem, czy chcę, żebyś był moim ojcem chrzestnym. To tak, jakbym leżała w kołysce, którą właśnie okradziono - dodała z uśmiechem.

- W takim razie wyobraź sobie, że jestem takim Marlonem Brando.

Uśmiechnął się i dużym palcem u nogi przesunął po jej łydce. Zadrżała. Spojrzał na nią dziwnie.

- Co to ma być?

- Moje najlepsze spojrzenie Christophera Walkena.

- Możesz przestać?

- To się jeszcze okaże.

- Co ja mam robić... później?

- Usiąść do komputera i sprawdzić, co łączy te wszystkie wątki.

- Dobrze.

- Skończyłaś? - Popatrzył na jej talerz.

- Tak. - Wysunęła się z ławy i zaczęła rozpinąć guziki koszuli. - Panowie, przygotujcie się do obrony fartuchów!

Jakąs godzinę po tym, jak się rozwidniło, sierżant wyszedł, nie prosząc o pozwolenie i bez rozkazu, zabierając ze sobą jedynie Reida. Reid był półkrwi Czirokezem czy kimś tam i wyglądał jak awers starej pięciocentówki. Wystarczająco cichy, aby stać przed sklepem z cygarami, jednocześnie umiał trafić do każdego celu z karabinu M1 z odległości kilkuset metrów.

- Dokąd idziemy, panie sierżancie? - zapytał Reid.

- Tam, gdzie poprzednio. Może ktoś się pojawi; może uda nam się ich policzyć, czy coś w tym rodzaju.

- Tak jest, panie sierżancie. - I to było wszystko. Reid zdjął z pleców karabin i poszedł za dowódcą w las.

Tym razem sierżant badał leśne poszycie. Zauważył trzy wydeptane ścieżki. Jedna biegła prosto, druga skręcała w lewo, a trzecia w prawo.

Wszystkie schodziły się na małej polanie. Może wydeptały je króliki, lecz najpewniej jelenie. Na wysokości półtora metra widać było ogryzione gałęzie, co również wskazywałoby na jelenie, a może na młode łosie.

Ciekawe, czy w Europie są łosie. Wyrzucił tę myśl z głowy, aby skupić się jedynie na tym, co tu i teraz. Wskazał na w lewo i Reid kiwnął głową.

Ruszył przodem ścieżką skręcającą w lewo, a jego towarzysz kilka kroków za nim. Reid szedł bezszelestnie, czym przewyższał pozostałych w oddziale.

Kiedy dotarli na skraj lasu, sierżant dał znak, by ukucnęli. Siedząc na piętach, odbył krótką naradę z Reidem.

- Tam jest rów i droga. W rowie tkwi spalony stary czołg. Ma otwarty właz. Mielibyśmy z niego dobry widok na farmę. Stoi na szczycie wzgórza.

- A co ze snajperem? - zapytał Reid.

- Jeżeli będziemy poruszać się nisko, czołg znajdzie się między nami a tą wieżą. Dopóki nas nie wypatrzy, będzie dobrze.

- Co ja mam robić?

- Osłaniaj mnie.

- W porządku.

Czekali za drzewami, kurząc na zmianę papierosa sierżanta. Snajper mógł ich nie dostrzec, ale jego bystre oko miało szansę wypatrzeć smużkę dymu unoszącą się w górę, w nieruchomym porannym powietrzu. Zachmurzone niebo też by nie pomogło. Na wojnie nie wolno palić, pić i pieprzyć się. Sierżant rozproszył dym i rozgniół gorący popiół obcasem wojskowego buta. To niesprawiedliwe; żołnierz powinien mieć odrobinę przyjemności, zanim trafi go kula z jakiegoś niewidocznego szwabskiego stejera 95.

Przemknął przez polanę i ukrył się w rowie biegnącym wzdłuż drogi.

Szedł przy samej ziemi, póki nie znalazł się w cieniu starego czołgu. Podchodząc do niego od tyłu, zauważył, że pojazd nie jest wcale tak bardzo zniszczony jak początkowo sądził. Tylne dyferencjały były rozpieprzone, podobnie jak jedna z gąsienic z prawego tylnego zespołu, ale to wszystko. Ze śladów na ziemi za czołgiem można było wywnioskować, że ostrzelał go jakiś myśliwiec. Może amerykański, brytyjski, ruski, kto to wie? Ten

opancerzony wóz bojowy został początkowo zaprojektowany jako ćwiczebny. Miał cienki, ośmiomilimetrový pancierz i tylko dwa karabiny maszynowe bez działka. Nadawał się przeciw piechocie, ale wart był tyle co blaszana puszka, gdy dochodziło do starcia z innym czołgiem czy choćby z gównianym starym karabinem M1 lub gościem z bazooką. Na jego korzyść - jeśli się było Szwabem - przemawiał fakt, że zrobiono takich czołgów tysiące i miały tylko dwuosobową załogę: kierowcę oraz dowódcę, obserwatora i strzelca obsługującego karabin maszynowy w jednej osobie.

Sierżant zostawił Reida za lewą gąsienicą, a sam wspinał się na czołg, omijając ostre, metalowe klapy i osłonę tłumika przypominającą tarkę do sera. Podciągnął się do wieżyczki, opierając się o duże śruby oczkowe zabezpieczające linę wyciągarki, po czym wślizgnął się przez właz na stanowisko strzelca. Były tam pedały do obracania wieżyczką, a każdy z karabinów maszynowych tkwił na łożu obrotowym i mógł niezależnie poruszać się w górę i w dół. Między karabinami znajdował się długi, teleskopowy celownik. Sierżant popatrzył przez okular, lecz powiększająca soczewka obiektywu została roztrzaskana, prawdopodobnie podczas ostrzału czołgu. Wnętrze miało piaskowy kolor, a brak śladów krwi wskazywał na to, że załoga ewakuowała się bez strat. Z faktu, że czołg wciąż tu tkwił, wynikało, że rzadko ktoś tędy jeździł i było niemal pewne, że ciężarówki na farmie przybyły ze wschodu. Należało się nad tym zastanowić, bo gdzieś niedaleko znajdowała się rezydencja Hitlera, Berchtesgaden, czy jak się tam nazywała.

Sierżant próbował wyobrazić sobie spotkanie twarzą w twarz z królem Szwabów, lecz nie mógł. Przez ostatnie cztery lata Hitler wyglądał dla niego jak Charlie Chaplin. Trudno brać na serio faceta z takimi wąsikami, nie? Z drugiej strony trzeba było traktować poważnie tych gości w wielkich pieprzonych hełmach.

Wstał ze stanowiska strzelca i zsunął się na dno czołgu. Wszystkie przejścia między przedziałami były otwarte, wcisnął się więc na siedzisko kierowcy. Wyjął lornetkę z futerału i spojrzał na farmę. Panował na niej spory ruch. Kilku mężczyzn w samych koszulach myło przednie szyby ciężarówek, inni wieszali pranie na prowizorycznym sznurze, który biegł od bocznego lusterka jednej z ciężarówek do słupa przy studni, po drugiej stronie brukowanego podwórza. Dwóch mężczyzn w cywilnych ubraniach, lekkich wymiętych garniturach, brązowym i niebieskim, paliło papierosy przy jednym z zabudowań gospodarczych. Obaj nosili okulary.

Po podwórzu przechadzała się kobieta w niebieskiej sukience i brązowych butach na szerokich obcasach, rozmawiając i paląc. Druga, w gładkim brązowym mundurze pomocniczej służby kobiet Wehrmachtu, siedziała na cembrowinie studni, wystawiając twarz do słońca. Jedyńm kompletnie umundurowanym był młodo wyglądający oficer w czarnym uniformie gestapo.

Żołnierze w koszulach, myjący przednie szyby, nie mieli broni. Nikt, z wyjątkiem oficera SS, nie nosił pistoletu przy pasie. Sierżant popatrzył przez lornetkę na wieżę klasztoru. Mały otwór na szczycie wydawał się

ciemny i pusty, lecz to o niczym nie świadczyło. Snajperzy potrafili kryć się w cieniu.

- Widzisz coś, Reid? - zapytał cicho, odwracając się w stronę jednego z tylnych luków obserwacyjnych.

- Tak - padła stłumiona odpowiedź.

- Co o tym sądzisz?

- To nie wojsko. Nie wiem, kim są - odpowiedział niematerialny głos.

- Pomyśl.

- Cywile.

- Co myślisz o kobietach?

- Kobiety jak kobiety. Co mam o nich myśleć?

- Dlaczego mieliby zabierać ze sobą kobiety?

- A dlaczego ktoś zabiera ze sobą kobiety?

- W tym musi być coś więcej.

- Dlaczego?

- Tu się dzieje coś bardzo dziwnego, gdyby ktoś mnie pytał.

- A ktoś pana pyta?

- Nie bądź dupkiem - Umilkł i znowu spojrzał przez przednie okno. -

Co jest na wschodzie?

- Góry, kilka zamków.

- A na zachodzie?

- Jezioro Constance. Szwaby nazywają je jakoś inaczej.

- Na południu?

- Austria.

- Kto jest tam teraz?

- Czterdziesta czwarta. Chyba Ruscy.

- Niemcy nie lubią Ruskich, prawda?

- Skąd, kurwa, mam to wiedzieć, panie sierżancie? Czemu zadaje mi pan te wszystkie pytania? Jestem tylko czerwonoskórym z rezerwatu, nie?

- Ej, Reid, dlaczego nie nazywasz się Biegnący Niedźwiedź, Księżycowy Koc czy coś w tym stylu?

- Mój ojciec był mechanikiem samochodowym w Kansas, który lubił przepieprzyć squaw, gdy sobie podpił - odpowiedział Reid prawie ze śmiechem. - Tam, skąd pan pochodzi, mówi się: „Czarnuch na drzewie”.

Tam, skąd ja pochodzę: „Czoktaw w polu kukurydzy”.

- Wiesz co? Jesteś w porządku, Reid. - Sierżant poruszył dźwignią zmiany biegów. - Oni musieli przyjechać ze wschodu, inaczej ominęliby ten czołg, a na ziemi nie ma żadnych śladów. Oni nie jadą na północ, bo tam trwa wojna, a Ruscy i my jesteśmy w Austrii.

- No to jadą do jeziora Constance.

- Szwaby je nazywają Bodeńskie czy jakoś tak. Zastanawiam się, czy mają tam jakiś prom lub coś, na co mogliby załadować sześć ciężarówek.

- Możliwe.

Reid umilkł. On zaś znowu popatrzył na podwórze. Ten snajper na wieży mógł być jedyną linią obrony tych Szkopów. Jeżeli w karabinach maszynowych jest amunicja, sierżant mógłby puścić do nich serię. Pochylił się i otworzył dużą skrzynię. Było w niej dość taśm z nabojami, by prowadzić ostrzał przez dziesięć lub piętnaście minut. Jedyne problem

stanowiło uruchomienie silnika, który napędzał wieżyczkę. Przy zniszczonych instrumentach celowniczych trudno byłoby wyliczyć odległość.

A jednak...

- Pan szykuje jakiś plan, sierżancie. Wygląda na to, że coś pan kombinuje.

- Pracuję nad tym.

- To znaczy nad czym?

- Nie jestem pewien. Hej, Reid, ilu Szwabów tam widzisz? Żołnierzy.

- Może z tuzin lub coś koło tego. To ci goście myjący okna.

- Oni nie są nawet uzbrojeni. Oznaczenia wskazują, że są z żandarmarii, ale wojskowe gliny noszą szare spodnie, a ci mają brązowe. Tak jakby włożyli to, co udało im się znaleźć. Ciekawe, ilu kierowców ciężarówek noszących okulary powołali do wojska.

- Może nie mieli wyboru.

- A może spieszyli się, żeby wywieźć stąd jak najszybciej zawartość ciężarówek.

- Jak pan sądzi, co w nich jest, sierżancie?

- Coś dobrego, Reid. Dla tego czegoś odtańczyłbyś najlepszy taniec wojenny i naostrzył swój tomahawk. - Znów popatrzył na ciężarówki, próbując odgadnąć, co jest w środku. Były szczelnie zamknięte, łącznie z tylnymi klapami. W tym momencie jakiś mężczyzna wypchnął z jednego z mniejszych budynków gospodarczych duży łazik wojskowy i zaczął nalewać do niego benzynę z kanistra, stojącego przy ciężarówce.

- Szykują się do drogi - powiedział Reid.

- Powinniśmy ściągnąć tu Cornwalla i jego chłopców, w przeciwnym razie będzie za późno.

- Weźmiemy próbki tego, co mają na ciężarówkach, sierżancie?

- Dobry pomysł. Do zwycięzcy należą łupy, nie? A na drugie mam

Wiktor jak wiktoria.

- Zabawne, bo ja też.

- To może jesteśmy kuzynami?

- Skoro blada twarz tak mówi.

- Ilu ludzi tam naliczyłeś?

- Dwunastu przy ciężarówkach, czterech, nie, pięciu na zewnątrz;

spacerują.

- Plus snajper.

- Tak. Ale większość z nich nie wygląda na regularną armię.

- Może gdzieś są inni. W nocy, przy bramie, widziałem wartownika z karabinem 98k na plecach i z pistoletem maszynowym MP40 w rękę.

- Może to jeden z ludzi od ciężarówek.

- Może. Ważne, że był uzbrojony.

- Teraz nie są uzbrojeni.

- Sposób, w jaki czyszczą tego łazika, czy cokolwiek to jest, wskazuje na to, że mają ochotę się zwinąć.

- Może powinniśmy wrócić i zameldować.

- Tak. Schodzę na dół.

Wyszedł przez właz i na dół po boku czołgu. Po drodze puknął w

umocowane do kadłuba kanistry. Były w połowie pełne. Takie maszyny

bardzo szybko rozszabrowywano, wróciło więc pytanie, jak długo ten wóz mógł tu stać. Zmienił również plan zajęcia farmy Wsłizgnęli się z Reidem za zasłonę drzew

- Znasz się na czołgach, Reid?

- Nie bardzo.

- Potrafiłbyś obsłużyć karabin maszynowy? - Wskazał kciukiem za siebie.

- Mógłbym spróbować. A jest amunicja?

- Tak.

- Potrzebna benzyna do uruchomienia wieżyczki.

- Jest, ale może nie będziesz jej potrzebował. Karabiny są już wycelowane w podwórze. Jest korba do obniżenia poziomu.

- To co pan wymyślił?

- Rozwalamy wieżę z bazooki. Następnie wchodzimy przez główną bramę. Ty poprowadzisz krzyżowy ogień z góry, póki nie wystrzelimy rakiety.

- To brzmi całkiem nieźle.

- Więc powiedzmy Cornwallowi i do roboty. - Weszli głębiej w las. -

Zostało mało czasu.

Newman Gallery mieściła się w Chelsea, przy West Twenty Second Street, pomiędzy Tenth a Eleventh Avenue. Galeria kilka razy zmieniała lokalizację. Z Greenwich Village w latach trzydziestych przeniosła się do Soho w latach siedemdziesiątych, w latach osiemdziesiątych do Tribeca, by w końcu na początku lat dziewięćdziesiątych trafić do Chelsea. Przez cały ten czas kolejni Newmanowie wiernie trzymali się zasady ustanowionej przez założyciela galerii w tysiąc osiemset osiemdziesiątym dziewiątym roku: „Nie kupuj tego, czego nie będziesz mógł sprzedać”. Dla założyciela, Josefa Neumanna z Kolonii, oznaczało to kupowanie wysokiej klasy obrazów, czyli trzymanie się tego, co sprawdzone. Przez ponad sto lat galeria nigdy nie uległa kaprysom mody. Dlatego dobrze prosperowała. Przetrwała fale spadku koniunktury i rozwinęła się przez lata, skupując prace holenderskich mistrzów i francuskich impresjonistów, gdy nie cieszyły się popularnością, i wprowadzając je na rynek, gdy zmienił się popyt.

Galeria zajmowała wąską przestrzeń na parterze odremontowanego magazynu, między nową japońską restauracją a ekskluzywnym salonem wyposażenia kuchni. Miała białe ściany, podłogi wyłożone lakierowanymi dębowymi deskami, a na suficie czarną stalową kratę, na której można było dowolnie rozplanować oświetlenie.

W sali wystawienniczej wisiały tylko trzy płótna: portret Franza Halsa około metrowej wielkości, podobnych rozmiarów obraz Jacoba van Ruisdaela na przeciwległej ścianie i w głębi - religijna scena Petrusa Christu-

sa, dwukrotnie większa niż tamte dwa. Według oceny Valentine'a dzieła te łącznie warte były co najmniej dwadzieścia lub trzydzieści milionów dolarów a był to tylko czubek góry lodowej. Reszta zbiorów znajdowała się w klimatyzowanym magazynie w New Jersey.

Kiedy Valentine znalazł się w środku, z biura na zapleczu wyszedł Peter Newman. Był jak zwykle ubrany w czarny garnitur. Miał około siedemdziesiątki, łysą głowę i zgarbione plecy. Wyglądał raczej na właściciela zakładu pogrzebowego niż na marszanda, chociaż właściwie te dwie profesje były do siebie podobne. Właściciel zakładu pogrzebowego troszczył się o nieboszczyków, a handlarz sztuką, taki jak Peter Newman, o martwe obrazy. Oba zawody były też bardzo dochodowe.

- Michael. - Newman uśmiechnął się do Valentine'a. - Całe wieki cię nie widziałem. Jak ci się wiodło?

- Nieźle. Pilnowałem interesu.

- Interes - mruknął starszy pan z irytacją. - Sztuka to nie interes.

„Mam Van Gogha wartego pięćdziesiąt milionów”, mówi mały japoński biznesmen. „To nic”, odpowiada mężczyzna siedzący obok niego w barze sushi, „ja mam sto milionów w Picassach w bagażniku samochodu”. -

Prychnął. - Mówiąc „bar sushi”, nie miałem na myśli restauracji obok.

Wziął Valentine'a pod rękę i wprowadził do biura. Mały pokój był zastawiony meblami. Pod jedną ze ścian stał stary i prawdopodobnie cenny sekretarzyk, a drugą zajmowały sięgające aż po sufit regały wypełnione księgami rachunkowymi, pamiętającymi jeszcze czasy założenia galerii. Zawierały dokumenty sprzedażne i świadectwa pochodzenia wszystkich

obrazów, które Newmanowie kiedykolwiek mieli - i w pewnym sensie to właśnie one stanowiły prawdziwą wartość galerii. Te drzewa genealogiczne dziesiątków tysięcy obrazów i dowody setek tysięcy transakcji pokrywały niewidzialną siecią obszar całej Europy i Ameryki Północnej. To, czego nie było w księgach, tkwiło prawdopodobnie w głowie Petera Newmana, przekazywane z ojca na syna od ponad stu lat.

Valentine usiadł w starym drewnianym fotelu biurowym i przyglądał się, jak starszy pan krząta się przy ekspresie do kawy, stojącym w rogu przypominającego celę pokoju. Gospodarz przyniósł dwie stare holenderskie filiżanki z Delft i podał jedną gościowi. Potem usiadł z westchnieniem ulgi przy sekretarzyku.

- No więc? - zapytał, popijając kawę i patrząc na Valentinea znad brzegu biało-niebieskiej filiżanki.

- Juan Gris.

- Nie żyje - zachichotał Newman.

- Jakież związki z Niemcami nazistowskimi?

- Był Hiszpanem. W czasie wojny mieszkał w Paryżu. Był jednym z tak zwanych degeneratów. Hitlerowcy zrabowali kilka jego wczesnych prac. Galerie stale spierają się o to, kto co robił w czasie wojny; o niego również. Nigdy jakoś nie przepadałem za tym malarzem.

- Renoir, Głowa młodej dziewczyny .

- Jeszcze jedna zdobycz wojenna hitlerowców.

- Gdybym ci powiedział, że jednego dnia widziałem obraz Juana Grisa i portret Renoira, to co byś rzekł?

- Że prawdopodobnie złożyłeś wizytę pułkownikowi Georgeowi Gatty'emu.

- Czemu wcześniej o nim nie słyszałem?

- On żyje w sferze oderwanej od rzeczywistości. Nigdy nie kupuje na publicznych aukcjach. Jest bardzo dyskretny

- Zarówno obrazy Grisa, jak i Renoira są stosunkowo dobrze znane.

Dlaczego nikt nie zawiadomił policji?

- Pułkownik ma kilku wysoko postawionych znajomych.

- Na przykład kogo?

- Prezydent Stanów Zjednoczonych wystarczy?

- Robi wrażenie.

- Nie w świecie sztuki. Gatty to świnia. Nikt szanowany niczego by od niego nie kupił ani mu nie sprzedał.

- Ktoś jednak się znalazł.

- Kto mówi, że cały świat sztuki jest godny szacunku? - Newman znowu zachichotał i dopił kawę.

- Daj spokój, Peter: zapomniałeś, z kim rozmawiasz?

Starszy pan westchnął, po czym odstawił filiżankę.

- Nie chcę być oskarżony o bigoterię - powiedział. - Takie rzeczy nie są dobre, jeśli się jest starym Żydem jak ja. To źle wpływa na reputację.

- Wyduś to wreszcie - zaśmiał się Valentine.

- Powiem tylko tyle - mruknął Newman. - Archidiecezja Nowego

Jorku ma kilka pięknych kolekcji w swoich zbiorach archiwalnych. Mają również dostęp do kolekcji w Rzymie. Pułkownik Gatty jest uważany za

przyjaciela Muzeów Watykańskich.

- Żartujesz.

- Wcale nie - odparł Newman. - Muzea Watykańskie zostały założone w szesnastym wieku. Ich zbiory są... jak by tu powiedzieć... ogromne.

Podobnie jak wszystkie muzea, i one regularnie weryfikują swoje zbiory i sprzedają mniej wartościowe egzemplarze. Wówczas pułkownik jest pierwszy w kolejce.

- Watykan handluje skradzionymi dziełami sztuki?

- Ja tego nie powiedziałem. - Newman rozciągnął usta w lekkim uśmiechu.

- Chryste - szepnął Valentine.

- Szczerze wątpię, żeby był w to bezpośrednio zamieszany - powiedział starszy pan i znowu zachichotał.

Valentine usiłował zebrać myśli.

- No dobrze - odezwał się po chwili. - Zapomnijmy o Watykanie. A co z Parker-Hale?

- Prywatne muzeum ze zbiorami równie dużymi jak Whitneya, lecz mniejszymi niż Gattyego.

- Jest graczem?

- Bez wątpienia.

- A Alexander Crawley?

- Podobnie jak Juan Gris, nie żyje. Paskudna sprawa.

- Jaką miał opinię?

- Jeśli chodzi o wykształcenie, nieskazitelną. Uniwersytet Columbia,

Harvard lub Yale, nie pamiętam już który Studia na konserwacji dzieł sztuki w londyńskim Instytucie Sztuki Courtauld, kustosz w muzeum Fogga w Bostonie, i tak dalej, i tak dalej. Przeszedł do Parker-Hale pod skrzydła dyrektora Jamesa Cornwalla w połowie lat dziewięćdziesiątych. Został dyrektorem jakiś rok temu, gdy Cornwall odszedł.

- Odszedł?

- Takie stare koguty jak ja tak określają zejście ze świata. W wypadku Cornwalla odbyło się to bardzo łagodnie. Az a yor ahf mir, żebym ja miał tyle szczęścia. Umarł we śnie. Przeszedł kilka zawałów serca. Zdaje się, że był po osiemdziesiątce.

- Powiedziałaś, że jeśli chodzi o wykształcenie, Crawleyowi niczego nie można było zarzucić. A inne sfery?

- Towarzysko dobrze sobie radził z ludźmi; świetny w pozyskiwaniu sponsorów. Miał jednak skłonności do oszukiwania przy kupnie i sprzedaży.

- To znaczy?

- Był w kręgu. Wiesz, o czym mówię.

Valentine kiwnął głową. W świecie handlu sztuką i antykami istniało tajne stowarzyszenie marszandów, którzy zmawiali się, by utrzymywać niskie ceny na aukcji. Nie tylko krzywo na nich patrzono, lecz to, co robili, było nielegalne, bo dopuszczali się oszustwa i zmowy cenowej.

- A więc miał przyjaciół.

- Tak. To był krąg, do którego bardzo trudno się dostać. - Newman zmarszczył brwi. - Interesujące powiązania, jeżeli tego właśnie szukasz.

- Jakie?

- Często sprzedawał obrazy archidiecezji Nowego Jorku i vice versa .

- Domyślasz się może, dlaczego ktoś chciałby go zabić?

- Nie był miłym gościem, w przeciwieństwie do swego poprzednika.

James Cornwall był dobrym i uczciwym człowiekiem. Nikogo nie faworyzował.

- Ale dobrze myślał o Crawleyu.

- Może na początku. Pod koniec się pokłócili. Słyszałem plotki na ten temat. Na pewno nie namaściłby go na swojego następcę.

- A jednak Crawley został dyrektorem.

- James Cornwall od jakiegoś czasu podupadał na zdrowiu. Człowiek, którego wybrał na następcę, zrezygnował z powodu jakiegoś ciężącego na nim podejrzenia. - Starszy pan wzruszył ramionami. - Chociaż nie powinno tak być, ale takie sprawy mają czasami podtekst polityczny. Crawley miał przyjaciół w radzie dyrektorów. Dobrał sobie odpowiednie karty, że się tak wyrażę.

- Kim był ten człowiek, który zrezygnował, i o jakie podejrzenie chodziło?

- Nazywał się Taschen, Eric Taschen, a to podejrzenie miało odcień purpurowy.

- Chodziło o seks?

- Niestety tak, Michaelu. - Starszy pan w czarnym garniturze ciężko westchnął. - Jak to zwykle było, jest i będzie.

Książd Gentile, posługujący się tym razem tożsamością Lany'ego MacLeana, siedział przy pustym stole w ogromnej głównej czytelni nowojorskiej biblioteki publicznej. Na suficie wysoko nad głową, ponad zakurzonymi żyrandolami, ginęły w mroku freski przedstawiające chmury. Jedynym źródłem światła była stojąca przed Gentilem staroświecka lampka z abażurem.

W ciągu ostatnich kilku godzin biblioteczne windy ręczne dostarczyły mu wszystkich możliwych informacji, dotyczących Fundacji Grangea, zaczerpniętych ze znajdujących się poniżej kilometrów regałów. Robił zapiski w żółtym notesie, lecz niewiele ich było. Właściwie to większość informacji była sprzeczna.

Oficjalnie Fundacja Grange'a została założona w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym roku na mocy zapisu poczynionego przez Fredericka Henry'ego Grange'a (1860-1945) i jego żony, Abbie Norman Grange (1859-1939), z domu Coleman. Żona była dziedziczką, on zaś człowiekiem, który do wszystkiego doszedł własną pracą. Ten biedny Irlandczyk i syn policjanta z Bostonu był urodzonym bankierem, przedsiębiorcą i właścicielem biura maklerskiego; za partnerów i klientów miał przedstawicieli rodu Kennedych i Fitzgeraldów. Najwięcej korzyści przyniosło mu za inwestowanie w handel bydłem w Chicago. Do tysiąc dziewięćsetnego roku był już milionerem i zaczął inwestować w koleje. Zarobił również na dwóch wojnach światowych, a do śmierci zgromadził majątek o wartości stu siedemdziesięciu dwóch milionów dolarów. Jego żona pozostawiła po

sobie fundusz powierniczy wart prawie dwa razy tyle.

Jako zupełnie prywatny fundusz powierniczy, Fundacja Grangea nie musiała niczego księgować poza podstawowymi dokumentami. Cała jej działalność miała charakter dobroczynny, dlatego była zwolniona z płacenia podatków i nie musiała składać sprawozdań do żadnej agencji rządowej. Mieściła się przy St. Luke's Place w Greenwich Village, naprzeciwko parku, gdzie kiedyś znajdował się cmentarz, po którym chodził Edgar Allan Poe, tworząc swoje dziwne, niepokojące wiersze. Według informacji zawartych w broszurze, fundacja wspierała muzea, najróżniejsze grupy teatralne, stowarzyszenia zajmujące się sztukami plastycznymi, programy środowiskowe i organizacje zapewniające młodym ludziom zdobywanie wysokiej jakości doświadczeń kulturalnych.

Miała również odgałęzienie pod nazwą Fundacja McSkimminga. Ta z kolei świadczyła usługi prawnicze związane ze sztuką, szczególny nacisk kładąc na ofiary holokaustu, fałszerstwa i kradzieże dzieł sztuki.

McSkimming był bliskim przyjacielem Fredericka Grange'a, zapalonym kolekcjonerem sztuki i starszym wspólnikiem w kancelarii prawniczej zarządzającej interesami Grangea i jego żony. Byli również związani ze sobą w inny sposób: syn McSkimminga, James, ożenił się z córką Grange'a, Anną. James zmarł w czasie wojny, a jego żona wcześniej, w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku, w połogu. Dziecko urodziło się z upośledzeniem umysłowym i umieszczono je w zakładzie opieki.

Wszystko wyglądało dobrze, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Bliższe oględziny ujawniały liczne nieścistości lub zwykłe kłamstwa. Po zalo-

gowaniu się na jednym z bibliotecznych komputerów, za pośrednictwem wyszukiwarki Google ksiądz znalazł mnóstwo informacji o Fredericku Grange'u i fundacji. Grange rzeczywiście był biednym Irlandczykiem i synem policjanta, ale nigdy nie został przedsiębiorcą, właścicielem domu maklerskiego, bankierem ani potentatem kolejowym. W rzeczywistości pracował jako urzędnik w firmie, gdzie McSkimming był młodszym wspólnikiem. Spółka Topping, Halliwell & Whiting została rozwiązana pod koniec wojny ze względu na śmierć ponad połowy wspólników i jeszcze większej liczby młodszych współpracowników. Mimo to firma Topping, Halliwell & Whiting formalnie nadal istniała w korporacji. W tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku kupiło ją kilku anonimowych wspólników i zatrudniło własnych adwokatów. Właśnie ci prawnicy utworzyli fundacje Grangea i McSkimminga, które uzyskały status rodzinnego funduszu powierniczego dzięki pozostającemu w domu opieki spadkobiercy, Robertowi McSkimmingowi.

W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku, gdy chłopiec zmarł w wieku szesnastu lat, fundacja zmieniła się w organizację dobroczynną, zachowując dawną nazwę. Nie była już rodzinnym funduszem powierniczym ani fundacją, lecz podstawioną spółką, kierowaną zakulisowo przez kilku dyrektorów, którzy, zgodnie ze statutem, nie musieli ujawniać nazwisk. Prawdopodobnie więc nie istniały dokumenty zawierające listę nazwisk tych osób, ponieważ oficjalnie członkami zarządu byli nowo zatrudnieni adwokaci, działający pod szyldem rozwiązanej firmy Topping, Halliwell & Whiting. Do tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego

roku wszystkie ślady rzeczywistych współników całkowicie nielegalnej organizacji znikły, ale fundacja pozostała i po blisko sześćdziesięciu latach istnienia weszła w kolejne stulecie. To nie miało sensu. Wyszukana, skomplikowana i bardzo droga mistyfikacja - tylko po co i czym się to miało zakończyć?

Regularnie przeprowadzane kontrole raportów o dotacjach dla innych instytucji nie wywoływały nigdy podejrzeń urzędu skarbowego, co oznaczało, że trzysta lub czterysta milionów dolarów aktywów Fundacji Grange'a naprawdę istniało, choć nie pochodziło z zapisu dokonanego przez Fredericka Grangea lub jego żonę. Organizacja ta była przykrywką do ukrycia funduszy, które nie miały żadnych legalnych źródeł pochodzenia. Była pralnią pieniędzy na niespotykaną skalę, działającą od ponad pół wieku. Coś nadzwyczajnego i niezwykle prostego. Lecz skąd pochodziły pieniądze wymagające prania i jak związek miał z tym chłopiec zabrany z klasztoru na północy Włoch? Fundacja Grange'a była tylko częścią poszukiwań prowadzonych przez księdza w Ameryce. Zdaniem zleceniodawcy z Watykanu, najistotniejsza była przeszłość chłopca i jego obecne miejsce pobytu. Gentile pospiesznie zapisał podane przez kardynała nazwisko w notesie:

Frederico Botte

Wiedział, że kiedyś chłopcu nadano inne imię - niebezpieczne - i musiał się postarać, aby nigdy nie zostało ujawnione. Poniżej napisał to drugie imię:

Eugenio

Spojrzał na zegarek. Minęło południe. Nadszedł czas, by powrócić do hotelu i przebrać się w sutannę przed spotkaniem z braćmi zakonnymi z kościoła Świętego Józefa w Greenwich Village.

Po sprawdzeniu Fundacji Grangea w internecie Gentile przejrzał pośpiesznie listę personelu wspólnoty Sant'Egidio i doszedł do wniosku, że nikt z tam pracujących nie mógł pamiętać przyjazdu Frederika Botte.

Wiedział jednak, że na pewno dowie się czegoś ciekawego.

Wyłączył lampę i opuścił salę wielkości boiska futbolowego, z chmurami na suficie, zastygniętymi na wiecznie niebieskim i skąpanym w słońcu niebie. Niestety, realny świat nie był taki prosty. Ksiądz przeszedł przez główny hall, stukając obcasami po błyszczącej, marmurowej posadzce, pchnął drzwi i zauważył, że w realnym świecie leje. Kryjąc głowę w ramionach, zbiegł po schodach. Zatrzymał się, by kupić parasol u jednego z przedsiębiorczych sprzedawców, którzy przepowiadali pogodę lepiej od synoptyków, i podążył do hotelu.

Carl Kressman jak zwykle wczesnym rankiem zwłókł zmęczone stare kości z łóżka i wszedł na wieżę stojącego przy plaży domu na Florydzie, by popatrzeć na dzień. Pogoda była niezmiennie idealna: bezchmurne niebo, bezmiar lazurowej zatoki, łagodna bryza i temperatura gdzieś w granicach trzydziestu stopni. Wrócił do sypialni, włożył kąpielówki i zerknął na swoje odbicie w dużym lustrze na drzwiach łazienki.

W wieku siedemdziesięciu pięciu lat wciąż miał to, czym natura obdarzyła go jako dwudziestolatka, tylko że teraz uwypuklone chemicznie lub mechanicznie. Viagra i kilka innych tabletek utrzymywały ptaszka w gotowości, gdy było to konieczne - co, prawdę powiedziawszy, nie zdarzało się często - a tkwiący pod skórą rozrusznik wielkości paczki papierosów pobudzał do życia serduszko. W przeciwieństwie do większości przyjaciół, Carl wciąż miał wszystkie włosy na głowie - teraz oczywiście siwe - a trójogniskowe soczewki kontaktowe zapewniały pełną ostrość wzroku. Był opalony, wysportowany, pogodny, w pełni władz umysłowych i bajecznie bogaty.

Opalony starszy pan zszedł kręconymi schodami do białej kuchni i nalał sobie kawy z ekspresu. Stojąc przy zlewie i patrząc na wielki basen na tyłach domu, pokręcił głową, delektując się bogatym aromatem czarnego płynu. Życie jest pełne niespodzianek. Był taki czas, gdy liczył każdą minutę. Marzenia o spędzeniu ostatnich lat w takim miejscu jak to, z domami przy plaży, basenami i ekspresami, które parzyły kawę jeszcze zanim człowiek się obudził, były całkowicie nierealne. Przeszedł przez wojny,

huragany i inne nieszczęścia i nie tylko przeżył, lecz dobrze mu się wiodło.

Roześmiał się głośno. Jako dwudziestolatek krewetki znał tylko ze słyszenia, nie mówiąc już o poznaniu ich smaku, tymczasem te wspaniałe małe kąseczki uczyniły go bogatym.

Dopił kawę, wypłukał kubek pod kranem i odstawił na suszarkę do wyschnięcia. Przeszedł po wyłożonej płytkami ceramicznymi podłodze salonu do drzwi prowadzących na zadaszoną werandę, a stamtąd po schodach do basenu. Wiele osób śmiało się z Carla, że ma basen w domu stojącym zaledwie piętnaście metrów od Zatoki Meksykańskiej, lecz on lubił wygodę. Basen był wypełniony słoną wodą, pompowaną z zatoki, filtrowaną i dzień i noc ogrzewaną do trzydziestu stopni. Żaden surfingowiec nie wejdzie mu tu w drogę i nie musi walczyć z żadnymi prądami.

Betonowym chodnikiem otaczającym basen przeszedł do trampoliny, zdjął tenisówki i sięgnął po okulary leżące w plastikowym koszyku. Stał na brzegu trampoliny, lekko ją rozhuśtał, po czym odbił się i skoczył do wody z wprawą rasowego pływaka.

Płynął na przemian kraulem i żabką, pozwalając swobodnie krążyć myślom. Wspominał swoje życie - szczęśliwe lata z żoną, która zmarła po krótkiej walce z rakiem; dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę, z których jedno było obecnie lekarzem, a drugie profesorem w Nowym Jorku. Pomyślał też o interesach. Zaczynał od sześciu łodzi do połowu krewetek, ściągniętych z Fernandina Beach. Odnowił je i zaprzągnął do pracy. Z sześciu zrobiło się sto, a sto zmieniło się w skład, gdzie mroziło się i pakowało krewetki. Potem skład zmienił się w jedną z największych na Południu

fabryk, przetwarzających owoce morza. Carl zainwestował w nieruchomości u wybrzeży Alabamy, co przyniosło mu jeszcze większe zyski.

Dzięki temu teraz mógł w pogodny poranek pływać sobie we własnym basenie, delektując się myślami. Pokonał rutynowy dystans, zrobił jeszcze jedno okrążenie, bo dlaczego nie, po czym przewrócił się na plecy i pływał na wznak przez minutę czy dwie, patrząc w poranne niebo i myśląc o solidnym śniadaniu w nowej i o wiele lepszej od czasu remontu po huraganie restauracji Nolana. Stek, smażone jajka, frytki i niech diabli wezmą cholesterol. „Liegt der Bauer untern Tisch, wardas Essen nimmer frisch”, jak mawiał jego ojciec.

Przewrócił się na brzuch i przez chwilę stał w miejscu, po czym popłynął w stronę płytkiego dna, aż dotknął stopami ziarnistego betonu.

Zrobił krok w przód, rozgarniając wodę rękoma i nawet nie poczuł ukłucia szkła wbijającego mu się w stopę. Po trzecim kroku zorientował się, że coś jest nie tak. Jak większość ludzi w tym wieku, Kressman miał cukrzycę typu drugiego i tracił czucie w stopach, teraz jednak ból sięgnął wyżej.

Spojrzał w dół i zobaczył, że woda wokół niego robi się różowa. Kolejny krok i śmiertelne niewidzialne ostrze przecięło mu ścięgno Achillesa.

Potknął się i upadł, wyrzucając ręce w przód. Jedno ostrze wbiło mu się w rękę, a drugie przecięło łydkę. Uświadomił sobie z przerażeniem, że znalazł się w wielkim kłopotcie. Podobnie jak wielu cukrzyków, Carl miał problemy z sercem, które wymagały podawania leków na rozrzedzenie krwi. Jednym z nich był coumadin, znany też pod nazwą warfaryna, jednocześnie silna trucizna na szczury. Liczne cięte rany, które właśnie

otrzymał, i ciepła woda mogły łatwo doprowadzić do wykrwawienia, i to w ciągu kilku minut.

Popłynął kraulem w stronę stopni prowadzących na brzeg basenu.

Otrzymał cięcie w drugą rękę - to pozbawiło go palca wskazującego.

Krzyknął i przewrócił się na bok. Wtedy otrzymał kolejne dwa ciosy;

jeden, tuż pod żebrami z prawej strony, rozciął mu ciało aż do wątroby, a

drugi przeszył udo, rozcinając tętnicę udową aż do pachwiny. Kressman

krzyknął, nabrał wody w usta i zakrztusił się. Próbował obrócić się na

brzuch, młóćąc wodę rękoma i usiłując dosięgnąć dna basenu, lecz poczuł

tylko jeszcze większy ból. Z przeciętej tętnicy trysnęła krew, zmieniając

kolor wody z różowego na czerwony. Źrenice uciekły Carlowi w górę,

odsłaniając białka. Wolno obrócił się, a twarz zalała mu woda.

Chwilę później skonał. Bateria w rozruszniku wciąż pobudzała serce

co kilka sekund, lecz bez rezultatu. Organ drgał spazmatycznie w martwej

piersi.

Detektyw Bobby Izzard - zwany przez wszystkich Izzy od czasów, gdy grał w box balia na zatłoczonym chodniku przed blokiem w czeluściach dzielnicy Queens - przyjrzał się z uwagą długiemu bufetowi śniadaniowemu na parterze restauracji Zekes Down Under, po czym nałożył na talerz jajecznicę, bekon, frytki i kilka smażonych ostryg. Dodał do tego półtorej porcji papryki Royal Reds i dla równowagi trochę ciemnego ryżu. Podobnie jak wszystkim policjantom z Gulf Shores, Izzy'emu brzuch przelewał się przez pasek. Zapewne nie służyło to jego zdrowiu, podobnie jak piwo, papierosy i oglądanie niedzielnych meczów futbolu zamiast czynnego w nich udziału, ale miał to gdzieś. Uciekł od zrzędzącej żony, nowojorskich zim, niekończących się zabójstw i rwącego bólu brzucha, który mógł się przekształcić we wrzody albo w coś gorszego. W Gulf Shores w Alabamie znalazł raj, a jedną z jego głównych rozkoszy stanowiło śniadanie w Zeke's Down Under.

To był z pewnością raj. Po pierwsze, wielu ludzi umierało w Gulf Shores i dlatego w mieście liczącym sobie pięć tysięcy mieszkańców funkcjonował jeden całodobowy zakład pogrzebowy i kolejne dwa w Foley, tuż przy drodze. Umierali, tak, ale nikt ich nie mordował. Umierali ze starości, ciałami zajmował się lekarz i Izzy nie miał nic do tego.

Jako członek trzyosobowego zespołu śledczego zajmował się drobnymi przestępcami wyrywającymi torebki, oszustem, który chciał pozbawić starszą panią oszczędności całego życia, i szukaniem osób zaginionych, w większości chorych na Alzheimera i błąkających się po ulicach. Jedynie w

sezonie żeglarskim, kiedy liczba mieszkańców zwiększała się trzy, a nawet czterokrotnie i do miasta zjeżdżali turyści z północnych stanów, by zapęłnić stojące przy plaży wieżowce, Izzy dołączał do patrolu przybrzeżnego i wielką łodzią motorową wyruszali na poszukiwanie pływaków lub nieznanych wioślarzy, którzy wyglądali, jakby mieli ochotę coś przeszmutować w kilku belach. W ciągu trzech lat służby przy ochronie mieszkańców Gulf Shores nigdy jednak nie wyciągnął broni i tylko dwa razy użył kajdanków. Nikt też nie podniósł na niego ręki, co dawałoby podstawę do oddania strzału.

I to właśnie lubił. To nie byli Nowojorscy gliniarze, Prawo i bezprawie, Kryminalne zagadki Las Vegas czy choćby Kojak. To było Gulf Shores, miejsce ogrodów zoologicznych, gdzie można pogłaskać zwierzęta, pól do minigolfa i rejsów z polowaniem na rekina. Gulf Shores, gdzie tłusto się jadło, ale kto by się tym przejmował. Gdzie umieranie było kwestią zatrzymania akcji serca po przyjemnej partii minigolfa z przyjaciółmi nad Zatoką Piratów. Jeżeli kogoś zamordowano, to w Mobile lub Pensacoli, a to nie był jego zakochany interes.

W drodze do stołu wziął jeszcze kubek z kawą i usiadł tak, by mieć widok na przystań i nadbrzeże, po czym zaczął metodycznie opróżniać zawartość talerza. Dla większości ludzi było zbyt wcześnie na posiłek. Wyjątek stanowiło kilku wyglądających na zgłodniałych kapitanów łodzi czarterowych i grupa starych turystów w podkoszulkach i kapeluszach przeciwsłonecznych marki Tilly. Przez chwilę mógł więc delectować się samotnością. Przez chwilę.

Właśnie wbił widelec w pierwszy kawałek papryki i obrócił go w słodkiej marynacie, gdy kątem oka zobaczył Kennyego Frizella. Kenny był tutejszy; był rzutkim facetem i, niech mu Bóg pomoże, jego partnerem, drugim człowiekiem w tak zwanej grupie dochodzeniowej tworzącej miejscowy wydział śledczy. Trzeci, Earl Ray Pasher, starszy gość, stanowiąc namiastkę oddziału K-9, bo jego jedyną miłością był El Kabong, olbrzymi, śliniący się i szczerzący zęby pies myśliwski.

Kabong był najszczęśliwszy, gdy obwąchiwał rozdęte zwłoki topielca, walizkę z kokainą, piwnicę pełną hydroponicznych roślin lub gdy wytropił gdzieś przy bocznej drodze koło rozlewiska przyczepę zamienioną w laboratorium do produkcji spirytusu metylowego. Pies był tak dobry, że stale wynajmowały go wraz z Pasherem inne służby w Alabamie i poza stanem, toteż rzadko bywali na miejscu. Kabong dostawał do powąchania wszystko, co w rejonie Gulf Shores miało jakiś podejrzany zapach.

Kenny wyglądał jak postać z filmu rysunkowego. Miał włosy czerwone jak marchewka, niczym sygnalizator w korpusie piechoty morskiej, figurę jak marynarz Popeye na sterydach i twarz jak kukielka Howdy Doody z programu telewizyjnego, tylko że był zbyt młody, by ją pamiętać, bo nadawano ten program w latach pięćdziesiątych. Został kapralem i detektywem tylko dlatego, że ukończył dwuletni kurs prawa karnego w Faulkner State Community College w Gulf Shores. Nie zatrzymał się przy bufecie; nie wziął nawet kawy. Szedł w tych swoich wielkich, czarnych butach i z rozpromienioną twarzą o krągłych policzkach, usianą licznymi piegami. W przeciwieństwie do Izzy'ego, który po trzech latach dorobił

się przyjemnej opalenizny koloru herbaty, Kenny był po prostu spalony słońcem. Zawsze wyglądał, jakby potraktowano go lampą lutowniczą lub jakby wyszedł z piekarnika. Patrząc na niego, Izzy powoli tracił apetyt, bo Kenny miał bardzo poważną minę. Gorzej: wyglądał na zmartwionego.

- Mamy problem, Iz - powiedział, przysiadając się do stolika.

- Nie; to ty masz problem. Nie powiedziałaś mi jeszcze, o co chodzi, więc w dalszym ciągu delektuję się moim śniadaniem. - Nadział na widelec kawałek bekonu, owinął go w marynowaną paprykę, po czym włożył do ust i zaczął żuć, naśladując Homera Simpsona z serialu Simpsonowie, co zawsze rozśmieszało Kenny'ego. Ale nie tym razem.

- Mamy ciało w basenie.

Izzy westchnął. Kenny lubił popisywać się swoim wykształceniem, dlatego bardzo długo dochodził do sedna sprawy.

- Przypuszczalnie martwe ciało.

- Tak.

- Ktoś stary?

- Tak.

- Starzy ludzie ciągle toną w basenach.

- Ale on nie utonął. Jestem o tym przekonany. Wygląda na to, że wykrwawił się na śmierć. Pływał twarzą do góry i woda jest czerwona. Pozycja z twarzą do góry była trochę dziwna. Naturalne kołysanie powoduje, że ciało zazwyczaj przekręca się na brzuch.

- Czy był w głębokiej części basenu, czy w płytkiej?

- Płytkiej.

To wyjaśniało sprawę. Ktoś prawdopodobnie położył go na dnie basenu.

- Czy ktoś wezwał Maggie?

- Jest w drodze.

Gulf Shores było w tej szczęśliwej sytuacji, że miało koronera, który nie tylko był lekarzem, ale również patologiem, pracującym w Baldwin County Medical Center w Foley, dziesięć minut jazdy drogą numer pięćdziesiąt dziewięć. Maggie była tuż po pięćdziesiątce, podobnie jak Izzy, lecz miała tyłek osiemnastolatki i wiedziała o tym, co Izzy'emu się podobało.

- Może miał hemoroidy? - zaryzykował.

Kenny skrzywił się, demonstrując coś między groźnym spojrzeniem a wyrazem obrzydzenia. Ktoś z takim stopniem nie powinien żartować z zamordowanej ofiary. Ale Izzy robił sobie żarty nawet z wielkiej liczby pieszych ginących na przejściu przez Gulf Shores Boulevard - większość miała bardzo słaby wzrok lub chodziła o balkonikach czy laskach - traktując ich jak pozycję w roczniku statystycznym. Mężczyzn nazywał wiewiórkami, kobiety bobrami. Dla Izzyego gwałtowna śmierć była czymś zwyczajnym, związanym z zawodem, dla Kenny'ego - powołaniem.

- Myślę, że to było morderstwo - powiedział Kenny ponurym głosem.

- Dlaczego? - zapytał Izzy. - Ludzie wykrwawiają się z różnych powodów. Może miał raka płuc, zator lub coś w tym rodzaju.

- Myślę, że nie widział zbyt dobrze albo okulary mu zaparowały.

- A co to ma do rzeczy?

- Na dnie basenu są potłuczone butelki.

- Butelki?

- Tak. Jakbyś stłukł butelkę, a następnie wrzucił denko na dno base-

nu. Mam świetny wzrok, a sam ledwie je widziałem. Tam są ich setki.

Wygląda na to, że pływał, a potem szedł w stronę głębokiej części basenu i bardzo się pokaleczył. Nie mówiąc już o długim kawałku szkła wystającym mu z ust. To nie był wypadek.

Izzy wypił łyk kawy, a następnie wyciągnął zapalniczkę i paczkę Marlboro.

- Kawałek szkła?

Kenny kiwnął głową z ponurą miną.

- Długi na trzydzieści centymetrów, jak sztylet. Przeciął mu język w połowie.

Izzy strzelił zapalniczką, zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko. Popatrzył na talerz ze śniadaniem. Czuł, jak bąbelki gazu wędrują wzdłuż przewodu pokarmowego, sprawiając mu ból. Powinien był zjeść coś lżejszego, na przykład same ostrygi. Westchnął i wypuścił chmurę dymu.

- Masz rację, Kenny. Trzydziestocentymetrowy kawałek szkła wyst-

ający z ust starego człowieka nie wygląda na wypadek, nawet w Gulf Sho-

res. - Odsunął krzesło i wstał od stołu. Zaburczało mu w brzuchu. - Lepiej

się temu przyjrzyjmy - powiedział.

Finn Ryan odsunęła się od komputera w gabinecie Ex Librisu, ścisnęła grzbiet nosa kciukiem i palcem wskazującym i zamknęła oczy. Z prawej strony leżała sterta zapisanych kartek papieru z żółtego notesu - rezultat kilkugodzinnej pracy. Pochyliła się, ziewnęła, zebrała kartki i spróbowała się skupić. Część uwagi wciąż zajmowało wspomnienie ciepła, które czuła w dole brzucha, i osnutej mgłą chwili, gdy Michael powoli w nią wchodził. Żadne z nich nie było w stanie czekać, aż znajdą się w łóżku. Leżąc na stole w kuchni, objęła go nogami w pasie. To cudowne i niesamowicie satysfakcjonujące wrażenie miało w sobie pewien dystans i samotność kogoś, kto nigdy nie może oddać się całkowicie. Ciemny, zimny gniew był źródłem jego seksualności w takim samym stopniu co zwykła namiętność. Może to kwestia różnicy wieku, Finn wiedziała jednak, że tak czy inaczej to, co się stało między nimi, nie będzie trwać długo.

„Fiono Katherine Ryan, za dużo myślisz!” - skarciła siebie w duchu.

Skoncentrowała uwagę na żółtych kartkach trzymanyh w ręku. Kto rozpoczyna intymną znajomość z mężczyzną, przynajmniej dwadzieścia lat starszym, w samym środku dochodzenia w sprawie o morderstwo lub dwa, starając się jednocześnie samej uniknąć śmierci? A wszystko z powodu kartki papieru zarysowanej ręką geniusza pięćset lat temu. Przez chwilę wszystko wydawało jej się nierealne, ale przypomniała sobie cierpki zapach krwi w powietrzu, sygnalizujący morderstwo Petera, i czarny hełm świra na rowerze, gdy spadał w dół ku śmierci. To było bardzo realne.

Rozpoczęła poszukiwania od przejrzania witryny internetowej Akademii Greyfriars. Zdziwiło ją nieco, gdy okazało się, że strona jest starannie opracowana, wyrafinowana i dobra graficznie. Oczekiwała czegoś prostszego. Czysto użytkowej strony napisanej czcionką Times New Roman i z herbem w rogu. Herb rzeczywiście był - ponura tarcza, przedzielona linią biegnącą z lewa na prawo, z trzema ostami z prawej strony, czarnym łąbkiem i dwoma maltańskimi krzyżami z lewej. Nad tarczą widniało słowo „Greyfriars” i łacińskie motto: Mens agitat molem. Niżej biegła spiralna linia i drugie motto: Aut hweniam viam, autfaciam. Pierwsze znaczyło: „Duch kieruje materią”, a drugie w wolnym tłumaczeniu: „Znajdę drogę lub ją stworzę”.

Zgodnie z informacjami zawartymi na stronie internetowej, motto „Duch kieruje materią” odpowiadała pierwotnemu celowi szkoły. Założona w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym piątym roku przez kalwińskiego pastora, George'a Haverforda, za główną ideę obrała sobie uchronienie chłopców od pokus związanych z płcią przeciwną. Powstało całkowicie odizolowane środowisko, w którym uczniowie mogli skupić się na dziedzinach uznawanych przez Teddy'ego Roosevelta za kwintesencję męskości, to znaczy na sporcie, szkoleniu wojskowym i pilnej nauce. Dodając do tego zimny prysznic i dużą dawkę surowych zasad religijnych, stworzono szkołę, którą polubiłby każdy rodzic w tamtych czasach. Pomiędzy wierszami można wyczytać, że było to urzeczywistnienie zasady: „Dzieci powinno się widzieć, lecz nie powinno się ich słyszeć”. A widzieć jak najrzadziej. Finn doszła do wniosku, że jest to najgorsza z wersji angiel-

skiej szkoły z internatem.

Przeszukując sieć i wykorzystując prywatną i bardzo skomplikowaną wyszukiwarkę Valentine'a, zwaną ISPY-XRAY, Finn znalazła kolejne witryny internetowe. Niektóre z nich stworzyli absolwenci szkoły, a inne zwykli zbieracze informacji. Każda mówiła co innego. Po wnikliwej analizie okazało się, że Akademia Greyfriars ma jednak mniej wspaniałą przeszłość niż sugerowała oficjalna strona. Finn odkryła, że owa męskość doprowadziła do tego, że połowa wychowanków z pierwszej dekady dwudziestego wieku zginęła w okopach Belgii i Francji. Wyjątkowo duża ich liczba popełniła samobójstwo. Znęcanie się lepszych, starszych kolegów nad uczniami z młodszych klas doprowadziło tuż przed wielkim kryzysem z tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego roku do przynajmniej jednej śmierci i serii procesów. Szkoła znalazła się na skraju bankructwa. Czego nie zabrały procesy, dokończył kryzys i placówka upadła z powodu długów i złej sławy. W tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym roku grupa absolwentów kupiła szkołę, która do tego czasu pozostawała pod sekwestrem sądowym. W tym miejscu Finn natrafiła na swój pierwszy prawdziwy trop - listę nowych członków zarządu. Było na niej dwaście nazwisk, lecz to sześć pierwszych przykuło jej uwagę:

Alfred Andrew Wharton

Lauder J. Cornwall

admirał Tobias Gatty

Jonas Hale Parker III

Orville Dupont Hale

Jerome G Crawley

Nie było tu miejsca na zbieg okoliczności. Nie mogło być. A. A.

Wharton był przypuszczalnie dziadkiem obecnego dyrektora szkoły Lauderdale Cornwall musiał być spokrewniony z Jamesem Cornwallem, ostatnim dyrektorem muzeum Parker-Hale. Jonas Parker i Orville Hale byli spadkobiercami założyciela muzeum, Tobias Gatty był oczywiście związany z pułkownikiem, a Jerome G Crawley to krewny Alexandra Crawleya. Nie było tu zbiegu okoliczności, ale też żadnych punktów styecznych. Co sześciu członków zarządu z lat trzydziestych mogło mieć wspólnego z dwoma zabójstwami i zabłąkaną stroną z notesu sprzed pół tysiąca lat? Tajemnice swoją drogą, ale to już graniczyło z niemożliwością.

Uniosła wzrok znad notatek i rozejrzała się po pokoju w stylu Sherlocka Holmesa. Mgliście pamiętała jakiś fragment opowiadania, które czytała w pierwszej klasie liceum na lekcji angielskiego: „Jeżeli wyeliminuje się niemożliwe, to, co pozostanie, jakkolwiek nieprawdopodobne, musi być prawdą”. Jeśli więc wierzyć słowom, które Conan Doyle włożył w usta sędziwego detektywa, istniał tu jakiś związek, tylko że ona go nie dostrzegała. Kolejne dwie godziny spędzone przed komputerem nie przyniosły niczego, co rozjaśniałoby sprawę. Badanie nazwisk i ich wzajemnych relacji tylko komplikowało problem.

Używając wyszukiwarki ISPY, Google i innych, które jej przyszły do głowy, Finn sprawdziła nie tylko sześć pierwszych nazwisk, ale i pozostałe, poczynając od tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego roku. W przeciwieństwie do szkół takich jak Phillips Andover w Massachusetts -

której wychowankami było wiele znanych osobistości, począwszy od twórcy Tarzana, przez aktywistów walczących o prawa mniejszości seksualnych aż po różnych prezydentów Stanów Zjednoczonych - Akademia Greyfriars specjalizowała się w ludziach spoza świecznika. Z dwunastu członków zarządu, którzy w latach trzydziestych sprawowali nadzór nad szkołą, żaden nie należał do kategorii A. Parker i Hale odziedziczyli jedynie fortuny rodzinne, lecz ich nie stworzyli, jak na przykład Cornelius Vanderbilt lub John D. Rockefeller. Gatty dochrapał się tylko stopnia kontradmirała, a statek nazwany jego imieniem był jedynie statkiem towarowym, a nie okrętem wojennym czy lotniskowcem. Jerome Crawley, adwokat, pracował z Billem Donovanem, człowiekiem, który stał na czele OSS, Biura Służb Strategicznych, poprzednika Centralnej Agencji Wywiadowczej. Przekrój zawodowy członków zarządu prezentował się następująco: senatorowie, lecz nie gubernatorzy ani prezydenci; członek lokalnych władz, ale nie sekretarz stanu; zastępcy dyrektorów CIA, lecz nie dyrektorzy. Prawdę powiedziawszy, jeżeli chodziło o rząd, wspólnicy i synowie, którzy po nich następowali, byli prawie niezmiennie apolityczni: urzędnicy Sądu Najwyższego, ale nie sędziowie. W interesach i innych dziedzinach życia było tak samo. Niczym się nie wyróżniali, nie byli bohaterami skandali i nigdy nie upadali. Zupełnie jakby wszystko zostało zaplanowane - i po chwili Finn zaczęła dostrzegać mglisty wzór. Członkowie zarządu i ich potomkowie nie byli inicjatorami ani ludźmi czynu, lecz urzędnikami i księgowymi, którzy mieli w rękach rzeczywistą władzę i trzymali ją najdłużej. Kadencja prezydenta trwała cztery lata, w najlep-

szym razie osiem; senator mógł działać przez pół wieku, o ile był inteligentny i po cichu angażował się w działalność paru czy parunastu różnych komitetów. Biznesmen zaś mógł kolekcjonować członkostwa w radach nadzorczych jak pudełka od zapalek. Niewielu ludzi wiedziało, kim on jest i jakie ma wpływy. Względy praktyczne ponad miłość własną, władza poprzez pośredników - to mogło być prawdziwe motto szkoły Finn udało się również odkryć, że wszystkich dwunastu członków zarządu kupiło szkołę pod egidą czegoś, co nazywało się Klub Carduus. Odkryła, że carduus to po łacinie „oseł”, co prawdopodobnie nawiązywało do ostu w herbie szkoły. Tak nazywała się również pogańska sekta satanistów. Klub Carduus przestał istnieć w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku. Żaden link nie prowadził do dat późniejszych. Sprawdzając ponownie witrynę internetową, stwierdziła, że prawa autorskie do niej miało Stowarzyszenie Wychowanków Akademii Greyfriars LLC, spółka powiernicza z radą nadzorczą, zarejestrowana z jakichś powodów w Delaware.

W tym miejscu dała sobie spokój. To było zbyt zagmatwane. Spojrzawszy na zegarek, odkryła, że minęła większa część dnia; zebrała notatki. Może Michael coś z tego zrozumie. Uśmiechnęła się. W myślach był dla niej Michael. Kochanka, ofiara napaści i uciekiniarka - wszystko w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin. Wstała, przeciągnęła się i lawirując między tonącymi w mroku regałami, poszła do windy.

W głowie wirowały jej setki faktów i wrażeń, gdy jechała na górę do mieszkania na najwyższym piętrze. Zaczekała, aż kabina zatrzyma się z

głuchym stukiem, po czym uniosła kratę i otworzyła drzwi. Weszła do jasno oświetlonego hallu prowadzącego do salonu. Drzwi do windy zamknęły się za nią automatycznie. Zatrzymała się; serce zaczęło jej łomotać w piersiach. Wszystkie myśli w głowie zlały się w jedną: kiedy przez kilka godzinami schodziła na dół do gabinetu, światło w korytarzu było zgaszone. Gdzieś w głębi mieszkania usłyszała brzęk tłuczonego szkła.

Bobby Izzard palił papierosa i grzebał w przeszłości Carla Kressmana, wędrując po pokojach kosztownie urządzonego domu na plaży. Otwierał szuflady i zaglądał do szafek. Godzinę temu Maggie i jej muskularni pomocnicy zasunęli nad ciałem Kressmana zamek błyskawiczny i zanieśli je do dużego vana vandury koronera. Kenny Frizell tkwił wciąż nad basenem i za pomocą specjalnej siatki wyławiał kawałki potłuczonych butelek, po czym wkładał je metodycznie do papierowych torebek na dowody, z których każda była starannie opisana przez młodego detektywa. Izzy został sam w pustym domu. Od strony tarasu przenikały do wnętrza ostatnie promienie słońca, wypełniając pokoje smugami złotych promieni. Dokonali wstępnej identyfikacji na podstawie numerów rejestracyjnych samochodu denata. Był stałym mieszkańcem posiadłości, żadnych narkotyków, nienotowany, żadnych naruszeń prawa - kompletnie nic.

Dom Kressmana był typową willą plażową w starym stylu, chociaż niedawno wybudowaną. Parter otaczały zadaszone tarasy. Na piętrze znajdowała się sypialnia gospodarza i pokój gościnny oraz spiralne schody prowadzące z sypialni na platformę obserwacyjną o wymiarach dwa i pół metra na trzy, umieszczoną na spiczastym dachu wykończonym jak dzwonnica jednoizbowej szkoły. Na parterze był salon i jadalnia z widokiem na plażę i na zatokę. Z jadalni prowadziły drzwi do kuchni, a za nią znajdowała się mała sypialnia z oknem wychodzącym na basen. Po drugiej stronie korytarza, na wprost małej sypialni, mieścił się duży pokój. Sypialnia, duży pokój i korytarz miały drzwi wychodzące na basen.

Nawet jeżeli ktoś nie znał ofiary, zwróciłby uwagę na kilka szczegółów zaraz przy wejściu, a nawet wcześniej. W garażu stał luksusowy mercedes klasy S, a meble zdobiące wnętrza pochodziły z okresu króla Edwarda, były więc zabytkowe i drogie. Kressman miał pieniądze. Podobnie jak meble, obrazy wiszące na ścianach wyglądały na autentyki - płótna pokryte grubą warstwą farby oprawiono w złote ramy. Izzy nie potrafił odróżnić dzieła sztuki od końskiego zadu, ale większość obrazów charakteryzował ten sam bogaty sznyt co miękkie skórzane obicia w mercedesie.

Kressman nie był lekkomyślny. Posiadłość chronił system alarmowy klasy A, połączony z posterunkiem policji przy Clubhouse Road, a nie z jakimś pustym biurem w pasażu handlowym, gdzie nagrany na taśmie groźny głos ostrzegał, że policja już jedzie. Za cenę, którą stary człowiek zapłacił za ten system, patrol pojawiał się pod jego domem w trzydzieści sekund po tym, jak ktoś zbyt głęboko westchnął przed cennym obrazem. Jakby jeszcze tego było mało, wszystkie obrazy zostały solidnie przymocowane do ścian.

Izzy rozejrzał się po kuchni, zaglądając najpierw do lodówki. Po pierwsze była ogromna, a po drugie, - prawie pusta. W środku znajdowało się urządzenie do robienia kostek lodu i zamrożona butelka wódki Flaggman z białą nalepką. Drogi towar.

Na niższych półkach leżało kilka opakowań z miejscowych barów na wynos - starannie owinięte resztki sałatki -i spory zapas piwa, przeważnie w przysadzistych, brązowych butelkach z napisem „Schultheiss Berliner

Weisse”. Już sama opłata za przesyłkę pewnie była wyższa niż cena jednej szklanki w Niemczech. Izzy od razu wiedział, że to jego piwo. Nie wahał się ani przez chwilę. Wyjął jedną oszronioną butelkę i otworzył. Pociągnął łyk. Smakowało jak stare złoto. Rysunek na nalepce przedstawiał kobiety z parasolkami, idące wysadzonym drzewami bulwarem. Nawet piwo tego gościa było staroświeckie. Izzy westchnął z zadowoleniem, beknął lekko i kontynuował zwiedzanie z butelką w kieszeni marynarki. Przeszedł do gabinetu. Spore pomieszczenie o szerokości około pięciu metrów nie nosiło śladu kobiecej ręki. Zasłony miały ciemny kolor, a wzdłuż ścian stały półki z książkami i globus w stylu królowej Anny, po otwarciu ujawniający dobrze zaopatrzone barek z najlepszymi markami: pięciogwiazdkowy Hennessy, Jack Daniel's, Johnny Walker Blue Label i kilka butelek whiskey o trudnych do wymówienia nazwach. Izzy uśmiechnął się na myśl, co znajdzie Maggie, gdy rozkroi wątrobę tego staruszka. Pomyślał przez chwilę o wspaniałym, jędrnym zadku pani koroner, wypił łyk piwa i poszedł dalej.

Kolekcja kufli do piwa, kolekcja modeli samochodów, siatek w butelce, staroświecki sekretarzyk z żaluzjowym zamknięciem. Nie chciał się otworzyć. Wcześniej Kenny znalazł na komodzie pęk kluczy, który teraz Izzy miał w kieszeni. Wyjął je i zaczął dopasowywać jeden po drugim. Udało mu się przy trzecim. Odsunął żaluzję. Wszystko było starannie uporządkowane i eleganckie. Koperty i inne rzeczy poukładane w oddzielnych przegródkach. Z prawej strony stał laptop firmy Acer Ferrari w kolorze ognistoczerwonym, wyposażony w bezprzewodowy modem; bar-

dzo nowoczesny. Izzy włączył komputer i przez pięć minut przeglądał

zbiory starszego pana. Połowa z nich była zabezpieczona hasłem.

Wstał, wyszedł na taras i poprosił Kennyego, aby popracował nad

komputerem swoimi czarodziejskimi palcami, sam zaś udał się na górę do

sypialni. Nie znalazł nic w pokoju gościnnym, nic interesującego w ła-

zienie, poza lekami na nadciśnienie i szamponem przeciwłupieżowym.

Żadnego preparatu na hemoroidy, a więc Kressman nie miał z tym prob-

lemów. Przeszedł do sypialni. Kolejne solidne meble, w tym ozdobne łóże

z baldachimem, przypominające Izzy emu scenę ze starego czarno-białego

filmu, w którym Scrooge budzi się i uświadamia sobie, że jest poranek

Bożego Narodzenia*. Z sufitu zwisała staroświecka lampa, a w kącie stała

*Chodzi tu o ekranizację *Opowieści wigilijnej* Dickensa [przyp. red.].

palma tak wysoka, że liście dotykały stropu. Wszędzie leżały małe dywa-

niki, zamiast jednego dużego od ściany do ściany. Ojciec Izzy ego praco-

wał przez czterdzieści lat przy budowie domów, syn więc spędził niejedno

lato, stawiając różne gówna w Nowym Jorku i Jersey. Wiedział dokładnie,

jakie nedoróbki można ukryć pod gipsem na suficie i tanim dywanem.

Ale nie tutaj. Tu wszystko było najwyższej jakości.

Na ścianach wisiało mnóstwo obrazów. Podobnie jak te na dole, wy-

glądały na autentyki i nawet taki profan jak on potrafił niektóre z nich

rozpoznać. Na przykład dzieła tego karła, o którym nakręcono film. Nosił

cylinder i lubił prostytutki... Jak on się nazywał? Toulouse-Lautrec... Tak.

Właśnie jego obraz wisiał nad łóżkiem. Był duży i przedstawiał męż-

czynę i kobietę, oboje brzydkich, stojących przy czymś w rodzaju baru

na skraju parkietu do tańca. Był też drugi obraz namalowany przez tego samego gościa, z tą samą brzydką prostytutką i zatłoczonym barem w tle. Kobieta sprawiała wrażenie znudzonej. Izzy też był znudzony. Na liście jego świątecznych prezentów nie figurowały obrazy.

Podszedł bliżej i spróbował poruszyć ten ze starą kurewką. Stwierdził, że jest przytwierdzony do ściany podobnie jak pozostałe. Brzydki czy nie, nie można było wziąć go ot tak, jak się bierze te sprzedawane przez głodujących malarzy przy Holiday Inn. Alarm antywłamaniowy i zabezpieczenia wskazywały na wysoką kwotę ubezpieczenia. Niestety, żadnego dzieła nie ukradziono. Przynajmniej miałyby motyw, od którego mógłby zacząć. Żeby jednak dokonać kradzieży, należałoby wyciąć obraz z ram, a tak się nie stało. Podszedł do wielkiej komody Stała na niej duża srebrna taca z osobistymi rzeczami: rolex daytona, klips do banknotów z sześcioma dwudziestkami i setkami, drobne monety, pierścionek na mały palec z dużym zielonym kamieniem, portfel i telefon komórkowy. Izzy nie znał się na sztuce, lecz na zegarkach tak. Kiedy ostatnio widział takie modele roleksa, kosztowały dziesięć lub jedenaście patyków. Przyjrzał się zegarkowi, pokręcił głową i westchnął. Śliczny, ale nigdy nie zdołałby wyjaśnić, skąd go ma. Tak czy inaczej, w tym domu nie dokonano kradzieży Ktoś załatwił gościa z powodów innych niż pieniądze.

Otworzył portfel. Prawo jazdy z Alabamy na nazwisko Carl Kressman, z datą urodzenia, na podstawie której można było ustalić, że denat miał siedemdziesiąt pięć lat. Wydano je pięć lat temu na ten sam adres, co wskazywałoby, że jego właściciel mieszkał tu co najmniej od tego czasu.

Zajrzał do innej przegródki i znalazł pięć kart kredytowych, kartę ubezpieczenia społecznego i laminowaną kartę do miejscowej biblioteki. W jednej z wewnętrznych kieszonek była prezerwatywa, a za nią jeszcze coś - nowojorskie prawo jazdy na nazwisko Karel Kress. Co ten facet robił z dwoma prawami jazdy na dwa nazwiska? Dziwne, ale przynajmniej jakiś interesujący szczegół, a nie tylko kolejne martwe ciało starego człowieka. Izzy zszedł na dół i zajrzał do Kenny'ego, który pochylał się nad laptopem, stukając w klawiaturę.

- Znalazłeś coś?

- Facet był bogaty.

- Sam na to wpadłem.

- Kolekcjonował dzieła sztuki.

- I na to też - odpowiedział Izzy, rozglądając się po gabinecie. Wszędzie te obrazy...

- Wszystkie pochodzą z jednego miejsca w Nowym Jorku, z Hoffman Gallery.

- Tak?

- Tak. I zapłacił za nie kupę pieniędzy. Spójrz.

Odsunął się, robiąc miejsce Izzy'emu. Na ekranie widniały rzędy nazwisk i liczb.

Boucher, Francois / dwzk

2 870 000

Cezanne, Paul / cwzk

9 430 000

Fragonard, Jean-Honore / pas

1 670 000

Gogh, Vincent van / kipd

11 625 000

Manet, Edonard/ czp

2 800 000

Toulouse-Lautrec / lgwdmr

10 000 000

Toulouse-Lautrec / ygksp

4 000 000

Lista zajmowała sześć stron. Było na niej co najmniej dwieście obrazów, daleko więcej niż w domu. Wartość większości z nich przekraczała milion. Kenny zademonstrował możliwości programu, ustawiając kursor na dowolnym dziwnym kodzie literowym i klikając na nim myszą.

Renoir, Pierre-Auguste / akonł

750.000

Prawie natychmiast pojawiła się fotografia obrazu przedstawiającego kobietę podpartą na rękę, z jakimś wielobarwnym tłem, przypuszczalnie kwiatowym. Pod zdjęciem zaś widniały następujące informacje:

Algierska Kobieta Oparta Na Łokciu

1881

Wysokość: 413 mm (1626 cali), szerokość: 322 mm

Hoffman Gallery Nowy Jork 1995

Sprzedane przez: Muzeum Park-Hale w 1993 roku

Zapis na rzecz Fundacji Grange'a w 1957 roku

- Nic nie rozumiem z tego główna.
- To lista obrazów.
- Czy naprawdę myślisz, że jestem takim dupkiem? Wiem o tym, Kenny, chociaż nie chodziłem do collegeu.
- Lista łączy się z tymi informacjami za pośrednictwem kodu literowego.
- Kod literowy tworzą pierwsze litery tytułu obrazu. To też zrozumiałem, Ken.
- Ta reszta to coś, co nazywamy pochodzeniem obrazu.
- My?
- To znaczy, skąd ten obraz się wziął, jego przeszłość i historia własności.
- I?
- I jak dotąd wszystkie mają takie samo pochodzenie i taką samą historię własności. Fundacja Grangea przekazuje obraz muzeum Parker-Hale, które pozbywa się go, sprzedając Galerii Hoffmana, a ta opycha je prywatnym obywatelom takim jak Kressman.
- Który kończy pokrojony w paseczki we własnym basenie.
- Myślisz, że te dwie sprawy łączą się ze sobą?
- Łączy je mnóstwo pieniędzy
- Ale nic nie zginęło.
- Możesz zsumować te wszystkie liczby?
- Chyba tak.

Kenny bawił się przez chwilę z komputerem. Po chwili pojawiła się

liczba:

\$ 273 570 000

- To wszystko na jednego faceta? - zdziwił się Kenny. - Chryste!

- Myślę, że to zbyt głęboko jak dla nas, Kenny - powiedział Izzy i zaśmiał się, lecz Kenny nie widział w tym nic śmiesznego.

Apartament Erika Taschena ze wspaniałym widokiem na Sheep Meadow i Ramble mieścił się na ostatnim piętrze kamienicy z lat czterdziestych, stojącej przy Fifth Avenue, naprzeciwko Central Parku. Na pierwszy rzut oka sprawiał skromne wrażenie ze swoimi pięcioma czy sześcioma pokojami, sypialnią i gabinetem, lecz lokalizacja i widok oraz obrazy wiszące na ścianach były najwyższej klasy. Serigrafia Warhola z Johnem Wayne'em w hallu, Roy Lichtenstein zajmujący prawie całą ścianę w salonie, a na wprost niego gipsowa ceramika Juliana Schnabla. Valentine nie zauważył w mieszkaniu żadnych wskazówek odnośnie do sytuacji rodzinnej, żadnych śladów kobiecej ręki ani niczego, co by świadczyło o obecności drugiego mężczyzny. Wysnuł więc wniosek, że Taschen mieszkał sam.

Gospodarz był szczupły, ubrany w białą jedwabną koszulę z rozpiętym kołnierzykiem, dopasowane dżinsy i drogie mokasyny na bosych stopach. Na rękę miał prosty zegarek z nierdzewnej stali i żadnej innej biżuterii. Wyglądał na około pięćdziesiąt lat, miał ciemne włosy przyprószone na skroniach siwizną i gładko ogoloną twarz bez zmarszczek. Otworzył Valentine'owi drzwi w okularach z czerwonymi oprawkami i z „New York Timesem” w dłoni. Poprowadził gościa do salonu i wskazał na lekko zniszczoną skórzaną kanapę, sam zaś usiadł w podobnym fotelu po drugiej stronie szklanego stolika do kawy.

- Widzę, że kolekcjonuje pan sztukę lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych - powiedział Valentine, spoglądając ponad ramieniem Taschena na

ogromnego Lichtensteina.

Płótno przedstawiało kanapę i krzesło podobne do tych, na których siedzieli. To był taki mały kolekcjonerski żart. Taschen wzruszył ramionami i odchrząknął.

- „Porzuciła nić, porzuciła krosno,

Przeszła trzy kroki po pokoju,

I ujrzała lilii wodnej kwiat,

A obok hełm i pióropusz.

Spojrzała ku Camelotu stronie.

Uleciała zerwana nić, daleko, szeroko,

Zwierciadło pękło w odłamków stos,

„«Klątwa nade mną!»», – krzyknęła

Pani z Shalott.”*

Uśmiechnął się szeroko.

- Jeżeli przez prawie dziesięć lat mieszka się wśród obrazów Willia-
mem Holmanem Hunta i Burne-Jonesa, to potem chce się mieć coś innego
na ścianach.

- Nadal pracuje pan jako kustosz?

- Nadal? - powtórzył Taschen. - Czy to ma jakiś związek z muzeum
Parker-Hale?

- Peter do pana dzwonił?

- Inaczej nie zgodziłbym się na spotkanie. Przez długi czas pracowa-
łem dla jego galerii. Mówił mi, że interesuje się pan zagrabionymi pod-
czas wojny dziełami sztuki.

- Niezupełnie.

- To znaczy?

- Interesuje mnie George Gatty.

- Na to samo wychodzi. Gatty kupował i sprzedawał kradzione obrazy; wszyscy o tym wiedzieli.

- A jaki jest związek z muzeum Parker-Hale, jeżeli w ogóle jakiś istnieje?

- Sandy handlował z Gattym.

* Fragment poematu A. Tennysona Lady of Shalott . Twórczość tego angielskiego poety była inspiracją dla malarzy z Bractwa Prerafaelitów, do którego należał Holman Hunt [przyp. red.].

- Sandy to znaczy Alexander Crawley?

- Tak.

- Byliście kolegami?

- Kiedyś tak.

- Z tego, co wiem, miał pan zostać następcą Cornwalla, lecz Crawley wywiódł pana w pole.

- Tak bym tego nie określił. Bardziej pasuje tu zniesławienie.

- Zrezygnował pan.

- Zazwyczaj składa się rezygnację, zanim zdążą pana zwolnić.

- Na jakiej podstawie?

- Żadnej. Powody były zmyślane. Według Sandy'ego moje stosunki z Cornwalllem były... nieprzyzwoite.

- Czyli Cornwalla również zniesławił?

- Coś w tym rodzaju. Wszyscy wiedzieli, że James był gejem, lecz nikogo to nie obchodziło. Z drugiej strony, intymny związek z dyrektorem uważano za zbyt delikatną sprawę, by wyciągać ją na światło dzienne.

- Taka była argumentacja Crawleya?

- Takie uzasadnienie przedstawił radzie dyrektorów.

- Czy to była prawda?

- A jakie to ma znaczenie?

- Dla mnie żadne, ale według adwokatów wszystko sprowadza się do motywu.

- Czyjego motywu?

- Tego, kto go zabił. - Valentine urwał. - Domyślam się, że policja uznała pana za podejrzanego.

- Oczywiście - uśmiechnął się Taschen. Wstał i podszedł do małego, polakierowanego na czarno barku w stylu art deco, stojącego w drugim końcu pokoju. - Napije się pan czegoś?

- Nie, dziękuję - odparł Valentine.

Taschen nalał sobie szkockiej, wrzucił kilka kostek lodu i wrócił na fotel. Wolno sączył drinka, w milczeniu spoglądając przez duże okno wychodzące na park. Miał napięte mięśnie szczęki, co wskazywało na powstrzymywany gniew.

- Mam alibi - powiedział w końcu, uśmiechając się z przymusem. -

Byłem wtedy w Pradze w interesach.

- W interesach?

- Pracuję jako konsultant prywatnych kolekcjonerów, korporacji, fun-

dacji i tak dalej. Teraz jest duże zainteresowanie wschodnioeuropejską sztuką awangardy z dwudziestolecia międzywojennego. Alois Bilek, Karol Teige, scenografie Capka. Ten ostatni wymyślił termin „robot”. To dobrzy artyści i stosunkowo tani.

- Daleko pan oszedł od Burne-Jonesa i Pani z Shalott Alfreda Tennysona.

- Ludzie się zmieniają. Gusty również.

- I okoliczności.

- Peter Newman powiedział mi, kim pan jest, panie Valentine, a może powinienem mówić; „doktorze Valentine”? Rozumiem, że ma pan kilka doktoratów. Wie pan, że obrazy na tych ścianach są dla większości ludzi nieosiągalne, podobnie jak to mieszkanie. Nie potrzebowałem tego stanowiska w Parker-Hale, ale chciałem i zasługiwałem na nie. To, że ktoś pochodzi z bogatej rodziny, nie znaczy, że nie ma prawa do stypendium naukowego. - Zmarszczył brwi. - Nie jestem jakimś tam dyletantem.

- Nawet mi to do głowy nie przyszło.

- W takim razie o czym pan myślał?

- O niczym. Ale chciałbym wiedzieć, dlaczego Crawley tak bardzo pana nie lubił.

- Nie było w tym nic osobistego. Nie dałem mu żadnego powodu ku temu. Sandy należał do kręgu. James Cornwall o tym wiedział i za żadne skarby świata nie zaproponowałby mu stanowiska dyrektora.

- To jednak nadal nie wyjaśnia, dlaczego tak pana nie lubił.

- Sandy zarabiał na pozyskiwaniu dzieł sztuki ze stałych zbiorów i in-

formował znajomych marszandów o ewentualnej sprzedaży. Robił to za łapówki. Wiele galerii to praktykuje, ale są bardziej dyskretne. Miałem dowody na to, czym się Sandy trudnił. Kompromitując mnie, podał w wątpliwość wszystko, co miałem do powiedzenia przeciwko niemu.

- Z tego, co wiem, Cornwall wyznaczył Crawleya na swojego następcę, gdy pan jeszcze pracował w muzeum. Dlaczego?

- Bo Sandy go szantażował - odpowiedział Taschen, wzruszając ramionami.

- Jest pan tego pewny?

- Jak najbardziej. James mi powiedział. Pokazał mi list od Sandy'ego, który nie pozostawiał mu wyboru.

- Jak pan myśli, kto zabił Crawleya?

- Nie mam pojęcia. Miał kilku nieciekawych znajomych. Tylko tyle wiem.

- Kogoś w szczególności?

- Na przykład Deitera Trosta z Hoffman Gallery, Marka Taggarta z Fundacji Grange'a, Georgea Gatty'ego, o którym pan wspomniał, a którego James Cornwall nienawidził.

- Dlaczego?

- Nie jestem pewien, ale chodzi chyba o to, że pułkownik to wyjątkowo odrażający typ bez cienia moralności. To chyba miało związek jeszcze z drugą wojną światową.

- Gatty pracował dla G2 w Szwajcarii. Dla wywiadu.

- James Cornwall również. Tylko nie w Szwajcarii. Był w wydziale

do spraw pomników, sztuk pięknych i archiwów przy OSS. Ludzie od odzyskiwania kradzionych dzieł sztuki.

- Skomplikowane układy - stwierdził Valentine. - Lecz to wciąż nie wyjaśnia, dlaczego Cornwall zgodził się, żeby Crawley został jego następcą. Mówił pan, że pokazał panu list.

- Tak.

- Co w nim było?

- Sandy wiedział, że James był członkiem tajnego klubu, i gdyby nie dostał stanowiska dyrektora muzeum, poinformowałby o tym prasę.

- I pan podejrzewa, że to miało coś wspólnego z życiem intymnym Cornwalla?

- Musiało mieć. Bo o cóż innego by chodziło?

- Cornwall panu nie powiedział?

- Nie. A ja nie pytałem.

- Czy ten klub miała jakąś nazwę?

- Tak. Carduus. Valentine zmarszczył brwi.

- To po łacinie „oseł”.

- Wiem - odparł Taschen. - Dziwna nazwa na gejowski klub. Bardziej pasuje do jakiegoś bractwa.

- Czy opowiadał coś więcej o tym klubie?

- Ani słowa. - Taschen pokręcił głową. - Kompletnie nic.

Gdzieś w głębi mieszkania zadzwonił telefon. Taschen dopił drinka, odstawił szklanekę na stolik, wstał i wyszedł niespiesznie z pokoju. Dzwonienie ustało i Valentine usłyszał ściszy głos rozmawiającego z kimś

gospodarza. Podniósł się z kanapy, by przyjrzeć się z bliska obrazowi Schnabla. Przedstawiał Etiopczyka na tle gór, z czaszką z boku. Dolną połowę obrazu wypełniały skorupy potłuczonych naczyń. Nigdy nie przepadał za Schnablem i ten obraz nie zmienił jego opinii. Skorupy naczyń zawsze kojarzyły mu się z Grekiem Zorba. Artysta zyskał jednak uznanie dzięki tym idiotycznym skorupom. Niejasność jako sztuka. Odwrócił się, słysząc, że Taschen wchodzi do salonu.

- To był Peter Newman.

- Tak?

- Wiedział, że pan tu będzie, i pomyślał, że powinien pan wiedzieć.

Właśnie usłyszał o tym w wiadomościach.

- O czym?

Taschen odetchnął głęboko.

- George Gatty został zamordowany. Ktoś przebił go nazistowską szpadą ceremonialną.

Porucznik Vincent Delaney z wydziału do zadań specjalnych stał pośrodku salonu w domu pułkownika George'a Gattyego, patrząc na leżące na brązowej skórzanej kanapie ciało nadziane na rożen jak kawał mięsa. Ktokolwiek zrobił to temu brzydkiemu starcowi, przeszedł samego siebie. Według lekarza sądowego Bandara Singha, pięćdziesięcioośmiocentymetrowe stalowe ostrze przebiło gardło mężczyzny, a koniec szpady utknął w kroczu, gdzieś między obwisłymi jądrami a pomarszczonym tyłkiem. Putkin, technik kryminalny, stwierdził, że to wyjaśnia unoszący się smród. Na drodze ostrej jak brzytwa szpady znalazła się większość głównych organów wewnętrznych, w tym ściany żołądka i jelita. Po swastyce między szponami srebrnego orła na rękojeści domyślili się, że jest to broń nazistowska. Gatty został zamordowany w szlafroku i każdy centymetr jego pomarszczonego ciała widać było jak na dłoni. Błyskały flesze Putkina i jego grupy techników, dokumentujących miejsce zbrodni. Pieprzona hollywoodzka premiera zmarłego.

Billy Boyd podszedł kołyszącym się krokiem do Delaneya z notatnikiem w tłustej ręce.

- Rozumiem, że to morderstwo pasuje do pozostałych?

- I do telefonu, który dostaliśmy z Alabamy. - Delaney pokręcił głową - Nawet nie wiedziałem, że Alabama leży nad morzem.

- Ja też nie - odparł Boyd. - Myślałem, że leży w głębi lądu.

- Nie ma to oczywiście związku z zamordowanym.

- Tym tutaj?

- Tym w Alabamie.

- Ale coś jednak musi łączyć te morderstwa, nie? - Boyd nie wyglądał na przekonanego.

- Gościowi z muzeum wbijają nóż w gardło, facet z Alabamy, który jest kolekcjonerem dzieł sztuki, zostaje zadźgany butelką po Absolutie, a tego tu pułkownika załatwia jakiś nazistowski Vlad Palownik. Szansa na to, by coś łączyło ze sobą te morderstwa, jest minimalna.

- Kto to jest Vlad Palownik*?

- To gość z zawodowego wrestlingu - odparł z westchnieniem Delaney. - Idź, pogadaj z Singhem i dowiedz się o przybliżony czas zgonu, dobrze?

- Jasne, szefie.

Tak naprawdę porucznik nie potrzebował tej informacji. Sądząc po stroju nieboszczyka, można się było domyślić, że leżał już w łóżku lub właśnie kładł się spać, a więc zgon musiał nastąpić w nocy. Lokaj zmarłego, Bertram Throens, mieszkał w suterenie z żoną, kucharką pułkownika, ale żadne z nich nie słyszało nic niepokojącego.

Tak jak w wypadku Crawleya, dyrektora muzeum Parker-Hale, zapowiadało się wielu podejrzanych. Tam było ich prawie pięciuset, bo na parterze budynku odbywało się przyjęcie. Wszystko wskazywało na to, że nocny gość pułkownika przyszedł z zamiarem sprzedania szpady, którą potem go zabił. W hallu znaleźli skórzany futerał, wyściełany w środku jedwabiem. Delaney wiedział o Niemcach tyle samo co o Celtach, lecz nazwiska Rommla i Adolfa Hitlera same przyszły mu do głowy. Można

się było domyślić, że w tej sprawie chodzi o naprawdę duże pieniądze i udział w nich pułkownika. Sądząc po wystroju wnętrza, Gatty był poważnym kolekcjonerem, może więc przyjmowanie ludzi w szlafroku późną nocą nie było niczym dziwnym. Rozmowa ze szwajcarskim lokajem też to potwierdzała: pułkownik często miewał nocą gości.

* Vlad Palownik to wojewoda wołoski z XV wieku, energicznie broniący swojego kraju przeciwko najazdom tureckim, [przyp. red.].

Delaney westchnął i starał się nie oddychać zbyt głęboko, gdy chłopcy z kostnicy przełożyli ciało na nosze. Pytanie, które wciąż go nurtowało, to jaki związek z tymi sprawami miała piękna rudowłosa dziewczyna. To zaś prowadziło do następnego pytania: co się stało z Fioną Ryan i gdzie teraz była?

Zaczęli zwijać obóz, gdy noc powoli bladła. Księżyc już dawno zaszedł i napływające od północy poszarpane chmury przesłaniały gasnące światło gwiazd. Większość członków oddziału, z wyjątkiem Reida i sierżanta, pochodziła z miasta i bała się ciemności. Ta aksamitna noc była jak nie z tego świata: zbyt bliska śmierci, która gdzieś tam tkwiła w zakamarkach myśli każdego z nich, towarzysząc im w każdym momencie i każdego dnia.

Cicho szli przez las, trzymając się ścieżek. Przystanęli na małej polanie, gdzie ścieżki się rozchodziły. Tu rozdzielili się na dwie grupy. Winetka, Bosnic, Biearsto i Terhune, wyposażeni w bazookę i moździerz 50 mm, ruszyli dróżką południową, prowadzącą do drogi przy wieży snajpera. Pozostali, z sierżantem i oficerami od dzieł sztuki, skierowali się w stronę spalonego czołgu na szczycie wzniesienia.

Plan, który sierżant przedstawił Cornwallowi, był bardzo prosty. Ich mały oddział został utworzony z pozostałości drugiego batalionu komandosów po lądowaniu w Normandii. Odziedziczyli wiele wartościowego sprzętu. Tak więc Terhune i Biearsto mieli zdjąć snajpera z wieży za pomocą bazooki, a Winetka i Bośnie moździerzem skierować ogień osłony na główne wejście. Po usłyszeniu pierwszych strzałów z bazooki sierżant otwiera ogień z dwóch karabinów maszynowych kaliber 7,92 mm, ułatwiając przejście grupie złożonej z Pattersona, Dorma, Teitelbauma i Pixie'ego Mortimera, dowodzonej przez Reida i wspomaganą przez trzech oficerów. Gdyby zaszła taka konieczność, gdyby musieli się wyco-

fać, w co jednak sierżant wątpił, mogliby również zastosować ogień zapo-
rowy Uzupełniając bazookę i moździerz, Teitelbaum i Dorm mieli wystąpić
w roli strzelca i amunicyjnego przy karabinie automatycznym Browninga.
Pozostali nieśli ciężki sprzęt, w tym parę thompsonów, lekki karabin ma-
szynowy Johnsona, pistolet maszynowy M3 zwany powszechnie smarow-
nicą i ulubioną broń Pattersona: pepeszę, siedemdziesięciojednostrzałowy
radziecki karabin maszynowy Broni mieli znacznie więcej niż Szwaby na
farmie.

Sierżant poprowadził swoją grupę na północ, przez pas rzednących
drzew; zatrzymał się, gdy zobaczył rów. Wziął ponownie ze sobą Reida i
przekradli się do starego czołgu, aby dokonać ostatecznego rozpoznania
farmy Świt dopiero wstawał. Na wschodzie niebo ledwie zaczęło się roz-
jaśniać. Dom na farmie i otaczające go budynki gospodarcze tonęły w
ciemności. Patrząc przez lornetkę na wieżę klasztoru, nie dostrzegł nawet
błysku z pozycji snajpera. Ocenił odległość dzielącą go od wieży. Do-
brych pięć boisk futbolowych, ale to pestka dla dobrego strzelca. Obliczył,
że dotarcie do muru farmy zajmie jego grupie jakieś dwie minuty. Nie
mieliby jednak żadnej osłony poza kilkoma zagłębieniami terenu i jednym
wielkim głazem. Jezu, snajper bez trudu mógłby ich powystrzelać jak
kaczki!

- Tylko zdejmij mi tego sukinsyna - mruknął.

- Pan coś mówił, sierżancie? - zapytał Reid.

- Nie. Co z Cornwalllem i jego chłopakami?

- Są wystarczająco cwani, by trzymać się z tyłu, dopóki nie otwo-

rzymy im przejścia.

- Dobrze. Zejdźcie do muru zajmie nam dwie minuty. Widzisz ten głąz?

- Tak.

- Pilnuj, by wszyscy trzymali się lewej strony przy schodzeniu na dół.

Nie będę prowadził ostrzału z czołgu dalej niż do tego miejsca.

- Zrozumiałem.

- Przerwę ogień, gdy dotrzecie do muru. Rozwalcie go tymi tłuczka-
mi do kartofli, które zabrałeś kilka dni temu Jerry'emu. Zróbcie otwór.

- Zajmujemy farmę?

- Dopiero jak Terhune i inni ich zmiękczą i jak się upewnisz, że snaj-
per jest unieszkodliwiony On tu jest najważniejszy. Jeżeli uda mu się wy-
dostać z wieży i znaleźć jakieś inne stanowisko, jesteśmy załatwieni. Ro-
zumiesz?

- Tak jest.

- Dobra. Idę załadować taśmy do karabinów Dokładnie o szóstej, to
znaczy za dziesięć minut, powinniśmy usłyszeć ogień Terhunea i Winetki.
Kiedy wyślesz Teitelbauma i Dorma na stanowisko z browningiem, niech
wykorzystają jedno z zagłębień. Dalej Paterson ze swoją ruską zabawką,
potem ty i reszta. Oficerowie nadal mają swoje thompsony?

- Cornwall ma świetną broń.

- Prawdopodobnie sprzątnie was wszystkich, gdy tylko pierwszy raz
wystrzeli. Chryste, kto wpadł na pomysł, żeby dać broń oficerom?

- Nie ja.

- Ruszaj.

- Tak jest.

Reid rozplynął się w ciemności, a sierżant przekradł się do otwartego wylazu porzuconego niemieckiego czołgu i wślizgnął się do środka. Starając się zachowywać jak najciszej, zaczął ładować długie taśmy z amunicją do karabinów maszynowych. Końcówki naboju oznaczono różnymi kolorami, były tu więc prawdopodobnie pociski świetlne, przeciwpancerne i zapalające, podobnie jak w ich amerykańskich odpowiednikach, lecz nie miał pojęcia, który jest który. Załadowanie karabinów taśmami po dwieście pięćdziesiąt naboju każda zajęło mu mniej niż dwie minuty. Wyjrzał na zewnątrz, przez rozjaśniający się otwór w wieżyczce. Zerknął na zegarek. Całe to piekło miało się rozpętać za jakieś pięć minut. Uśmiechnął się. Już nie mógł się doczekać.

Michael Valentine starannie obejrzał wszystkie pomieszczenia swojego mieszkania na górnym piętrze Ex Librisu. Każde wywrócono do góry nogami, otwarto każdą szufladę, przeszukano każdą szafkę. Włamywacz przeszedł kanałem wentylacyjnym i dostał się do środka przez małe niezabezpieczone okienko w łazience. Idąc za Valentine'em, Finn Ryan z przerażeniem przyglądała się spustoszeniu. Gospodarz zakończył oględziny w kuchni. Usiadł przy stole z żółtym blatem z formiki.

- Co zrobiłaś, gdy usłyszałaś brzęk tłuczonego szkła?

- Pomyślałam, że trzeba to sprawdzić.

- A potem znowu pomyślałaś - uśmiechnął się Valentine.

- To nie było tak jak na filmach. Dziewczyna wychodzi na ciemny

pomost w poszukiwaniu chłopaka i nagle z wody wyłania się ręka i chwytta ją za kostkę. Nie jestem taka głupia.

- Ale to się działo naprawdę. - Kiedy Peter...

- Usłyszałaś brzęk tłuczonego szkła i... – podsunął Michael.

- Odwróciłam się, wsiadłam do windy, poszłam do gabinetu i zatelefonowałam pod ten numer komórki, który mi dałeś.

- A więc on nie był w gabinecie, nie dostał się do komputera?

- Nie. Byłam tam przez cały dzień.

- Wygląda na to, że narobił mnóstwo szkód, ale takich, które da się naprawić.

- A jeżeli wróci?

- Nie sądzę. Gdyby naprawdę czegoś szukał, zszedłby na dół do gabi-

netu.

- Chciał nas przestraszyć? - zapytała Finn.

- Na to wygląda.

- Dlaczego?

- Doszliśmy zbyt blisko czegoś. Sporo się naszukaliśmy i rozdzwoniły się dzwonki alarmowe.

- Dowiedziałeś się czegoś od tego znajomego marszanda?

- Mnóstwo - odparł Valentine i opowiedział jej o tym, co usłyszał od Petera Newmana i o wizycie u Erika Taschena. Ona zaś zdała mu relację z tego, co znalazła w komputerze.

- Więc co to wszystko znaczy?

- Chodzi tu o kilka spraw Morderstwa Crawleya i Gattyego mają ze sobą jakiś związek, i tego trzeciego faceta, o którym ci mówiłem. Nazywał się chyba Kressman. Powiedział mi o nim znajomy z policji w Plaza. Jak dotąd nie ma żadnego dowodu, ale wygląda na to, że wszyscy trzej byli związani jakąś umową i wypuszczali na rynek kradzione i zrabowane przez Niemców dzieła sztuki. Nie sądzę, żeby te trzy morderstwa miały jakiś związek z tobą. Ta cała sprawa z rysunkiem Michała Anioła to tylko niefortunny zbieg okoliczności. Myślę, że Crawley i tak by zginął.

- Peter to nie był niefortunny zbieg okoliczności.

- Nie, co oznacza, że jeden ze współników Crawleya zaniepokoił się tym, co odkryłaś. Ten ktoś wynajął zabójcę Petera i tego Wietnamczyka z gangu na rowerze kurierskim.

- Więc jest dwóch zabójców?

- Tak. Jeden chce ciebie i ten rysunek wymazać z powierzchni ziemi.

Drugiego interesuje grupa, do której należeli Gatty, Crawley i ten Kressman. Tak zwany krąg, o którym wspominali Newman i Erie Taschen.

- Musieli mieć coś wspólnego ze sobą.

- Tak. Prawdopodobnie tym łącznikiem jest sztuka.

- Handel kradzionymi obrazami?

- Z tego, co opowiedziałaś mi o historii Akademii Greyfriars, to musi sięgać głębiej. Ten klub Carduus to jakieś tajne stowarzyszenie, jak Czaszka i Piszczele na Uniwersytecie Yale, tylko mniej rzucające się w oczy.

- Według zebranych przeze mnie informacji, zniknęli w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku czy coś koło tego.

- Podobnie jak Czaszka i Piszczele, tylko że wcale nie zniknęli; po prostu zmienili nazwę. Jeśli zaś chodzi o tę twoją spółkę powierniczą, to została zarejestrowana w Delaware, bo oni mają najmniej restrykcyjne zasady rejestracji firm na świecie. Dlatego CIA tam właśnie rejestruje swoje przedsiębiorstwa holdingowe, jak na przykład Air America.

- Chyba nie myślisz, że to jest jakaś afera szpiegowska?

Popatrzyła na niego z uwagą, starając się nie myśleć o tym, kim on naprawdę jest i co go łączyło z jej ojcem. Może później przyjdzie na to czas, ale nie teraz. Twarz Valentine'a pociemniała.

- Nie. Ale to coś wielkiego. Człowiek, którego niedawno zamordowano w Alabamie, obracał setkami milionów dolarów. - Wzruszył ramionami. - Nie jest trudno dojść do dużych pieniędzy, gdy handluje się Mi-

chałami Aniołami.

- Więc co teraz zrobimy? Detektyw Delaney musiał się już domyślić, że nie miałam nic wspólnego ze śmiercią Petera. Może pójdziemy na policję.

- Tu nie chodzi tylko o twojego przyjaciela. Również o Crawleya, Gatty'ego i Kressmana. Cztery morderstwa w tak krótkim czasie i kradzione obrazy warte miliony dolarów. To wystarczający motyw, by zamknąć cię w więzieniu na dłuższy czas. Wystarczający motyw, by cię zabić. Przypadkowo odkryłaś spisek, w którym uczestniczą ludzie z samej góry; ludzie, którzy mają coś do ukrycia i możliwości, by zapewnić sobie anonimowość. Dopóki nie dowiemy się, kim oni są i jak daleko sięga ten spisek, trzymajmy się z daleka od policji.

- To wszystko nie ma sensu. Z tego, co przeczytałam, wynika, że ci ludzie już wcześniej byli bogaci. Po co im więcej?

- Nie sądzę, by miało to coś wspólnego z pieniędzmi.

- Więc z czym?

- Z władzą. Mam setki tomów na regałach pod nami o różnych grupach, poczynając od templariuszy i tak zwanych iluminatów aż po lożę masońską Shrinersów. Tam nigdy nie chodziło o pieniądze, lecz o władzę i o to, jak ją utrzymać. Dobra, stara jankeska ksenofobia. Ludzie boją się zmian i próbują je powstrzymać, tworząc związki. Chińczycy przez tysiąc lat próbowali odgradzić się od reszty świata, lecz nawet oni musieli wprowadzić zmiany

- Nie pierwszy raz masz do czynienia z tego typu sprawą? - zapytała

Finn.

- Wszyscy się z tym stykamy Przez cały czas - odpowiedział Valentine. - Walka między starym i nowym trwa od zarania dziejów. To tylko jej kolejna wersja.

- Na tej liście członków zarządu było mnóstwo nazwisk. Zdążyłam prześledzić zaledwie kilka. Jak się dowiemy, który jest następny na liście naszych zabójców?

- Nie ma na to sposobu. Nie wiemy nawet, czy były tylko trzy ofiary morderstw: Crawley, Gatty i Kressman. Peter Newman sądzi, że szef Crawleya, James Cornwall, zmarł śmiercią naturalną. Może się myli.

Finn położyła dłoń na ręku Valentine'a i mocno ją ścisnęła.

- Dobrze, powtarzam więc: co teraz?

- Pokopimy trochę głębiej. Musimy się dowiedzieć, o jaką stawkę gramy i kim są gracze. - Urwał. - Musimy odwiedzić mojego przyjaciela hakera.

- Hakera?

- Komputerowego wariata. Nazywa się Barrie Kornitzer. Kiedyś chodziliśmy razem do szkoły.

Patrzył na małe figurki wśród drzew, naszkicowane, pociągnięte tuszem i pokolorowane tak dokładnie jak miniaturowe słupki wyznaczające pewną wybraną z przeszłości i utrwaloną na papierze chwilę. Byli tu żywi i bezpieczni, nie wiedząc, że wkrótce niektórzy z nich będą martwi, wymazani z życia z równą starannością, jak kiedyś zostali do niego powołani. Patrzył na nich i na pokrytą krwią stronę i nagle znalazł się w innym świecie, który tak naprawdę nigdy nie istniał, a gdyby zaistniał, to w czasie, którego już dawno nie było.

Atak zaczął się o szóstej. Świt wyglądał jak delikatna, purpurowa linia, a ludzie poruszali się jak ciemne, niematerialne duchy wylaniające się z mgły wstającej nad mokrymi od rosy polami. Patrząc przez otwór celowniczy uszkodzonego czołgu, sierżant zobaczył rozkwitający krąg pierwszego strzału z bazooki i kilka sekund później usłyszał głuchy odgłos padającego pocisku. Prawie natychmiast powietrze wypełniły najróżniejsze dźwięki. Pierwszy strzał z bazooki zniszczył dużą część wieży klasztornej, lecz nie uciszył snajpera. Wciąż rozbrzmiewał głuchy dźwięk karabinu dalekiego zasięgu, poszukującego celu wśród drzew po przeciwnej stronie drogi. Bazooka znów dała o sobie znać, niszcząc górną część wieży i rozrzucając na wszystkie strony kamienie i dachówki. Budowla musiała być pierwotnie zbudowana z drewna, suchego teraz niczym hubka. Chwilę po drugim strzale zmieniła się w płonąca pochodnię. Tyle zostało ze snajpera.

Po drugim strzale z bazooki rozległo się rytmiczne dudnienie moździerza-

rza bombardującego półkilogramowymi pociskami bramę gospodarstwa. Sierżant pokręcił korbami na obu karabinach maszynowych, wycelował w ledwie widoczny dach spichlerza oraz dom i zaczął strzelać. Gorące łuski sypały mu się wokół kostek, w miarę jak opróżniały się taśmy. Co kilka sekund przerywał, zmieniał położenie karabinów i znowu strzelał, obserwując jednocześnie poczynania pięcioosobowej grupy Reida, która rozproszyła się, by otoczyć gospodarstwo.

Przy pierwszym strzale z bazooki Terhunea Reid i Pixie Mortimer wyslizgnęli się z lasu i przecięli ciemny pas drogi. Z rowu udało im się dotrzeć do dużego głazu w połowie stromego pola. Pozostała trójka, Patterson, Dorm i Teitelbaum, podążyli za nimi, kryjąc się w pierwszym płytkim zagłębieniu, które wyglądało jak pozostałość po dawnym rowie odwadniającym albo starym, wyłożonym płytkami zbiorniku na nieczystości.

Nie pierwszy raz zaskoczyło sierżanta, ile towaru musi taszczyć ze sobą zwykły żołnierz piechoty. Na przykład Teitelbaum, strzelec obsługujący karabin maszynowy Browninga, niósł broń, nosidło, zestaw do czyszczenia, dwanaście magazynków po dwadzieścia nabojów każdy w parciastym pasie, saperkę, granat odłamkowy, toporek, broń przy pasie, regulaminowe buty, mundur oraz rzeczy osobiste, co ważyło dokładnie czterdzieści kilogramów. Nawet taki delikatny oficerek jak Cornwall niósł to samo co każdy trep, a do tego torby z amunicją, magazynki, lornetkę, mapnik i wszystko, co było potrzebne do wykonania misji. Dodatkowo Cornwall i jego kumple artyści nieśli pistolety maszynowe Thompsona i

potrzebne do nich przybory. Dziwne, że w ogóle mogli się jeszcze ruszać.

Teitelbaum i Dorm ustawili browninga na brzegu rowu, a Paterson osłaniał ich ogniem z pepeszy. Jak dotąd na podwórzu przed domem panował niewielki ruch, kiedy jednak wieża klasztoru stanęła w płomieniach, z domu i budynków gospodarczych odpowiedziano ogniem. Przerwał, aby posłuchać kanonady. Rozpoznał jedynie ogień karabinowy i rozproszone strzały z jakichś lekkich pistoletów maszynowych, prawdopodobnie MP43 lub większych - M34. Z Terhuneem i innymi strzelającymi od frontu wydawało się, że bez trudu opanują farmę, chyba że Szwaby miały jakąś ukrytą broń w ciężarówkach.

Korzystając z ognia osłonowego z browninga, Reid i Mortimer wyszli zza głazu. Z górnego piętra domu padła seria strzałów i nagle Pixie padł na ziemię, jakby potknął się o drut, z rozerwaną klatką piersiową. Kolejna seria, wystrzelona nie wiadomo skąd, zniszczyła mu połowę czoła i większość mózgu. Reid nie zatrzymał się nawet na sekundę. Kiedy Mortimer upadł, Indianin rzucił się na trawę i sturlał pod stary, zniszczony mur gospodarstwa. Pociski z browninga omiotły piętro domu i sierżant zobaczył, jak Reid wyciąga podobną do pudełka rosyjską minę M28 i rozbija uzbrajający bezpiecznik, a następnie ucieka w lewo, wzdłuż muru, starając się oddalić na maksymalną odległość od ładunku wybuchowego. Nastąpiła eksplozja i podmuch brudnego, brązowego dymu i kamieni z rozpadającej się muru, po czym ukazał się otwór wielkości drzwi do stodoły. Sierżant zakręcił korbkami karabinów maszynowych i patrzył, jak opada dym. Przez wyrwę w murze zobaczył podwórze z nieuszkodzonymi

ciężarówkami, stojącymi w cieniu stodoły i zimowej obory dla krów. Z prawej strony obory była wozownia, z której ktoś strzelał. Trzech, może czterech ludzi w mundurach Wehrmachtu przebiegło przez brukowany dziedziniec, próbując schronić się w domu. Zagadał browning i rosyjska pepesza; Niemcy padli, jakby ktoś kosą przejechał przez zboże. Gdzieś bliżej odezwała się bazooka i rozległ się trzask moździerza, wyrzucającego pociski w kierunku dachu obory i wozowni. Dźwięk pękających belek, wybuchającego ognia i pękającego szkła dołączył do ogólnego grzmotu. Sierżant poczuł, że płoną mu policzki, gdy rozciągnął usta w złowieszczym uśmiechu. Zaczekał, aż lufy karabinów przestygną trochę i spojrzał na fosforyzującą tarczę służbowego zegarka Grana, który zdjął z ręki zabitego Szwaba w dniu lądowania aliantów w Normandii, w mieście Courseulles-sur-Mer. Nie było nawet pięć po szóstej. Cała akcja trwała niespełna cztery minuty. Kiedy odgłosy walki umilkły, usłyszał westchnienie w gałęziach drzew z lewej strony. Moździerz wystrzelił po raz ostatni i coś zagrzechotało w głębi starego czołgu. W oddali zabrzmiał czyjś płacz. Walka dobiegła końca. Sierżant podciągnął się, usiadł na brzegu wieżyczki i zapalił papierosa. Przez chwilę panowała cisza, a potem mężczyzna w czarnym mundurze SS wyszedł przez wyrwę w murze, trzymając w ręku skrawek białej szmaty umocowanej do patyka. Zawahał się, po czym ruszył przed siebie. Cornwall i Taggart, wysoki, szczupły oficer pełniący funkcję zastępcy dowódcy, wyszli zza głazu i ruszyli w dół zbocza w kierunku Niemca. Sierżant rozważał coś w myślach przez moment, po czym wyskoczył z czołgu i pierwszy podszedł do esesmana z auto-

matycznym coltem w ręku. Niemiec był niski, blady i nosił okulary w metalowej oprawie. Na policzku miał smugę popiołu. Kabura przy pasie była odpięta i pusta. Na kołnierzu widniały naszywki z dębowym liściem i trzy zielone paski pułkownika. Wyglądał jednak bardziej na urzędnika bankowego.

- Mówi pan po angielsku?

- Tak.

- Co jest w ciężarówkach?

- Obrazy. Cenne dzieła sztuki.

- Kim pan jest?

- Nazywam się doktor Eduard Ploetzsch. Jestem kustoszem.

- Nie.

- Słucham?

- Jesteś nikim. Jesteś martwy.

Uniósł colta i bez żadnego powodu strzelił mu w twarz.

Falszywy ksiądz siedział w zakurzonej piwnicy kościoła Świętego Józefa w Greenwich Village, przeglądając dokumenty przyniesione mu przez wolontariuszkę o twarzy obleczonej w wyraz udręki, jakby dźwigała na swoich barkach ciężar całego świata. Była w średnim wieku, od wielu godzin przeszukiwała stare akta i przy każdej obwiązanej sznurkiem porcji pożółkłych teczek wzdychała w innej tonacji. To nie był niepotwierdzony mglisty trop, stworzony przez ulotną podróż po bazach danych umieszczonych na serwerach tysięcy wyszukiwarek. To kawał prawdziwej historii spisanej atramentem na papierze tak starym, że mógłby rozsypać się w dłoni. Przeglądając dokumenty, ksiądz niemal czuł duchy tysięcy urzędników takich jak ta pomagająca mu kobieta, słyszał echo stukających maszyn do pisania i ciche, niestrudzone skrzypienie stalówek sunących po papierze. Może był to nużący proces, lecz w końcu udało mu się natrafić na ślad Frederika Botte, prowadzący przez lata dorastania.

Dziecko, kimkolwiek było i jakiegokolwiek zainteresowanie wzbudzało w karmazynowych kapeluszach ze Świętego Miasta, przybyło do Nowego Jorku jedenastego czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku na pokładzie transatlantyku „Batory” należącego do Linii Żeglugowych Gdynia - Ameryka, płynącego z polskiego miasta Gdańsk*.

* W rzeczywistości „Batory” nie mógł odbyć takiego rejsu - dopiero w 1947 roku wrócił z Antwerpii do Gdyni i stąd wyruszył w pierwszą podróż liniową do Nowego Jorku [przyp. red.].

Zachował się formularz władz imigracyjnych z Ellis Island, informują-

cy, że Frederico ma siedem lat i podróżuje z opiekunką, Fraulein Ilse Kurovsky, Niemką z pochodzenia. Jako miejsce urodzenia podano La Grazie we Włoszech, gdzie przebywał pod opieką sióstr z klasztoru San Giovanni AirOrfenio. Rubryka z danymi na temat matki była pusta, jedynie na marginesie widniało napisane wyblakłym atramentem nazwisko „Katerina Annunzio”. Chociaż nie zostało to stwierdzone, fałszywy ksiądz mógł wyczytać między wierszami, że Frederico był nieślubnym dzieckiem, wychowywanym przez siostry w klasztorze, a potem oddanym pod opiekę Niemki z polskim nazwiskiem.

Po przyjeździe do Ameryki chłopca umieszczono na dwa lata w sierocińcu Świętego Łukasza, a następnie przeniesiono do szkoły Świętego Józefa w Greenwich Village, gdzie został zapisany jako uczeń pobierający stypendium. Świadectwa szkolne były jednostajnie doskonałe, zwłaszcza z przedmiotów humanistycznych i języków. Można było przypuszczać, że po ukończeniu szkoły wstąpi do jednego z miejscowych seminariów, gdzie będzie kształcony do stanu duchownego. Tymczasem jego związki z parafią skończyły się w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim roku, kiedy to został adoptowany przez sierżanta Briana Thorpe'a i jego żonę, zamieszkałych przy Barrow Street w Hoboken, w stanie New Jersey. Interesujące było to, że adwokaci, którzy przygotowali dokumenty adopcyjne, pracowali w kancelarii Topping, Halliwell & Whiting, tej samej upiornej firmie z nieistniejącymi ludźmi, która założyła tajemniczą Fundację Grangea. Interesujące, choć może jedynie przypadkowe, było również to, że jej siedziba znajdowała się na St. Luke's Place. Tak samo nazywał się

sierociniec, w którym mieszkał Frederico Botte, teraz prawdopodobnie poczciwy, stary Fred Thorpe.

Fałszywy ksiądz poczuł znajomy ucisk w piersi. Krąg się zamykał.

Doszedł prawie do końca. Kobieta przyniosła kolejne akta. Człowiek z Rzymu zaprezentował swój najlepszy księżowski uśmiech i zapytał, czy ma gdzieś książkę telefoniczną Nowego Jorku.

- Jaka dzielnica? - zapytała wolontariuszka i ponownie westchnęła.

Biuro Barrie'ego Kornitzera na Uniwersytecie Columbia mieściło się w ponurym budynku, pochodzącym z lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku, schowanym za biblioteką Low Memoriał. Jak na uniwersyteckie standardy było bogato urządzone, z wbudowanymi w ściany dębowymi regałami, perskimi dywanami i kilkoma obrazami we wczesnym stylu kolonialnym, wśród których znalazła się jedna z wersji Patrząc na wschód z Denny Hill Ralpa Earla, martwa natura Charlesa V Bonda oraz pejzaż wiejski Edwarda Hicksa. W gabinecie stało biurko palisandrowe w stylu Wilhelma Czwartego, z rzędem szuflad po obu stronach i blatem wyłożonym czarną skórą. Mówiono, że biurko należało niegdyś do piątego rektora uniwersytetu, Benjamina Moore'a, i że pożyczono je Kornitzerowi, ponieważ uniwersytet się go bał. Kornitzer uchodził za najwyższy autorytet w świecie hakerów komputerowych, miał patenty i licencje na najlepsze programy szyfrujące. Był także cichym doradcą kilku prezydentów Stanów Zjednoczonych i Billa Gatesa. Ponadto chodził do liceum z Michałem Valentine'em i był jego wieloletnim przyjacielem.

Po ukończeniu liceum ich drogi się rozeszły. Kornitzer przez kilka lat jeździł autostopem po Ameryce i Europie, uczył angielskiego irańskich lotników, pasał owce w Szkocji, a potem zamieszkał w Seattle, gdzie pracował przez jakiś czas w sklepie z komiksami. Następnie wyjechał do Stanford, by sprzedać swoją kolekcję komiksów, w tym pierwszy numer Supermana, i opłacić chesne. Przez większość czasu mieszkał w samochodzie na jednym z parkingów uczelni. Otrzymał dyplom z filologii kla-

sycznej, odrzucił kilka prestiżowych ofert, w tym także posadę wykładowcy w Oksfordzie, po czym wrócił do nauki. Kilka lat później skończył prawo i zdał egzaminy na adwokata w Kalifornii, chociaż nigdy nie praktykował. W połowie lat siedemdziesiątych dołączył do zespołu Lakeside Programming Billa Gatesa w Seattle, pomagając raczkującej firmie Microsoft. Ostatecznie rozstał się z nią i zajął się własnymi interesami, w tym włą-
mywaniem się do wszystkich ważniejszych baz danych na świecie.

Przed więzieniem w połowie lat dziewięćdziesiątych uratował go stary przyjaciel Michael. W końcu Kornitzer wylądował na Uniwersytecie Columbia, gdzie otrzymał legalną posadę. Podobnie jak wielu pierwszych hakerów, zalegalizował swoją działalność, udzielając konsultacji tym samym firmom, na których niegdyś żerował, w tym AT&T, FBI, CIA, Chase Bank, Bank of America i jego ulubionej Wal-Mart. Według Kornitzera, Wal-Mart była najniebezpieczniejszą firmą na świecie, której celem, zgodnie z ideą jej założyciela, Sama Waltona, było opanowanie świata poprzez handel detaliczny.

W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim roku Wal-Mart, nowatorski jak zwykle, wydał olbrzymią sumę pieniędzy na prywatny system satelitarny, pozwalający śledzić położenie samochodów dostawczych, szybkość operacji dokonywanych za pomocą kart kredytowych, a także transmitować sygnały audio i wideo oraz dane handlowe. Do tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku firma stała się największym nabywcą produktów przemysłowych w Ameryce, a w dwutysięcznym drugim roku rozszerzyła działalność na Chiny, zanim ChRL zaczęła handlować z USA.

Kornitzer twierdził, że Sam Walton zainspirował Stevena Spielberga do stworzenia telewizyjnego serialu rysunkowego Pinky i Brain . Wielu ludzi uważało, że Barrie Kornitzer jest niespełna rozumu. Z drugiej strony również wielu było zdania, że Barrie jest całkowicie zdrowy na umyśle, a co więcej, jest socjoekonomicznym i technicznym wizjonerem.

Kornitzer był bogaty, łysy i gruby, a niekiedy nawet tłusty. Nosił brązowe, sztruksowe garnitury i krawaty w tureckie wzory. Jedyńm komputerem w jego biurze był skromny Dell, lecz połączony z komputerem Buli Nova Scalę 9000, używanym w uniwersyteckim laboratorium systemów komputerowych, mieszczącym się kilka przecznic dalej, po drugiej stronie biblioteki Low Memoriał. Buli według Kornitzera był jednym z najmocniejszych komputerów na świecie. Barrie nie ożenił się i zdaniem Michaela Valentine'a nigdy nie uprawiał seksu ani z mężczyzną, ani z kobietą, ani ze zwierzęciem, ani z warzywem czy minerałem. Michael Wiedział również, że jego przyjaciel przez ostatnie dziesięć lat odżywiał się jedynie puszkowaną fasolką w sosie pomidorowym, odmawiając zjedzenia czegoś, co choćby w najmniejszym stopniu obdarzone było zdolnością odczuwania. Mógł być rozsądny, a był niesamowitym dziwakiem.

- Jaki więc macie problem? - zapytał Kornitzer, siedząc za biurkiem i

jedną ręką gładząc klawiaturę, a drugą pocierając brew

- Wiele niezwiązanych ze sobą faktów.

- Nic ich nie łączy?

- Kilka rzeczy, lecz nie szczególnego.

- Na przykład?

Zaczął robić notatki w żółtym notesie. Finn zauważyła, że nawet gdy jedną ręką pisał, drugą wciąż pieścił klawiaturę. Zupełnie jakby jego ręka kierowała dwie istoty, jakby ktoś rozdzielił jego mózg na dwie części. Przypomniała sobie książkę, którą widziała w gabinecie matki w Columbus: Początki świadomości ludzkiej w załamaniu dwuczęściowego mózgu, pióra Juliana Jaynesa. Podobał jej się skomplikowany tytuł, lecz nigdy nie przeczytała książki. Może Kornitzer miał taki dwuczęściowy mózg? Miał twarz neandertalczyka, a mimo to był dziwnie pociągający.

- Dzieła sztuki.

- Jakież konkretne?

- Kradzione, zrabowane. W czasie drugiej wojny światowej.

- Coś jeszcze?

- Nazwiska. Ludzie. Zamordowani.

- To interesujące. Podaj mi te nazwiska.

Valentine wymienił je. Finn dodała kilka, które pominął. Kornitzer popatrzył na notes i zaczął coś bazgrać na marginesie, drugą ręką wciąż pieszcząc klawiaturę. W końcu odchylił się na skórzanym fotelu i zapatrzył na pejzaż wiszący na ścianie nad głową Finn.

- Jesteś piękna - powiedział z uśmiechem.

- Słucham? - spytała Finn.

- Jesteś piękna - powtórzył Kornitzer.

Finn wyglądała na lekko zaskoczoną. Popatrzyła na Valentine'a, lecz on nie przyszedł jej z pomocą, tylko się uśmiechał. Została więc sama.

- To nie jest wcale komplement - wyjaśnił po chwili Kornitzer. - To

stwierdzenie faktu. Chyba nie masz nic przeciwko temu? To mi pomaga w myśleniu.

- Aha.

- Nie spotykam zbyt wielu pięknych kobiet. Nie interesuje ich tego typu praca. - Urwał. - Dziwne, bo historycznie rzecz biorąc, kobiety były zawsze najlepszymi kryptologami.

- Nie wiedziałam o tym - odparła Finn.

- To prawda. - Kornitzer spojrział na Valentine'a i uśmiechnął się.

Wyglądał jak dziecko. - Ja nigdy nie kłamię, prawda, Michaelu?

- Nic o tym nie wiem.

Gruby mężczyzna zamrugał powiekami, jakby wychodził z jakiegoś transu. Potem spojrział w sufit.

- Czy coś jeszcze możecie mi powiedzieć?

- Chyba nie - odparł Valentine. - Może tylko to, że istnieją jakby dwie linie zdarzeń, dwa wektory, które nie mają ze sobą nic wspólnego. Z jednej strony jest ten klub Carduus, czy stowarzyszenie, czy cokolwiek to jest, powiązane z Akademią Greyfriars, a z drugiej kradzione obrazy.

Jeżeli spojrzysz na to od strony faktów, jedynym łącznikiem jest James Cornwall. Z tego, co się dowiedzieliśmy, można wnioskować, że umarł z przyczyn naturalnych. Kornitzer wzruszył ramionami.

- Przepuścimy to przez MAGIC i zobaczymy, co się stanie.

- MAGIC? - powtórzyła Finn.

- Multiple Arc-Generated Intelligence Comparison : wieloaspektowy inteligentny analizator korelacji - wyjaśnił Kornitzer. - To oprogramowa-

nie stworzyły firmy ubezpieczeniowe, by pomóc rzeczoznawcom i analitykom określającym stopień ryzyka. Porównuje informacje, analizuje współczynnik zgodności - zgodny, zgodny; niezgodny, niezgodny - potem zbiera wszystko razem, by dać jasny obraz sytuacji. Potrafi pokonać wiele milionów wejść w takiej wyszukiwarce jak Google i przedstawić analizę w ciągu kilku sekund. Przejście przez wszystkie wyszukiwarki, zarówno prywatne, jak i rządowe, zajmuje mu około pięciu minut.

- Rozumiem - powiedziała Finn; chociaż niczego nie rozumiała.

- Przystosowałem ten program dla Fort Meade, by mogli porównywać treści rozmów telefonicznych i częstotliwości występowania określonych zdań lub słów w określonym przedziale czasu, co jest pomocne przy wykrywaniu terrorystów.

- Jak elektroniczne sito - wtrącił Valentine.

- Coś w tym rodzaju.

Kornitzer uśmiechnął się łagodnie, po czym splótł ręce na brzuchu.

Finn zaśmiała się: wyglądał jak Pan Gąsienica z Alicji w Krainie Czarów Walta Disneya.

- To wcale nie wygląda na magię - powiedziała.

Kornitzer uśmiechnął się szeroko.

- Chciałbym, żeby więcej ludzi było podobnych do ciebie - powiedział w zadumie. - Wszyscy myślą, że komputery są zimne. Czarne i białe. Zapewniam, że tak nie jest. Może sprzęt tak, ale w oprogramowaniu czuje się rękę człowieka. Czasami można znaleźć w nim elementy fantazji.

Finn nie była pewna, ale zdawało jej się, że słyszy lekkie brzmienie brytyjskiego akcentu.

- Deus ex machina - zaśmiał się Valentine.

- Bóg z maszyny - zażartował Kornitzer.

- Obaj macie nie po kolei w głowie - stwierdziła Finn.

- Dziękuję - odpowiedział Kornitzer. - Czasami lubię, gdy docenia się moje szaleństwo. - Spojrzał na Valentine'a. -Większość ludzi boi się powiedzieć mi, że jestem kompletnym wariatem. - Oczy mu błysnęły za grubymi szklami okularów. - Myślą, że ukradnę im wszystkie pieniądze z kont lub powiem małżonkom, z kim je zdradzają.

- W swoim czasie robiłeś jedno i drugie - odparł Valentine.

- To prawda - przyznał Kornitzer - lecz nigdy nie robiłem tego złośliwie. Wszystko w imię pracy, jak mówią superbohaterowie. - Pokręcił smutno głową i popatrzył w okno z widokiem na morze budynków uniwersyteckich. - Czasami chciałbym wrócić do tamtych dni. Superman, Lois Lane, Batman i Robin. - Westchnął. - Moim ulubionym bohaterem był Zielona Strzała. Marzyłem, by zrobić własne czarodziejskie strzały, które potrafiłyby różne rzeczy, unieszkodliwiały drani. Nie pamiętam, jak on się nazywał.

- Oliver Queen - mruknął Michael Valentine. - Jego pomagier miał na imię Speedy, Szybki.

- Nie wiedziałem, że byłeś jego fanem.

- Nie jestem jego fanem. Zapomniałeś, że prowadzę księgarnię?

- Tak bym jej nie nazwał - odpowiedział Kornitzer ze śmiechem.

- To miło, że sobie wspominacie - wtrąciła Finn. - Za chwilę pewnie zaczniecie gadać o Woodstock, tymczasem mamy przyjrzeć się tym morderstwom, więc...

- Może przejdziecie się po kampusie - zaproponował Kornitzer. - Na skrzyżowaniu One Fourteenth i Broadway jest kawiarnia Starbucks. Kupcie mi cappucino, podwójną, o niskiej zawartości tłuszczu, ze słodzikiem. Powinienem mieć coś dla was za jakieś pół godziny. Tyle mi zajmie wprowadzenie danych.

- Dobrze - kiwnął głową Valentine i wstał. - Cappucino, niska zawartość tłuszczu, sztuczny słodzik, pół godziny.

- Podwójna.

- Podwójna.

- W biznesie trzeba być dokładnym.

Kornitzer uśmiechnął się do przyjaciela, po czym przeniósł wzrok na ekran i klawiaturę.

Sierżant stał w wielkiej kuchni domu na farmie. W wielkim kamiennym kominku płonął ogień, rozpraszając chłód. Atak przeżyło siedemnaście osób: dziewięciu cywili, w tym dwie kobiety i jedno dziecko. Większość Amerykanów wyszła na zewnątrz; pilnowali niemieckich jeńców, przeszukiwali budynki i zabezpieczali teren. W domu pozostali jedynie sierżant, Cornwall, Taggart i McPhail. Tylko sierżant miał broń - pistolet maszynowy, który zabrał jednemu z zabitych Szwabów znalezionych w ruinach wieży klasztornej. Cornwall sporządzał listę.

- Proszę podać swoje nazwiska i funkcje.

- Franz Ebert, dyrektor muzeum w Linzu. - Mały człowiek w okularach, ciemnym płaszczu i wojskowych butach.

- Wolfgang Kress, sztab operacyjny Rosenberga, oddział w Paryżu. - Gruby mężczyzna o rumianej twarzy, około trzydziestki, urzędnik.

- Kurt Behr, także ze sztabu operacyjnego Rosenberga.

- Anna Tomford, muzeum w Linzu - powiedziała ciemnowłosa kobieta, młoda i wystraszona.

- Hans Wirth, sztab operacyjny Rosenberga w Amsterdamie.

- Doktor Martin Zeiss, Muzeum Drezdeńskie. - Korpulentny mężczyzna z brodą, około sześćdziesiątki, blady, wyglądający na chorego, o twarzy pokrytej plamami jak stary ser. „Chodzący atak serca”, - pomyślał sierżant.

- Kim jest to dziecko? - zapytał Cornwall.

Chłopiec miał około siedmiu lub ośmiu lat. Do tej pory nie powiedział

ani słowa. Był dość wysoki jak na swój wiek; miał bardzo ciemne, prawie czarne włosy, duże, lekko migdałowe oczy, oliwkową cerę i patrycjuszowski nos, bardziej włoski niż niemiecki. Towarzysząca mu kobieta zaczęła coś mówić, lecz przerwał jej Ebert, dyrektor muzeum w Linzu.

- To sierota bez znaczenia. Fraulein Kurovsky się nim opiekuje.

- Kurovsky? Polka? - zapytał Cornwall.

Kobieta pokręciła przecząco głową.

- Nein. Südetenland, Czechy. To niedaleko Polski. Moja rodzina jest niemiecka.

- Skąd jest to dziecko?

- Znaleźliśmy je na północ od Monachium - wtrącił Ebert. - Zdecydowaliśmy się wziąć je ze sobą.

- To wielkoduszne - powiedział Cornwall.

- Nie rozumiem - odpowiedział Ebert.

- Edelmutig, hochherzig - wyjaśnił sierżant.

- Aha - kiwnął głową Ebert. Cornwall spojrzał na sierżanta.

- Jestem pod wrażeniem. Sierżant wzruszył ramionami.

- Moja babka była Niemką. Rozmawialiśmy w domu po niemiecku.

- Jestem pod wrażeniem, że w ogóle zna pan takie słowo - odpowiedział sucho Cornwall.

- Jeszcze się pan zdziwi - odparł sierżant.

- Z pewnością - odrzekł Cornwall.

- To nie było tak... wielkoduszne, jak pan powiedział - wyjaśnił

Ebert. - Po prostu trzeba było to zrobić. W przeciwnym razie umarłby z

głodu. - Spojrzał na kobietę i dziecko.

- On pewnie nie mówi po angielsku?

- On w ogóle nie mówi - odpowiedziała kobieta.

Cornwall popatrzył na stos dokumentów leżących na stole z jasnego drewna bukowego.

- Te dokumenty mają stemple Watykanu. Laissez-passer z biura papieskiego sekretarza stanu w Berlinie.

- Zgadza się - kiwnął głową Ebert.

- Wydaje się to nieco dziwne.

- Może dla pana. - Ebert wzruszył ramionami. - Nie obchodzi mnie polityka, tylko to, aby dzieła pozostające pod moją opieką były właściwie zabezpieczone.

- Te dzieła są własnością rządu niemieckiego?

- Nie. Są własnością różnych niemieckich muzeów i narodu niemieckiego.

- Sześć ciężarówek?

- Tak.

- Zmierzających do szwajcarskiej granicy?

- Tak.

- Z watykańskimi pieczęciami?

- Tak.

- Dlaczego panu nie wierzę? - zapytał Cornwall.

- Nie obchodzi mnie, czy pan mi wierzy, czy nie - odpowiedział Ebert z rozdrażnieniem. - Taka jest prawda.

- A dlaczego używacie eskorty SS? - zapytał McPhail, odzywając się po raz pierwszy.

McPhail uzyskał dyplom w Bowdoin i zanim wstąpił do Biura Służb Strategicznych i jednostki zajmującej się dziełami sztuki, pracował jako młodszy kustosz w muzeum Fogga w Bostonie. Miał się za Bóg wie kogo, a na pewno za lepszego od Cornwalla. Sierżant uważał go jednak za neptka, a na dodatek ciotę. Gość palił fajkę i gwizdał melodie z Broadwayu tak, że miało się ochotę wyc. Nie było w nim nic wielkodusznego, to pewne.

- Sądziłem, że SS ma ważniejsze sprawy na głowie niż ochranianie Volkskultur . - Ostatnie słowo wymówił, przeciągając drwiąco samogłoski.

- Być może pan nie wie, że sztab operacyjny Rosenberga jest z definicji częścią SS, nic więc dziwnego, że mamy ich eskortę - odezwał się Kress z wyraźną drwiną w głosie.

- Z proporczykami żandarmerii wojskowej? - zapytał sierżant.

- Nie wiedziałem, że bierzecie udział w tym przesłuchaniu, sierżancie

- powiedział McPhail lodowatym tonem.

- Więc proszę mu zadać to cholerne pytanie... poruczniku.

McPhail popatrzył na niego zimnym wzrokiem.

- No więc? - zapytał Cornwall Kressa, ale ten milczał.

- Co sugerujecie? - zwrócił się McPhail do sierżanta.

- Że to wszystko nie trzyma się kupy. To nie są ludzie z SS. Ci żoł-

nierze na zewnątrz noszą co prawda mundury SS, ale sprawdziłem kilka ciał i żadne z nich nie ma pod pachą tatuażu z grupą krwi. SS nie ma nic

wspólnego z żandarmerią wojskową. Ciężarówki też nie pasują. Skąd, u diabła, wytrzasnęli benzynę? Po bitwie o Ardeny został im tylko olej napędowy, i to nie za dużo. Nie znam się na sztuce, ale o Szwabach wiem sporo. Oni kłamią.

- Oddajcie broń porucznikowi McPhailowi, sierżancie - powiedział nagle Cornwall, wstając. - I wyjdźmy na papierosa.

- Tak jest.

Sierżant oddał pistolet maszynowy McPhailowi i wyszedł za Cornwallem na wczesny słoneczny poranek. Porucznik zmrużył oczy, wyciągnął z kieszeni bluzy paczkę niemieckich papierosów Jasmatis i poczęstował sierżanta. Ten pokręcił głową, po czym zapalił swojego lucky strike'a.

- Co się tu dzieje, sierżancie?

- Nie mam pojęcia, panie poruczniku.

- Jasne, że macie.

- Oni kłamią.

- Co to znaczy?

- Już mówiłem: to się nie trzyma kupy

- To znaczy?

- Chce pan znać moje zdanie?

- Tak.

- To oszuści.

- Oszuści?

- Jasne. Ciężarówki są pełne towaru, który został zrabowany. Ci fałszywcy o tym wiedzieli. Nie było żadnych dokumentów, niczego. Więc ukradli

go po raz drugi. No bo kto na nich doniesie?

- Interesujące.

- Ciężarówki są zasłoną dymną. Nie przed nami, tylko przed ich własnymi ludźmi. Jak inaczej przejechaliby przez niemieckie posterunki drogowe? Żandarmeria wojskowa i SS wciąż budzą strach wśród Szwabów.

Z nimi nie da się kombinować.

- A co z chłopcem?

- Kłamią na jego temat, to oczywiste.

- Dlaczego?

- Może jest kimś ważnym.

- A pieczęcie watykańskie?

- Pewnie sfałszowane. Albo ktoś w Rzymie rzeczywiście im pomógł.

Nie byłby to pierwszy kłusownik przyłapany na gorącym uczynku.

- Czy wy nikogo nie lubicie, sierżancie?

- To nie jest sprawa lubienia czy nielubienia, panie poruczniku. To

kwestia wiedzy. Mamy mnóstwo skradzionych dzieł sztuki na tych ciężarówkach. Szwaby nic nie wiedzą, pańscy ludzie też nic nie wiedzą, a moi gwizdaliby na to, nawet gdyby wiedzieli.

- Co sugerujecie, sierżancie?

- To, o czym pan myśli.

- Czytacie w ludzkich myślach?

- To była długa wojna. Po jakimś czasie można się nauczyć widzieć rzeczy takimi, jakimi są, i odczytywać ludzkie zamiary.

- I co pan odczytał, sierżancie?

- Że trafia się okazja w tym pieprzonym życiu... panie poruczniku.

Nie musieli długo czekać na odpowiedź. Barrie Kornitzer kciukiem starł pianę z górnej wargi i spojrzał na ekran monitora.

- Bardzo interesujące - stwierdził, mrugając powiekami.

- Nie trzymaj nas w niepewności - powiedział Valentine.

- Od czego chcielibyście zacząć?

- Najlepiej od początku.

- Zaczniemy więc od tak zwanego klubu Carduus w Akademii Greyfriars.

- Dobrze.

- Powstał w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym piątym roku, tym

samym, w którym założono szkołę. W tamtych czasach zachęcano do

tworzenia takich klubów i tajnych stowarzyszeń. Nazwa pochodzi od

ostów znajdujących się w herbie szkoły, co z kolei wskazuje na jej szkoc-

ko-kalwińskie pochodzenie. - Uśmiechnął się do Valentine'a. - Do podob-

nej szkoły i my chodziliśmy, pamiętasz?

- Doskonale.

- Carduus znaczy oset, jak w Szkocji - powiedziała Finn.

- Właśnie. Tak czy owak, członkowie klubu wzorowali się na angielskim

Orderze Podwiązki, który również ma oset w swoim godle. Tam

dwunastu rycerzy, tu dwunastu uczniów. Dwunastu członków klubu.

- Ale to potem zmieniło się w coś innego.

- Tak. Na początku dwudziestego wieku, wraz z pierwszym roczni-

kiem absolwentów, klub zmienił się w towarzystwo dobroczynne, jak

stowarzyszenie Czaszka i Piszczele w Yale. Jeżeli byłeś bankierem, pożyczasz pieniądze członkowi klubu pracującemu w nieruchomościach. Jeżeli byłeś w rządzie, wydawałeś prawa, które pozwalały innemu członkowi rozwijać interes.

- To taka wczesna forma sieci dobrych, starych przyjaciół - powiedziała Finn.

- Coś w tym rodzaju. - Kornitzer urwał. - W końcu dwunastu członków założycieli klubu kupiło szkołę, ratując ją przed bankructwem w czasach wielkiego kryzysu. Z jakichś powodów po drugiej wojnie światowej zdecydowali się zejść do podziemia, rejestrując spółkę w stanie Delaware. Wykorzystali firmę swoich prawników, aby kupić podstawioną spółkę pod nazwą McSkimming Art Trust w Chicago. Zmienili jej nazwę na Fundację Grangea, która ma biura tutaj, w Nowym Jorku, przy St. Lukes Place w Greenwich Village.

- Czym się zajmują?

- Niczym szczególnym. Nie mają żadnych prawnych pełnomocnictw.

To fundacja. Nie mają obowiązku składania sprawozdań, z wyjątkiem urzędu skarbowego. Zgodnie z ich zeznaniami podatkowymi, są organizacją charytatywną, która pomaga muzeom i galeriom w badaniach nad różnymi dziełami sztuki i artystami. W rzeczywistości są agencją artystyczną. Według MAGIC mają kilku głównych klientów, takich jak archidiecezja Nowego Jorku i muzeum Parker-Hale. Z tego, co wykrył MAGIC, wynika, że prawie każda transakcja odbywała się za pośrednictwem Hoffman Gallery, która ma swoją centralę w Bernie, w Szwajcarii.

- Jesteśmy coraz bliżej.

- Jeszcze bliżej. Wasz James Cornwall był członkiem klubu Carduus przed wojną. Podobnie Gatty i człowiek o nazwisku McPhail. Cornwall i McPhail byli oficerami G5, jednostki wchodzącej w skład OSS, Biura Służb Strategicznych. Byli specjalistami od sztuki działającymi pod koniec wojny przy wydziale do spraw pomników, sztuk pięknych i archiwów w Niemczech.

- A Gatty był łącznikiem OSS w Szwajcarii i pracował dla Dullesa.

- Robi się coraz ciekawiej. MAGIC wykrył, że w aktach OSS istnieją dowody świadczące o tym, że Gatty organizował przerzut Cornwalla i jego ludzi tak zwanym watykańskim szczyrim szlakiem. Wywiózł ich z Włoch przez port Sestri Ponente pod Genuą na pokładzie „Bacinin Padre”, dawnego amerykańskiego okrętu „Swivel”. Możecie prześledzić ich drogę aż do firmy American Mercantile przy Hudson Street.

- To robi się coraz dziwniejsze - stwierdziła Finn.

- American Mercantile splajtowało w tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym roku. Szyli ubrania robocze. Od tego czasu budynek stał pusty. Agencja nieruchomości wynajęła go na magazyn. - Uśmiechnął się. - Zapytajcie mnie, pod którym numerem na Hudson Street.

- Zaryzykuję. Pod którym numerem?

- Czterysta dwadzieścia jeden. Teraz jest tam blok z mieszkaniami własnościowymi, dokładnie naprzeciwko parku Jamesa J. Walkera. Siedmiopiętrowy, w stylu włoskim. Zbudowany w początkach dziewiętnastego wieku.

- Nie rozumiem - powiedziała Finn. - Dlaczego to takie ważne?

- Ponieważ ulica, która prowadzi do parku od strony południowej, to

St. Luke's Place, gdzie mieści się siedziba Fundacji Grangea. To nie może być przypadek - odpowiedział Valentine.

- I nie jest - dodał Kornitzer. Wcisnął jakiś klawisz i spojrzał na

ekran monitora. - Według danych z departamentu archiwów wojskowych

transport ubezpieczony przez Gatty'ego pojawił się na Hudson Street 421

i został złożony na parterze budynku, zaplombowany i trzymany pod stra-

żą przez osiemnaście dni, od dwudziestego siódmego lipca do piętnastego

sierpnia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. Szesnastego

sierpnia wartowników odwołano. Nie ma żadnych danych na temat trans-

portu po tej dacie. - Znowu urwał. - Cokolwiek Gatty przewoził dla

Cornwalla, zniknęło.

- Jak duży był ten transport?

- Dwieście dwadzieścia siedem ton. Różne skrzynie i pudła.

- Dwieście dwadzieścia siedem ton czego? - zapytała Finn.

- Informacji na ten temat brak. - Pulchny haker wzruszył ramionami.

- Akta grupy przetrzucanej watykańskim szczyrzym szlakiem mówią o

sześciu zaplombowanych ciężarówkach, podróżujących przez Szwajcarię

do Włoch, a potem wzdłuż wybrzeża do Genui. To wszystko.

- Złoty pociąg - mruknął Valentine.

- Złoty pociąg? - powtórzyła Finn.

- To jedna z nie do końca potwierdzonych historii z czasów drugiej

wojny światowej. Dwa lata temu wyszła na ten temat książka. Opowiada

o tym, że pod koniec wojny Arpad Toldi, komisarz SS do spraw Żydów na Węgrzech, pod Budapesztem załadował pociąg zrabowanymi skarbami. Dopilnował, żeby nie było żadnego spisu przedmiotów, wartych trzy lub cztery miliardy dolarów w złocie, i wysłał go do Niemiec. Transport nigdy tam nie dotarł. Wpadł w ręce armii amerykańskiej.

- Co się z nim stało? - zapytała Finn.

- Zniknął - odpowiedział Valentine. - Podobnie jak sześć ciężarówek Cornwalla. To część mitologii związanej z nazistowskimi skarbami z czasów drugiej wojny światowej. Nie ma jednak na to żadnych dowodów.

- Jest jeszcze coś - powiedział Kornitzer.

- Co takiego?

- Pamiętacie człowieka nazwiskiem Licio Gelli?

- Był zamieszany w skandal z Bankiem Watykańskim. To taki gość od czarnej roboty.

Kornitzer patrzył na ekran, gryząc koniec ołówka.

- Jego nazwisko często pojawia się w aktach watykańskich. Współpracował z Dullesem. W jakiejś operacji pod nazwą „Poza nawiasem”. W tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku pomagał nazistom wydostać się z Rzymu. Później był członkiem czegoś, co się nazywało Propaganda Due: P2. To jakaś grupa neofaszystowska w Watykanie. To by się zgadzało.

Po drugiej wojnie światowej blok sowiecki i kraje zachodnie zaczęły się prześcigać w polowaniu na hitlerowskich przestępców wojennych, pozyskiwaniu agentów i innych ludzi. Watykan, wykorzystując własne

środkami, zapewniał paszporty, pieniądze i inną pomoc, by swoimi tajnymi kanałami przetrzucać byłych nazistów i ich stronników do bezpieczniejszych miejsc, takich jak Środkowy Wschód, Wielka Brytania, Kanada, Australia, Nowa Zelandia, Stany Zjednoczone i” Ameryka Południowa. Korzystały z tego organizacja o nazwie ODESSA (Stowarzyszenie Byłych Oficerów SS) czy Der Spinne („Pająk”). Według niektórych źródeł watykański szczyrzy szlak udzielił pomocy około trzydziestu tysiącom nazistów. Wśród beneficjentów Stolicy Apostolskiej znaleźli się: były gestapowiec Klaus Barbie, Adolf Eichmann, doktor Josef Mengele, Biały Anioł czy Anioł Śmierci z Oświęcimia, Gustaw Wagner, zastępca komendanta obozu w Sobiborze i Franz Stangl z obozu zagłady w Treblince. Tą samą drogą zostali przetrzuceni członkowie dywizji galicyjskiej SS.

- A gdzie jest teraz Gelli?

- Zmarł w więzieniu. Na atak serca. Ludzie mówili, że podano mu zbyt dużą dawkę digitalisu, podobnie jak papieżowi Janowi.

- To mi zbyt przypomina Dana Browna: dziwne sekty, katolickie tajne stowarzyszenia, kod Leonarda da Vinci. Zupełnie jakbym słyszał Davida Dukea gładzącego o supremacji białych*.

- Nazywaj to jak chcesz, ale coś jest w tych informacjach. Jakiś ślad, którego prawie nie widać; z którym nawet MAGIC nie może sobie poradzić, a to coś znaczy, wierzcie mi.

* David Duke - ideolog skrajnej prawicy w USA, jeden z przywódców Ku-Klux-Klan [przyp. red.].

- Masz jakiś pomysł?

- Żadnego. Nie mam dostatecznych przesłanek, jedynie jakieś przecucie, które trudno sprecyzować. Coś się dzieje, coś pod spodem tych spraw.

- To zabójca - powiedziała Finn, doznając nagłego olśnienia. Pytania „Dlaczego?” i „Z jakiego powodu?” można było zadać później, lecz bez wątpienia to przecucie Kornitzera, ten ślad, którego nie potrafili sprecyzować, dotyczył osoby mordercy.

- Wyjaśnij to - powiedział Valentine.

- Nie potrafię. Ale założę się, że jeżeli przyjrzesz się uważniej i popatrzysz na nazwiska wszystkich tych osób, odkryjesz kolejne morderstwa. Zabójca musiał wiedzieć o rysunku Michała Anioła, o tym, że Crawley mnie wyrzucił. Wiedział też, że to może wyzwolić łańcuch zdarzeń, które mogłyby go zdemaskować. Dlatego zginął Peter. A to miałam być ja.

- To nie ma żadnego sensu - powiedział Kornitzer. - Zabija twojego przyjaciela, ale wynajmuje Azjatę na rowerze, żeby zabił ciebie?

- To miałoby sens, gdyby zabójców było dwóch - powiedział wolno Valentine.

- Zajmuję się czystą matematyką. A tego, o czym mówicie, nie da się ustalić za pomocą komputera.

- Oczywiście, że nie da się tego ustalić matematycznie, widziałem jednak dostatecznie dużo zabójstw, aby wiedzieć, że się wzajemnie przyciągają - odparł Valentine. - A jeżeli Finn ma rację? Jeżeli zabójca numer jeden mordował ludzi na długo przed Crawleyem? Do tej pory mamy cztery morderstwa: Crawley, chłopak Finn, Gatty i Kressman w Alaba-

mie. Wszystkich łączy sztuka, zrabowane obrazy. Śmierć chłopaka Finn to jak wystrzelenie racy, sygnał, że coś jest nie w porządku; zabójcy grozi zdemaskowanie. To sprowadza zabójcę numer dwa, który stara się sprawę zatuszować, uciszając Gatty'ego i Kressmana. Jeżeli to wszystko ma związek z tym transportem lub z czymś jeszcze gorszym, to gra toczy się o

wysoką stawkę. Na tyle wysoką, aby dla niej zabić.

- Interesująca hipoteza, ale jej nie kupuję - powiedział Kornitzer, kręcąc głową. - Zbyt dużo zbiegów okoliczności.

- Można by jakoś sprawdzić, czy inne osoby z tej listy zmarły w nie-naturalny sposób? - zapytała Finn.

Kornitzer wzruszył ramionami.

- Mógłbym pomyśleć, jak to zrobić. Ale zajmie mi to więcej niż pół godziny.

- No to zacznij myśleć - powiedział Valentine. - Nie mamy zbyt wiele czasu.

Dzielnica Woodside, nazywana rajem dla samobójców z powodu licznych torów kolejowych i szybkich pociągów metra, znajduje się na obrzeżach Nowego Jorku, wciśnięta między dwa cmentarze w północnej części Queens: Świętego Michała na północy i Kalwaryjski na południu. Od lotniska La Guardia dzieli ją zaledwie półtora kilometra, a cały teren przecinają tory naziemnej i podziemnej kolei. Zdominowana niegdyś przez katolików pochodzenia irlandzkiego, teraz stała się domem dla Koreańczyków, przybyszów z Azji Południowej, Meksyku, Dominikany i Ekwadoru. W licznych tu pubach, w których nadal serwuje się Cork Dry Gin, Jemasona, Guinnessa i Harpa, słyszy się akcent z Dublina, Derry i Donegal.

Fałszywy ksiądz przejechał dzielnicę Queens i w końcu odnalazł kościół Świętego Sebastiana: wielki, pozbawiony okien grobowiec z pożółkłych cegieł, przypominający stylem irlandzkie bazyliki z hrabstwa Cork. Miejscowy diakon nazwiskiem Wibberley, posługujący tu tak długo, że uważał to miejsce za swoją własność, pomógł człowiekowi z Rzymu przejrzeć stare księgi. Nie było w nich jednak żadnej informacji na temat Frederika Botte i jego przybranych rodziców, małżeństwa Thorpe. Młody Freddie nie był ani ministrantem, ani komunikantem, ani nawet członkiem sławnej parafialnej drużyny koszykówki. Wibberley uznał, że jedynym miejscem, gdzie jego gość mógłby coś znaleźć, jest dom pogrzebowy, znajdujący się kilka przecznic dalej na południe, przy Fifty Eighth Street, istniejący od początku dwudziestego wieku, kiedy ten rejon miał jeszcze

wiejski charakter.

Dom pogrzebowy rzeczywiście pochował osiemnastego marca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku pana Briana Thorpea. Kilka pytań i lunch w irlandzkiej garkuchni Stop Inn Diner, mieszczącej się przy torach kolei nadziemnej biegnących nad Roosevelt Avenue, a prowadzących do Long Island, skierowało księdza do archiwum „Woodside Herald”, miejscowej gazety wychodzącej od drugiej wojny światowej. Według zgromadzonych na mikrofilmach informacji z dwudziestego marca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku Brian Thorpe, członek Legionu Amerykańskiego, weteran z odznaczeniami, właściciel „D and D”, sklepu z wyrobami żelaznymi, został napadnięty i zamordowany przy Donovan's na Roosevelt Avenue, gdy późnym wieczorem wracał do domu. Z raportu policyjnego wynikało, że kilkakrotnie pchnięto go nożem. Nie znaleziono narzędzia zbrodni. Zamordowany pozostawił żonę Annalise i syna Fredericka. Kobieta mieszkała na Woodside Avenue.

Fałszywy ksiądz przejrzał książkę telefoniczną dzielnicy Queens, lecz nie znalazł w niej ani Annę, ani Annalise Thorpe. Nie mając innego wyjścia, pojechał pod podany w gazecie adres. Okazało się, że jest to mieszkanie nad salonem fryzjerskim Chez Diamond. Na zniszczonych, brudnych drzwiach widniało nazwisko „A. Kurovsky”. Wreszcie koło się zamknęło. Annalise Kurovsky, kobieta, która wywiozła Frederika Botte z Niemiec do Stanów Zjednoczonych na statku „Batory”, poślubiła człowieka, którego później zasztyletowano jak innych. Kiedy ksiądz zadzwonił do drzwi, prawie natychmiast rozległ się brzęczyk elektrycznego zam-

ka, jakby gospodyni na kogoś czekała. Pchnął drzwi i wszedł ciemnymi schodami na górę.

Niezależnie od tego, jaka była kiedyś, Annalise Kurovsky przypominała teraz wyschnięty patyk. Ciało osiemdziesięciokilkuletniej kobiety skurczyło się i wyglądało jak pomarszczony pergamin opinający stare kości.

Obwisłą twarz pokrywały plamy i zaczerwienienia. Wyzierała z niej para ciemnych, gniewnych oczu, inteligentnych, z odcieniem jakiejś goryczy.

Droga, którą przebyła, by trafić do mieszkania nad zakładem fryzjerskim, była najwyraźniej długa i trudna.

W zagraconym salonie panował półmrok. Pod jedną ze ścian stały regały z książkami, zastawione fotografiami i drobnymi ozdobami. Kolejne fotografie wisiały na pokrytych cętkami ścianach, obok talerzy i urzędowych tabliczek pamiątkowych. Pośrodku tego wszystkiego, nad kominem, tkwił duży obraz olejny w ozdobnych ramach, przedstawiający młodą Marię pochylającą się nad kołyską, w której leżało Dzieciątko Jezus. Z lewego górnego rogu spoglądało na nich kilka aniołów. Obraz, jak i jego autor, był bardzo znany.

- Czy pani wie, co to jest? - zapytał ksiądz.

- Oczywiście - warknęła kobieta głosem równie suchym jak jej skóra.

- To Rembrandt i studium Świętej Rodziny namalowane w tysiąc sześćset czterdziestym piątym roku. Ostateczna wersja obrazu wisi w Ermitażu w Sankt Petersburgu.

- Skąd pani go ma?

- Dostałam od męża.

- A skąd on go wziął?

- To nie pański interes.

- Rzeczywiście, nie mój.

- Nie przyszedł pan rozmawiać ze mną o malarstwie, ale zapytać o
mojego syna Fredericka, prawda?

- Może.

- No to śmiało.

Kobieta uśmiechnęła się i usiadła na zniszczonej kanapie pod oknem.

Ksiądz wybrał miejsce, z którego mógł widzieć Rembrandta.

- Tak. Przyszedłem w sprawie chłopca.

- Spodziewałam się pana od dłuższego czasu.

- Spodziewała się mnie pani?

- Oczywiście. Skoro Pacelli ma zostać świętym...

- Pani bardzo dużo wie.

- Ja wiem wszystko - odpowiedziała. - Znam całą historię. Trzeba ją
ujawnić i ja to zrobię.

- Nie pani i nie teraz - odparł z uśmiechem ksiądz.

- A kto mnie powstrzyma? - zapytała ostrym głosem. - Jestem to
winna synowi.

- Ja panią powstrzymam - powiedział cicho ksiądz. - I nic już nie jest
pani winna.

Człowiek z Rzymu pomyślał o użyciu broni, lecz zamiast tego wstał,
obszedł rozdzielający ich zaśmiecony stolik do kawy, chwycił kobietę za
gardło, odchylił jej głowę i złamał kark. Potem puścił ją, by upadła twarzą

do przodu i rozbiła sobie nos o stolik. Sprawdził puls na tętnicy szyjnej:

nie wyczuł go, zaczął więc przeszukiwać mieszkanie.

Finn Ryan siedziała na ławce, naprzeciwko domu przy St. Lukes Place 11 w Greenwich Village. Doszła do wniosku, że Michael miał rację. Pukanie do drzwi Fundacji Grangea, by sprawdzić, czym się zajmuje, było głupim pomysłem. Nie tylko potencjalnie niebezpiecznym, ale wręcz zabójczym. Z drugiej strony MAGIC, program komputerowy Kornitzera, doprowadził ich tylko do tego miejsca. To właśnie dzięki ograniczeniom MAGIC takie firmy jak Ex Libris nabierały znaczenia. Internet był przecież jedynie kotłem zawierającym półprawdy, opinie, zwyczajne kłamstwa i bzdury. To nie był Dziki Zachód kontaktów i zbierania informacji, to była strefa mroku. Czasami, a w zasadzie częściej niż rzadziej, trzeba się było udać do samego źródła informacji.

I oto miała je przed sobą, tuż obok kamienicy państwa Huxtable'ów z serialu telewizyjnego Bill Cosby Show . jeden z dwupiętrowych budynków z piaskowca stojących przy miłej, wysadzonej drzewami ulicy wychodzącej na Hudson Park. Przecznicę dalej w kierunku zachodnim, przy Hudson Street 421, mieścił się dawny magazyn, a obecnie odnowiony, elegancki dom z żółtej cegły z apartamentami do wynajęcia. Sąsiadował z nim biurowiec z czerwonej cegły z lasem wielkich anten satelitarnych na dachu. Na rogu Hudson Street i St. Luke's znajdowała się restauracja, lecz poza tym cała ulica miała charakter mieszkalny. Dwie przecznice dalej, w kierunku południowym, słychać było gwar Houston Street. Finn dałaby głowę, że w ciągu kilku sekund znalazłaby z pięćdziesiąt miejsc, w których filiżanka kawy kosztuje pięć dolarów.

Dom przy St. Luke's Place pod numerem jedenastym nie różnił się niczym szczególnym od pozostałych. Miał okna z czarnymi ramami, czarne ogrodzenie z kutego żelaza otaczające wejście do sutereny instalację wentylacyjną na zewnątrz i mosiężną kołatkę na drzwiach pod klasycystycznym kamiennym frontonem. Dodatkowym elementem była mała mosiężna tabliczka, wypolerowana do połysku. Z miejsca, w którym siedziała, Finn mogła dostrzec żelazne kraty w oknie sutereny. Wśród zaparkowanych przed domem samochodów stał ciemnozielony lexus, srebrny mercedes i czarny jaguar coupe.

Tkwiła na tej ławce już od pół godziny, obserwując dom i bijąc się z myślami. Jeszcze chwila, a ktoś wyjrzy przez okno i ją zauważy. Odechnęła głęboko i wstała. Wygładziła krótką czarną spódniczkę, wsunęła do środka białą bluzkę i poprawiła skórzany plecak na ramieniu. Poczuli się jak uczennica szkoły parafialnej. Zebrała włosy w koński ogon, przeciągnęła go przez otwór w tyle niebiesko-szarej baseballówki Dodgersów i przeszła na drugą stronę placu. Przełknęła ślinę, odchrząknęła, weszła po kilku stopniach na górę i zatrzymała się przed drzwiami. Napis na mosiężnej tabliczce głosił:

Fundacja Grange'a

Fundusz Powierniczy McSkimminga

Wstęp wzbroniony

Pomimo jednoznacznego ostrzeżenia Finn zignorowała kołatkę i pokręciła gałką u drzwi. Nic się nie wydarzyło. Zauważyła dużą, płaską płytkę, przymocowaną do drzwi i pomalowaną na czarno, by zlała się z

kolorem drewna. W górnym rogu przy frontonie dostrzegła małą kamerę.

Wyglądało na to, że wejście bez pukania nie jest możliwe. Chwyliła czar-
ny żelazny pierścień tkwiący w pysku czarnego żelaznego lwa i stuknęła
nim trzy razy. Przez dziesięć sekund panowała cisza, po czym nie wiado-
mo skąd rozległ się skrzekliwy głos pytający, o co chodzi.

- Na czas.

- Nie rozumiem.

- „Na czas”. Usługi kurierskie. Miałam tu coś odebrać. - Taki plan
ułożyli ubiegłej nocy z Valentinem. Chyba nie najlepiej się sprawdzał.

Zaległa cisza, po czym znów rozległ się głos.

- Nic dla pani nie mamy.

To była decydująca chwila.

- Topping, Halliwell i Whiting. - Firma prawnicza, która stworzyła
Fundację Grangea.

- Słucham?

- Taką nazwę mi podali.

- Kto pani podał?

- Dyspozytor. - Westchnęła głośno. - Przyszłam pod wskazany adres.

Nie ma przesyłki, to nie mój problem. Do widzenia.

Pomachała do kamery, po czym odwróciła się z zamiarem odejścia.

Gdy postawiła nogę na jednym ze stopni, elektroniczny głos znowu się
odezwał.

- Proszę zaczekać.

Udało się.

- Muszę to sprawdzić. Proszę zaczekać.

- Nie będę sterczeć pod drzwiami.

Chwila ciszy i drzwi ustąpiły.

- Proszę wejść.

- Stokrotne dzięki.

Przekręciła gałkę i pchnęła ciężkie drzwi, starając się zachować znu-
dzony i lekko rozdrażniony wyraz twarzy

Znalazła się w zwyczajnym, wąskim hallu z drugimi drzwiami dokład-
nie na wprost niej. Kiedy te pierwsze się zamknęły, przy drugich rozległ
się brzęczyk i uchyliły się lekko. I tu spoglądało na nią oko kamery
umieszczonej w futrynie. Korytarz był czymś w rodzaju służby powietrznej
chwytającej w pułapkę każdego, kto ośmielił się tu wejść.

Przeszła przez drugie drzwi i znalazła się w dużym pokoju recepcyj-
nym, wyposażonym w artystyczne meble Stickleya: biurko, komplet krzeseł
biurowych, dwa fotele i długą drewnianą ławę ze skórzanymi poduszkami.
Podłogę wyłożono ciemnowiśniową klepką. Na jasnej ścianie, za ple-
cami recepcjonisty w średnim wieku, wisiał obraz olejny przedstawiający
jeden z ulubionych tematów Moneta: Ogród w Giverny . Jeżeli był to ory-
ginał, to jego wartość szacowano na około dwadzieścia milionów dola-
rów. Niezłe towarzystwo.

Recepcjonista miał ciemne, przerzedzone włosy, szerokie ramiona,
białą koszulę, niebieski krawat i garnitur od Hugo Bossa, który nie zdołał
jednak ukryć wybrzuszenia pod lewą pachą i skórzanej kabury. Jeżeli
Monet był oryginał, nie należało się temu dziwić. Zaszła już zbyt daleko,

by się teraz wycofać.

- Proszę zaczekać - powiedział uzbrojony Hugo Boss.

Usłuchała, obracając się wokół własnej osi i rozglądając po pokoju.

Gdyby nie kosztowne meble i obraz Moneta na ścianie, wyglądałby jak jedno z eleganckich biur na Manhattanie, należących do adwokata, księgowego czy wziętego doradcy. W końcu pomieszczenia znajdowało się dwoje drzwi - jedne harmonijkowe, zamykające szafę i drugie prowadzące w głąb budynku. Gdzieś zza nich dochodził szum pracującej kserokopiarki i dużej drukarki laserowej. Zauważyła, że telefon na biurku recepcjonisty ma sześć linii. Cztery z nich się świeciły. Nie było w tym nic nadzwyczajnego. Wrócił Hugo Boss.

- Nic dla pani nie mamy. I nie korzystamy z usług firmy kurierskiej

„Na czas”. Jeżeli już, to z „Citywide”.

- No właśnie - podjęła temat Finn. - Tylko wtedy, gdy ci z „Citywide” są zawaleni robotą, rzucają nam ochłapy.

- Ochłapy?

- Tak. To, czego nie mogą załatwić. Jak już mówiłam, ja tylko odbieram i dostarczam. Skoro pan mówi, że nic dla mnie nie ma, to nie ma. -

Naciągnęła mocniej baseballówkę na głowę i ruszyła do wyjścia. Zaraz jednak zatrzymała się i obdarzyła recepcjonistę spojrzeniem w stylu: „Jestem tylko nieśmiałą dziewczyną z prowincji w wielkim mieście”. - Czy mogę mieć do pana prośbę?

- O co chodzi?

- Muszę się wysiusiać. - Co było prawdą.

Hugo Boss z bronią pod pachą niezłe ją wystraszył.

- Nie mamy toalety publicznej.

- Tylko na sekundę, obiecuję. A pan tymczasem mógłby jeszcze raz sprawdzić, czy nie ma dla mnie tej przesyłki.

Zawahał się i zmarszczył brwi. Finn starała się, aby jej błagalne spojrzenie było jak najbardziej wiarygodne, podobnie jak w szkole, gdy nie odrobiła lekcji.

- Dobrze - powiedział wreszcie Hugo. - Proszę iść tam. Pierwsze drzwi na prawo.

Finn pobiegła do końca pomieszczenia, kątem oka dostrzegając, że recepcjonista podnosi słuchawkę stojącego na biurku telefonu. Przeszła przez drzwi i zamknęła je za sobą. Znalazła się w małym korytarzu między frontową a tylną częścią budynku. Po lewej stronie był pokój z kserokopiarką, skąd dochodził szum maszyny, po prawej drzwi z napisem „Łazienka”, a na wprost łukowato zwieńczone przejście do biura - jasno oświetlonego pokoju bez okien, w którym pracowały przy komputerach dwie kobiety i mężczyzna, dalej; zaś wąskie schody prowadzące na piętro. Kolejne drzwi broniły wstępu do dalszej części budynku, zapewne do dawnej kuchni. Nikt nie zwracał na nią uwagi, Finn minęła więc łazienkę i zajrzała do powielarni. Stała w niej duża cyfrowa kopiarka firmy Canon, faks, duży skaner, pod ścianą półka z akcesoriami do parzenia kawy i rząd kołków na ubrania. Przy kserokopiarce leżał pęk kluczy. Finn bez namysłu chwyciła je i wsunęła do plecaka, po czym wyszła z pokoju, wślizgnęła się do łazienki i usiadła, ciężko dysząc. Zaczekała, aż serce przesta-

nie jej bić jak szalone, po czym spuściła wodę i wróciła do recepcji.

- Znalazł pan coś dla mnie? - zapytała, wiedząc, jaka będzie odpowiedź.

Recepcjonista trzymał właśnie słuchawkę przy uchu i pokręcił przecząco głową.

- Dziękuję za łazienkę - szepnęła, uśmiechając się do niego z wdzięcznością, pomachała mu ręką na pożegnanie i wyszła.

Po chwili była już na Hudson Street i rozglądała się za punktem, gdzie można by dorobić klucze.

Michael Valentine krążył wśród regałów Ex Librisu, kierując się sobie tylko znanym systemem znaków i wskazówek, który w niczym nie przypominał systemu dziesiętnego Deweya. Pracował przez większą część poranka i popołudnie, przeglądając najróżniejsze przewodniki po Nowym Jorku, stare księgi z planami nieruchomości, plany metra, księgi kościelne pół tuzina parafii i traktat socjologiczny o Greenwich Village z tysiąc dziewięćset trzydziestego roku, zawierający spis wszystkich firm, instytucji i ulic. W miarę jak zgłębiał coraz więcej książek i rejestrów, zaczął mu się tworzyć w głowie obraz tego, jak niegdyś wyglądał obszar wokół Hudson Street 421.

Najpierw była tu wieś Greenwich, leżąca nad brzegiem rzeki Hudson.

Na początku dziewiętnastego wieku pola należące do rodziny Voorhisów kupił kościół Świętej Trójcy, a następnie oddał w dzierżawę towarzystwu dobroczynności Świętej Marii Magdaleny. Przedtem teren położony między ulicami Hudson, Clarkson, Morton a Varick służył jako miejsce pochówku wiernych Kościoła Episkopalnego St. Lukę in the Fields. W latach dwudziestych dziewiętnastego wieku wybudowano tu kościół rzymskokatolicki pod wezwaniem Świętego Odkupiciela, a po przeciwnej stronie klasztor żeński i dom dla dziewcząt pokrzywdzonych przez los. W tym czasie mieszkał w okolicy Edgar Allan Poe i często widywano jego posępną, zgarbioną postać spacerującą po cmentarzu między kamiennymi nagrobkami. W następnych latach cmentarz podzielono na działki i na miejscu, które nazwano St. Luke's Place, wzniesiono pierwsze kamienice i

poprowadzono drogę, stanowiącą przedłużenie Le Roy Street w kierunku zachodnim do Varick. Kościół Świętego Odkupiciela spłonął w tysiąc osiemset sześćdziesiątym piątym roku, a zmarłych zaczęto chować na cmentarzach przy kościele Świętego Pawła na południu i przy kościele Świętego Łukasza na północy. W latach siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku wybudowano pierwszą naziemną kolej miejską, naruszając własność należącą do klasztoru stojącego przy Hudson Street 421. Pożar, który wybuchł w tysiąc osiemset siedemdziesiątym siódmym roku, spowodował zamknięcie klasztoru, a jego ruiny rozebrano w tysiąc osiemset osiemdziesiątym pierwszym i na tym miejscu postawiono siedmiopiętrowy magazyn, który stoi tu do dziś. Do tysiąc dziewięćsetnego roku po klasztorze, kościele i cmentarzu nie pozostał żaden ślad. Na terenie cmentarza powstał park, St. Luke's Place stało się siedzibą burmistrza Nowego Jorku, a po Hudson Street jeździły z turkotem konne tramwaje.

Budynek, w którym mieściła się firma American Mercantile, nie wyróżniał się niczym szczególnym, lecz musiał być jakiś powód, dla którego Cornwall i jego kohorta z Fundacji Grangea wybrała go na miejsce przechowania transportu. Najwyraźniej miało to coś wspólnego z wyborem siedziby na biura, lecz według planów nieruchomości i informacji zawartych w starych księgach adresowych Manhattanu fundacja przeniosła się do budynku z elewacją z piaskowca przy St. Luke's Place dopiero, gdy ów transport znikł.

Valentine zabrał ze sobą do gabinetu kilka informatorów, po czym usiadł w fotelu i zamknął oczy, starając się poukładać wszystkie wiado-

mości w jakimś racjonalnym porządku. Co takiego Cornwall wiedział o tym miejscu, czego nie dostrzegał ktoś wertujący książki historyczne czy tak jak on przekopujący się przez tysiące tomów i akt? Zirytowany własną niemocą, Michael włączył komputer, uruchomił program ISPY stworzony przez Barrie'ego specjalnie dla niego i wystukał nazwisko Cornwalla.

Prawie natychmiast pojawiła się krótka biografia.

Nazwisko: Cornwall, James Cosburn

Data urodzenia: 1904

Miejsce urodzenia: Baltimore, stan Maryland

Data śmierci: 2001

Miejsce śmierci: Nowy Jork, stan Nowy Jork

Cornwall był synem Martina i Lois Cornwallów. Matka była wybitną projektantką wnętrz i nauczycielką w Baltimore School of Art. Młody Cornwall uczęszczał do prywatnych szkół, gdzie interesował się szczególnie architekturą kościelną i klasztorną. Przed wstąpieniem do collegeu przez dwa lata studiował w Europie, w Ecole Sebastien w Paryżu. W 1922 roku powrócił do Stanów Zjednoczonych, a w następnym roku wstąpił na Yale University. W 1927 roku uzyskał dyplom z wyróżnieniem i w tym samym roku rozpoczął pracę w muzeum Parker-Hale jako asystent w dziale sztuki dekoracyjnej. W latach 1929-1932 był zastępcą kustosza, a następnie awansował na kustosza. Od 1930 roku współpracował z dyrektorem Parker-Hale, Josephem Teague (1885-1933) przy pracach nad stworzeniem nowego działu sztuki średniowiecznej. W 1934 roku, po śmierci Teaguea, mianowano go zastępcą kustosza sztuki średniowiecznej. W tym

samym roku został kustoszem działu sztuki średniowiecznej. W 1942 roku ożenił się z Katherine Metcalfe. W 1943 roku wstąpił do armii i szybko awansował do stopnia porucznika w sekcji pomników, dzieł sztuki i archiwów Siódmej Armii Stanów Zjednoczonych, zachodniego okręgu woj-skowego. Jego głównym zadaniem było poszukiwanie i zabezpieczanie dzieł sztuki ukrywanych przez nazistów. Odpowiadał między innymi za przejęcie zrabowanych skarbów Goeringa, Goebbelsa i Alfreda Rosenberga. Po wojnie powrócił do pracy w muzeum Parker-Hale i w 1955 roku został jego dyrektorem. W czerwcu 2001 roku, po szczególnie burzliwym posiedzeniu zarządu, dostał zawału serca i na stanowisku dyrektora zastąpił go jego protegowany Alexander Crawley.

Ta biografia nie wносиła żadnych nowych informacji, lecz uwagę Valentine'a zwróciła jedna z pozycji w bibliografii prac Cornwalla, a ściśle tytuł jego pracy doktorskiej napisanej w Yale. Brzmiał on: Giovanni Battista de Rossi i katakumby San Callisto. Analiza biograficzna i architektoniczna.

Wykorzystując ją jako punkt wyjściowy, poszperał w internecie, starając się poskładać wszystko w całość. Zainteresowanie Cornwalla światem podziemnym nie skończyło się na doktoracie. Napisał na ten temat dwa-naście artykułów, opracował i zredagował kilka prac naukowych. Był także konsultantem programów telewizyjnych kanału historycznego o kryptach, mauzoleach, cmentarzach i katakumbach na świecie. Ostatni odcinek z serii nosił tytuł: Nowy Jork umarłych.

Nagle wszystkie kawałki układanki zaczęły do siebie pasować. Dla

pewności Valentine zajrzał jeszcze do historii Greenwich Village.

- O mój Boże - wyszeptał, kiedy zrozumiał powód, dla którego Cornwall wybrał magazyn przy Hudson Street.

To, co teraz było parkiem i miejscem zabaw dzieci, kryło kiedyś podziemną kryptę kościoła Świętego Odkupiciela, połączoną tunelem z klasztorem stojącym po przeciwnej stronie ulicy, którym zakonnice i pokrzywdzone przez los dziewczęta przychodziły się modlić, unikając w ten sposób kontaktu ze światem zewnętrznym. Cornwall i jego przyjaciele konspiratorzy, razem z dwustu dwudziestoma siedmioma tonami skrzyń i pudeł - sześcioma ciężarówkami skradzionych skarbów - zniknęli pod ulicami Nowego Jorku. I to wszystko nadal tam było.

Fałszywy ksiądz chodził po zagraconych pokojach wilgotnego, ob-
skurnego mieszkania przy Ludlow Street, poniżej modnych sklepów i
salonów stojących wzdłuż wąskiej uliczki nad Delancey Przeszukując
nędzne pokoje, miał beretkę przy boku. O istnieniu tej nory dowiedział się
przeczesując mieszkanie starej kobiety w Queens. Niestety, nikogo tu nie
zastał, jedynie duchy i wspomnienia z przeszłości. Wyłożona niebieskim
kiedyś linoleum podłoga była poplamiona i spękana. Pokryty bruzdami i
rysami sufit wyglądał, jakby za chwilę miał pęknąć niczym dojrzały
owoc. Przy każdym kroku błyszczące karaluchy uciekały pod listwy przy-
podłogowe, a rybiki kryły się pod resztkami dywanów.

Całość sprawiała wrażenie potwornej nory jakiegoś szaleńca. Odpada-
jący tynk i starą tapetę w kwiaty przykrywały wycinki z gazet, rysunki,
zdjęcia z czasopism, mapy z zapiskami, listy napisane tak drobnym cha-
rakterem pisma, że niemal nieczytelne, reprodukcje obrazów oraz kawałki
gipsowych i plastikowych figurek świętych i aniołów, przytwierdzone do
ścian klejem, pinezkami, gwoździami lub wciśnięte w otwory wywiercone
łyżką w miękkim od wilgoci tynku. Było to muzeum poświęcone szalo-
nym obsesjom skołatanego serca, trudnym do zrozumienia z wyjątkiem
tego, że miały związek z wojną i ludźmi, którzy brali w niej udział, z arty-
stami, sztuką i śmiercią setek nieznanymi osobami z wielu krajów, a przede
wszystkim z życiem i czasami mężczyzny w metalowych okularach na
orlim nosie, w papieskich szatach i infule. Wysłannik z Rzymu dawno już
stracił wiarę i czasami przyznawał rację cynikom twierdzącym, że czło-

wiek przyszedł na świat tylko po to, by jeść, cudzołożyć i wydać, lecz tutaj doszedł do wniosku, że istnieje jeszcze jeden powód. Ten człowiek został stworzony po to, by udowodnić, że piekło istnieje. To miejsce przypominało szalkę Petriego, w której hodowano kulturę przeklętych*. Okazało się, że jest tu więcej pokoi niż się spodziewał, jakby połączono dwa lub trzy mieszkania w jedno. Jediną nową rzeczą były obite blachą drzwi wejściowe i zabezpieczające je zamki, które z łatwością dały się otworzyć. W środku znajdowała się staroświecka kuchnia z przejściem do małego, ciemnego saloniku. Sprawiała okropne wrażenie. Wyszczerbiony emaliowany zlew bez obudowy zapchany był brudnymi plastikowymi talerzykami, miskami i kubkami. Na blacie stał otwarty słoik ze spleśniałym dżemem winogronowym, pudełko płatków kukurydzianych, skwaśniałe mleko w kartonie i kubek do połowy wypełniony kawą. Z lampy w suficie zwisał poskręcany lep na muchy. Fałszywy ksiądz chwycił w dwa palce sznurek od lampy i pociągnął, lecz światło się nie zapaliło.

Przeszedł do saloniku. Z boku leżał zwinięty brązowy, wystrzępiony dywan, a na ścianie z lewej strony wisiał wykonany tuszem rysunek przedstawiający Chrystusa na chmurze nad groteskową Kalwarią z trzema krzyżami i napisem poniżej:

Ukażesz mi ścieżkę życia,
pełnię radości u Ciebie,
rozkosze na wieki po Twojej prawicy

Kiedy ksiądz przyjrzał się bliżej rysunkowi, zauważył, że postacie na krzyżach są kobietami, z ich piersi i oczu płynie krew, a nad głową Chry-

stusa widnieją napisy w kółkach, wyblakłe i nieczytelne.

* Szalka Patriego to naczynie laboratoryjne, w którym może między innymi hodować kultury bakterii [przyp. red.].

Za salonikiem był krótki korytarz i kolejne drzwi, stare i zniszczone, lecz świeżo pomalowane na jasnoniebieski kolor. Widniało na nich jedno słowo: Tsidkefnu - „Sprawiedliwy”. Pochodziło ze Starego Testamentu i było jednym z tysięcy imion Boga.

Człowiek z Rzymu odbezpieczył berettę, wziął głęboki oddech, pchnął drzwi i wszedł do znajdującego się za nimi pomieszczenia, stanowiącego kres jego podróży. Wolną ręką uniósł dłoń do oczu, niemal oślepiiony blaskiem światła.

Za swoimi plecami, w parku Jamesa J. Walkera Finn i Valentine słyszeli stłumione głosy dzieci skaczących przez skakankę w takt rymowanki, która stawała się coraz szybsza.

Jestem Dzieciątko Jezus,

Do krzyża idę sam.

Jestem Dzieciątko Jezus,

Mój tata to nasz Pan.

- Jesteś pewny, że to właśnie powinniśmy zrobić? - zapytała Finn, siedząc obok Valentine'a na ławce.

Pomiędzy jego nogami stał plecak z niezbędnym wyposażeniem. Oboje ubrani byli w stroje do biegania. Minęła siódma, zapadał zmrok, a ruch na Hudson Street zaczął się zmniejszać.

- Przecież to ty tam weszłaś i wzięłaś klucze - uśmiechnął się Valentine. - Poza tym, jeżeli mamy doprowadzić tę sprawę do końca, satysfakcjonującego dla władz, musimy mieć dowody. Na razie mamy tylko poszlaki, paranoję internetową i teorię spiskową.

- Ja tylko chcę wiedzieć, kto zabił Petera.

- Dowiemy się tego - zapewnił Valentine. - Obiecuję ci.

Nie spuszczał wzroku z kamienicy stojącej na skraju St. Lukes Place.

W jej oknach zgasł) ostatnie światła, a po chwili wyszedł Hugo Boss i zamknął za sobą drzwi. Dzięki miniaturowej kamerze D-snap Panasonic, którą Finn wniosła w plecaku do budynku, Valentine otrzymał wszystkie potrzebne mu informacje o wnętrzu, łącznie z nazwą systemu zabezpieczającego

umieszczonego na drzwiach frontowych. Był to stosunkowo prosty mechanizm typu ADT połączony linią telefoniczną z firmą ochroniarską.

Miał już dziesięć lat, wystarczył więc telefon do Barrie'ego Kornitzera, by w ciągu pięciu minut uzyskać kod wyłączający urządzenie. Zdobyte przez Finn kluczyki ułatwiło całą sprawę. Po dorobieniu drugiego kompletu w zakładzie przy Carmine Street uruchomiła pilota, by znaleźć samochód, do którego pasowałyby kluczyki. Okazało się, że jest to toyota camry stojąca na Varick Street. Rzuciła oryginalne kluczyki na podłogę pod przednie siedzenie, po czym ręcznie zamknęła drzwi. Kiedy właściciel lub właścicielka je znajdzie, pomyśli, że musiały wypaść podczas wysiadania z samochodu.

Jestem Dzieciątko Jezus,

Wszystkie grzechy znam.

Jestem Dzieciątko Jezus,

Wiem, jak zwyciężać mam.

Valentine spojrział na zegarek, a potem na ciemną kamienicę po drugiej stronie ulicy. Nic się nie ruszało z wyjątkiem liści na drzewach. Przeczną dalej słyhać było szum przejeżdżających samochodów. Finn przypomniała sobie kilka wersów z sonetu Edgara Allana Poe o jakiejś strasznej, śmiertelnej miłości. Starła się nie myśleć o tym, co znajdowało się pod nią, ukryte głęboko pod ziemią. Stare sekrety Stare kości.

- Czas ruszać.

- W porządku.

- Opowiedziałem Barrie'emu wszystko, co wiem. Jeżeli nie zadzwo-

nię do północy, da znać znajomemu z FBI, co odkryliśmy

- To wielka pociecha - zaśmiała się nieszczercze Finn.

Wstali i przeszli na drugą stronę ulicy. Za nimi, w mroku, dzieci skakały przez skakankę.

Wkroczyli do ciemnego wnętrza. Przed sobą, z prawej strony, mieli puszkę z systemem alarmowym. Pulsowało w niej czerwone światło. Valentine wystukał sekwencję cyfr. Czerwone światło zmieniło się w zielone.

- Łatwo poszło - szepnęła Finn.

- To nie jest włamanie do jakiegoś sejfu ze skomplikowanym systemem zabezpieczającym - odpowiedział Valentine. - Po pewnym czasie ludzie tracą czujność i przestają zwracać uwagę na najważniejsze sprawy.

- Wzruszył ramionami. - Poza tym, po co ktoś miałby się tu włamywać?

Wszyscy uważają ich za bandę urzędników

- Może to prawda - odpowiedziała Finn. - Może się mylimy.

- Mówiłaś, że ten recepcjonista w drogim garniturze miał przy sobie broń.

- Jestem tego pewna.

- W takim razie się nie mylimy. Do pilnowania papierów nie potrzeba broni. - Przystanął, żeby przyjrzeć się obrazowi wiszącemu nad biurkiem.

- Ale do pilnowania czegoś takiego potrzeba.

Minęli pokój recepcyjny i korytarzem przeszli do otwartego pomieszczenia w środku budynku. Finn położyła plecak na jednym z biurek i rozpięła suwak. Valentine wyjął z plecaka dużą latarkę, włączył ją i omiótł ściany snopem światła. Nie zobaczył niczego więcej ponad to, co wcześniej widział dzięki kamerze. Znajdowali się w dużym, prostokątnym pokoju bez okien, ze schodami prowadzącymi na górę, trzema biurkami i

rzędem szaf na dokumenty Drzwi w końcu pomieszczenia prowadziły do wygodnej sali konferencyjnej z długim stołem i sześcioma krzesłami. Nad staroświeckim kominkiem po lewej wisiał obraz przedstawiający jakiś pejzaż. Było jednak zbyt ciemno, by dokładnie mu się przyjrzeć. Kolejne drzwi prowadziły na tył budynku. Okazały się zamknięte. Finn spróbowała otworzyć je któryś z dorobionych kluczy Jeden z nich pasował i po chwili oboje znaleźli się w środku.

- Interesujące - mruknął Valentine.

Pokój okazał się kompletnie pusty. Okno na przeciwległej ścianie zostało zamurowane, a w miejscu drugich drzwi wbudowano opuszczane wrota, zazwyczaj stosowane w garażach. Zamiast podłogi w kolorze wiśni jak w innych pomieszczeniach, tu leżały szerokie dębowe deski, pociemniałe ze starości i wyglądające na oryginalne.

- Wnęka rozładunkowa - stwierdził Valentine. - Według starych planów w tym miejscu znajdowała się uliczka z wjazdem od Varick Street.

To tu musiało się wszystko odbywać.

- Oczywiście jeżeli mieli co rozładowywać - odparła Finn.

- Spójrz.

Valentine wskazał na środek podłogi ze spoiną w kształcie kwadratu.

Omiótł latarką ściany. Przy mechanizmie otwierającym wrota zauważył duży przycisk podobny do tego, który uruchamiał windę w Ex Librisie.

- Wciśnij go.

Przeszła przez pokój i zrobiła, o co prosił. Rozległ się szum, otworzyła się część podłogi o szerokości około dwóch metrów i do góry wjechała

otwarta klatka.

- Co to jest, u diabła? - zapytała Finn.

Valentine oświetlił klatkę i na górnej belce znalazł metalową tabliczkę z napisem „Otis Brothers Yonkers, Nowy Jork 1867”.

- Nie znalazłem nic na temat pierwszych właścicieli budynku, ale można przypuszczać, że był tu jakiś zajazd lub mały hotel. To pewnie była winda towarowa, którą wciągano beczki z piwem i jedzeniem zmagazynowane w piwnicy. - Wszedł do klatki i omiótł ją światłem latarki. Na jednej z pionowych listew dostrzegł przycisk. - Wygląda na bezpieczną - stwierdził.

- Mamy tym zjechać na dół? - spytała ze zgrozą Finn.

- Nie widzę innego wyjścia.

Skinął ręką, zapraszając ją do środka. Weszła ostrożnie na metalową podłogę klatki, a Valentine wcisnął guzik. Winda ruszyła ociężale. Otoczyły ich ciemności. Kiedy wyszli z windy, Valentine znowu użył latarki. Smuga światła wydobyła z mroku nowoczesną piwnicę o cementowych ścianach, wypełnioną pudłami i kratami. Valentine znalazł wyłącznik i uruchomił go. Na suficie rozbłysły lampy fluorescencyjne.

Piwnica dorównywała wielkością kamienicy. W długim, wąskim pomieszczeniu znajdowały się urządzenia potrzebne do pakowania, kosze na odpadki, piły, stoły do pracy i ogromny, sięgający sufitu przyrząd do wdmuchiwania kulek styropianowych oraz miejsce do owijania taśmami metalowymi. Wszystko sprawne i w doskonałym stanie. Na jednej ze ścian pracował odwilżacz, a pomieszczenie było chłodne i suche. Przy windzie stało sześć średniej wielkości skrzyń z nalepkami adresowymi i

kodami kreskowymi. Ich miejscem docelowym były filie Hoffman Gallery rozrzucone po całym świecie. Każda ze skrzyń miała przyczepioną z boku plastikową kieszeń z dokumentami przewozowymi. W jednym z rogów stało metalowe biurko z komputerem i drukarka do drukowania nalepek. Valentine wyjął z plecaka nóż i rozciął jedną z kieszeni.

- Formularz cztery cztery pięć siedem, deklaracja celna. Jedną z korzyści związanych z handlem obrazami i antykami jest brak opłat celnych.

To jak przewożenie przez granice milionów dolarów bez mrugnięcia okiem.

Wziął leżący na stole łom i podważył wieko jednej ze skrzyń, po czym ostrożnie wyjął zawartość.

- Rembrandt, Wskreszenie Łazarza . Obraz zaginął w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku. Skradziono go żydowskiemu marszandowi w Amsterdamie.

- Czy to wystarczający dowód?

- Nie. Musimy znaleźć pozostałe.

- Nie ma ich tu.

Valentine rozejrzał się po pomieszczeniu.

- Musimy dokładnie sprawdzić tę piwnicę.

Przeszedł na jej koniec i uważnie przyjrzał się ścianie.

Podobnie jak pozostałe, i ta była zbudowana z grubej cegły. Nic nie wskazywało na to, że może kryć jakieś tajne przejście.

- To musi być gdzieś tu. Po drugiej stronie jest park. - Spojrzał w le-

wo i w prawo. - Te ściany przylegają do sąsiednich budynków, a tylna

wychodzi na drugą stronę.

Dokładnie obejrzał podłogę, by sprawdzić, czy ostatnio czegoś zza tej ściany nie wnoszono do środka, ale nie zauważył żadnych śladów. Ukłękł i sprawdził miejsce, w którym ściana stykała się z podłogą. Finn tymczasem odwróciła się i popatrzyła w stronę, z której przyszli, przypominając sobie gabinet w Ex Librisie i Sherlocka Holmesa. Kiedy wyeliminujemy niemożliwe...

Wzdłuż tylnej ściany stały metalowe regały z przyborami do pakowania. Zostawiła Valentine'a i podeszła do wychodzącej na północ ściany. Sześć półek stojących na krótkich metalowych nóżkach zajmowało przestrzeń od podłogi do sufitu. Były pomalowane na zielono i wyglądały na stare. Odwróciła się. W odległości trzech i pół lub czterech i pół metra od regałów znajdowała się staroświecka winda towarowa. Z lewej strony stały kolejne regały, lecz z prawej strony wisiała jedynie tablica na narzędzia. Finn zmarszczyła brwi. Coś było nie tak. I nagle zrozumiała.

- Michael! - zawołała.

Wstał i odwrócił się do niej.

- Co?

- Chyba coś znalazłam.

- Gdzie? - zapytał, podchodząc bliżej.

- Spójrz na tę tablicę.

- Co w niej dziwnego? Ta ściana przylega do sąsiedniej kamienicy.

- Nic przy niej nie stoi.

- Nie rozumiem.

- Wszystkie narzędzia leżą na półkach, po co więc ta tablica?

Valentine milczał przez chwilę. Następnie podszedł do tablicy, postukał w nią knykciami, po czym obejrzał miejsce, w którym ściana przylegająca do sąsiedniego budynku łączyła się z tylną. W pewnym momencie chwycił środkową półkę i mocno pociągnął. Z początku nic się nie zdarzyło, zaraz jednak dwa stojące najbliżej regały płynnie i prawie bezszelestnie wysunęły się w przód o jakieś pół metra i zatrzymały z cichym stuknięciem. Pociągnął półkę w lewo, dalej od ściany. Pojawiło się ciemne ukryte wejście.

Z latarką w rękę Valentine wszedł po cementowej rampie do okrągłego przedpokoju. Jego ściany wyłożono granitem z Pound Ridge, na którym zbudowano nowojorskie drapacze chmur. Valentine przyłożył dłoń do grubo ciosanej skały. Była zimna i sucha. Doskonale miejsce na groby zasłużonych synów miasta i ukrycie tajemnic z przeszłości przed oczyma ciekawskich. Edgar Allan Poe, Miasto w Morzu .

- Patrz! - oto czarny śmierci tron

Śród dziwnych - pustych, dzikich stron,

Gdzie się zachodu krwawi skłon.

Tam wielcy - mali - dobrzy - źli

- W spokoju wiecznym każdy śni.*

- Czasami potrafisz być niesamowity - mruknęła Finn.

Podążyła za snopem światła z latarki. Wzdłuż wąskiej groty biegły dwie metalowe szyny przypominające tory kolejowe. Tuż przy wejściu na ścianie zainstalowano przełącznik. Od niego w głąb groty prowadził grubo

owinięty taśmą izolacyjną przewód. Valentine wcisnął przełącznik i rząd żarówek wydobył z mroku tunel. Miał dwa lub dwa i pół metra wysokości i

* Przekład A. Langego.

niecoby ponad dwa i pół metra szerokości. Ściany wyłożono tym samym kamieniem co przedpokój, a podłogę wysypano grubą warstwą żwiru absorpcyjnego.

- Ciekawe, dokąd ten tunel prowadzi? - powiedział cicho Valentine, po czym ruszył naprzód.

- Nie jestem pewna, czy chcę to wiedzieć - odparła Finn, ale podążyła za nim.

Tunel skręcał kilka razy. Co kilka metrów natykali się na wykute w ścianach nisze, gdzie chowano zmarłych. Zamykająca je warstwa cegieł dawno się rozsypała i miejsca pochówku stały teraz puste. Biegące po ziemi szyny zupełnie tu nie pasowały, a tkwiące w metalowych siatkach żarówki - jeszcze mniej. Finn starała się nie myśleć o grubej warstwie ziemi nad głową i spokojnie oddychać w dusznym, ponurym korytarzu. Nigdy nie cierpiała na klaustrofobię, lecz to miało zupełnie inną wagę. Piekło wcale nie było gorące, lecz dokładnie takie jak ten tunel - puste i zakopane głęboko pod ziemią. Zakopane żywcem.

Zdawało się, że ten tunel nigdy się nie skończy, gdy nagle znaleźli się w kolejnym szerokim przedpokoju. Przecinały go szyny, które dochodziły do ciężkich żelaznych drzwi umocowanych na masywnych zawiasach tkwiących w ścianie. Drzwi wykonano z jakiegoś ciemnego, twardego drewna, a metalowe listwy od zawiasów wyglądały na równie stare jak

kamiennie ściany, do których je przybito. Po obu stronach drzwi widniały płaskorzeźby w kształcie obelisków, pokryte wapnem i jakąś ciemną, starą farbą. Nad wejściem wybito napis pomalowany na czarno i białą, podobnie jak obeliski.

- „Zamilczcie, śmiertelnicy, bo wkraczacie do królestwa zmarłych” - przeczytała na głos Finn. - Ładnie. - Spojrzała na drzwi, a potem na Valentine'a. - Wchodzimy?

- Zbyt daleko zaszliśmy, by się teraz wycofać - odpowiedział. Stuknął czubkiem buta w szynę. - Nie używają tego do przenoszenia ciał. To jest magazyn, nie krypta.

Chwycił za klamkę z kutego żelaza, otworzył drzwi i wszedł do środka.

Rozległ się niski, gardłowy jęk, przypominający lament rannego zwierzęcia, i zgasło światło. Finn krzyknęła i w nozdrza uderzył ją mdły zapach świeżej krwi. Ponownie krzyknęła, gdy kamienna podłoga usunęła się jej spod nóg. Gdzieś z oddali dobiegł ją suchy odgłos wystrzału.

Musiała na chwilę stracić przytomność, bo przed oczyma stanęła jej twarz konającego Petera. Z walącym w piersi sercem podniosła się na ręce i kolana, po czym spróbowała wstać. Ruszyła niepewnie w przód, z wyciągniętymi przed siebie rękoma, chwytając palcami powietrze i wołając Valentine'a po imieniu. Uderzyła o coś biodrem i otarła się policzkiem o ostrą powierzchnię drzwi. Zachwiała się i odwróciła, czując woń krwi i intensywny zapach taniej wody kolońskiej lub płynu po goleniu. Jakieś wspomnienie przemknęło Finn przez głowę i zniknęło. Gdzieś blisko usłyszała urywany oddech i głuchy odgłos pięści trafiającej w miękkie ciało. Dziewczyna ponownie upadła na kolana, uświadamiając sobie, że klęczy nie na żwirze, lecz na betonie. Ku jej zaskoczeniu, z góry dobiegły ją głosy dzieci bawiących się w parku:

Jestem Dzieciątko Jezus,

I nigdy wam nie kłamię.

Jestem Dzieciątko Jezus,

I jeśli mi nie wierzycie,

To sami sobie szkodzicie.

Dziecięce głosy wnikały do wnętrza przez stary system wentylacyjny, nadal tłoczący świeże powietrze do krypty Finn po raz drugi podniosła się do pionu, wyciągnęła ramiona przed siebie, wymacała w ciemności gładką ścianę i ruszyła wzdłuż niej w poszukiwaniu wyłącznika światła. W nozdrza uderzył ją ostry zapach rozlanej benzyny. Usłyszała chrapliwie westchnienie i coś ciężkiego upadło na podłogę.

Poczuła pod ręką przycisk wyłącznika i pchnęła go w górę. Znowu

rozbłysło światło i wreszcie mogła zobaczyć, gdzie się znajduje.

Był to olbrzymi bunkier z łukowym sklepieniem, co najmniej trzydziestometrowy, z rzędami skrzyń i drewnianych pudeł, starych waliz i olbrzymich kufrów z metalowymi okuciami, sięgających na wysokość sześciu metrów. Między nimi tkwiły stalowe belki podtrzymujące stare stropy przed zawaleniem. Jedna z wysokich skrzyń była otwarta, a obok stał portret pędzla holenderskiego mistrza, Franza Halsa. Na wyblakłej etykiecie umieszczonej na skrzyni widniały dwie litery S w kształcie błyskawic. Nieco dalej, w otwartym wielkim kufrze, piętrzył się stos staroświeckich złotych oprawek do okularów pozbawionych szkieł. Nad wszystkim unosił się zapach benzyny. Kątem oka Finn dostrzegła znajomy kształt czerwonego plastikowego kanistra. Dwie szyny biegnące przez bunkier kończyły się przy buforze z dębowego kłoca. Obok stał wózek transportowy. W ten sposób przenoszono obrazy z piwnicy do wnęki przeładunkowej pod kamienicą przy St. Luke's Place.

- Michael!

- Tutaj!

Głos dochodził zza wielkiej skrzyni. Kierując się w tę stronę, Finn zobaczyła ślady świeżej krwi. Podbiegła i odsunęła skrzynię. Valentine wstawał właśnie z ziemi, wspierając się na stosie płaskich krat. U jego stóp leżał mężczyzna. Jeszcze żył. Trzymał się za brzuch, jęczał i zaciskał palce na rękojeści długiego noża myśliwskiego. Mężczyzna miał około sześćdziesięciu lat, siwe włosy i mundur w kolorze oliwkowo-brązowym,

jaki nosili sierżanci piechoty w czasie drugiej wojny światowej. Ubranie to było jednak zbyt duże na tak drobnego człowieka. Finn natychmiast rozpoznała mężczyznę.

- To Fred!

Valentine wyprostował się, jęcząc z bólu. Na rękawie grubej sportowej bluzy miał krwawe rozcięcie.

- Kto?

- Strażnik z muzeum - wyjaśniła niepewnym głosem. - Mówiłam mu dzień dobry. Taki nieśmiały starszy pan. - Popatrzyła na ramię Valentine'a. - Czy to coś poważnego?

- Draśnięcie. Przeżyję. - Pochylił się nad rannym mężczyzną. - Nie jestem pewien, czy on przeżyje.

- Co on tu robi? Skąd wiedział o tym miejscu?

- Prawdopodobnie odkrył je tak jak my - odpowiedział Valentine. -

Wygląda na to, że zamierzał wszystko podpalić, Bóg wie dlaczego i Bóg wie, za kogo się uważał.

Przyjrzał się mundurowi. Na rękawie widniała wyblakła naszywka z czerwono-złotą piramidą schodkową na niebieskim tle. Siódma Armia.

Jednostka Cornwalla. Powiódł wzrokiem po ogromnym bunkrze i pokręcił głową. Potem przykucnął i przyłożył palce do szyi mężczyzny.

- Słaby puls - stwierdził. - Jeżeli chcemy się czegoś dowiedzieć, musimy sprowadzić pomoc. - Wstał, zachwiał się i oparł o jedną ze skrzyń. -

Idź. Zadzwoń pod dziewięćset jednaście. Wezwij gliny i karetkę. - Ponownie rozejrzał się po grocie. - Mamy teraz dość dowodów. Wszystko

ułożyło się w logiczną całość: fundacja, Cornwall, Crawley, Gatty i pozostałe nazwiska. Chodziło o utrzymanie tej sprawy w tajemnicy. Im więcej ludzi to zobaczy, tym lepiej.

- Na pewno dasz sobie radę?

- Nic mi nie będzie. Idź.

Odwróciła się i pobiegła.

Pędziła krętym korytarzem, gwałtownie chwytając oddech. Starła się skupić na czekającym ją zadaniu, lecz w głowie wirowały jej tysiące myśli i obrazów. Przed oczyma wciąż miała wychudzoną, bladą twarz mężczyzny umierającego na podłodze bunkra, z nożem tkwiącym w brzuchu, wielką ciemnoczerwoną plamą na białej koszuli i szczupłymi palcami pianisty zaciśniętymi kurczowo na trzonku.

Dotarła do końca tunelu i znalazła się w okrągłym pomieszczeniu za ukrytymi drzwiami w piwnicy domu przy St. Lukes Place. Zatrzymała się gwałtownie i cofnęła z szeroko otwartymi oczyma. Porucznik Vincent Delaney z nowojorskiej policji pochylał się nad ciałem mężczyzny opartym o kamienną ścianę. Połowa twarzy leżącego wyglądała jak krwawa miazga i była zniekształcona nie do poznania. Szyję opasywała mu zakrwawiona koloratka. Ksiądz. W dodatku z automatycznym pistoletem w dłoni. Gdy Finn zatrzymała się, usiłując złapać oddech, policjant wstał i odwrócił się. W rękę wciąż trzymał glocka, z którego zabił księdza. Ten właśnie strzał słyszała na drugim końcu tunelu. Miała wrażenie, że całe wieki temu.

- Panna Ryan - powiedział wolno Delaney. - Wiedziałem, że w końcu się pani pojawi. Nadal jest pani ze swoim nowym przyjacielem, Valentine'em?

- Skąd pan o tym wie?

- Wiem więcej niż pani myśli.

- Skąd się pan tutaj wziął? - Spojrzała na skurczoną postać martwego

księdza. - Co się dzieje?

- Czy Valentine jest z panią?

- Co robi tu ten ksiądz?

- To nie jest ksiądz, tylko wynajęty zabójca .

- To on zabił Petera? - Zaczęło jej się kręcić w głowie. Myśli krążyły w różnych kierunkach, tracąc logiczny sens.

- Nie. Z Peterem to był wypadek. To miała być pani.

- Dlaczego ja?

- Natknęła się pani na rysunek. Gdyby podążyła pani jego śladem,

dotarłaby tutaj. Należało panią jakoś powstrzymać. - Urwał. - Zadałem pani pytanie. Czy Valentine jest z panią?

- Tak.

- A Dziecko?

- Jakie dziecko? - „To jakieś szaleństwo”, - pomyślała.

- Botte. Frederico. Teraz już starszy mężczyzna.

- Fred? Ten strażnik?

- Zawsze nazywano go Dzieckiem. Każdy człowiek jest na początku dzieckiem. Ten był niebezpieczny od chwili poczęcia.

- Pan chyba postradał zmysły - wyszeptała Finn. - O czym pan mówi?

Tam jest bunkier pełen zrabowanych obrazów, wartych miliardy dolarów.

Mordowano ludzi, by ukryć fakt jego istnienia. Co stary człowiek ma z

tym wspólnego? A co pan ma z tym wspólnego? - Spojrzała na ciało sku-

lone przy ścianie. - Albo on?

- Jestem kimś więcej niż tylko zwykłym policjantem, panno Ryan -

powiedział cicho Delaney - A ludzie, dla których pracuję, mają wiele do ukrycia; wiele starych sekretów Nigdy nie chodziło o sztukę, lecz o Dziecko. Już myśleliśmy, że go mamy, ale go zgubiliśmy A on znowu zaczął zabijać. Gdyby trafił w ręce niewłaściwych ludzi, prawda wyszłaby na jaw Nie mogliśmy do tego dopuścić. Kościół i tak ma wystarczająco dużo kłopotów Teraz to wreszcie się skończy - Wskazał głową martwego mężczyznę. - On pracował dla innej organizacji, która wierzyła, że pani śmierć wystarczy. Pracował dla ludzi, którzy bardziej cenili władzę niż bezpieczeństwo. Zaryzykowaliby wszystko, aby znaleźć i zdobyć skarbiec pełen zagrabionych dzieł.

- On chciał go zniszczyć - wyszeptała Finn. - Bezcenne piękno z tysiącletnią historią. Chciał to wszystko spalić. - Urwała zdumiona i spojrziała na policjanta. - Kim on jest?

- Synem Eugenia Pacellego. Nieślubnym dzieckiem papieża, przetrzymywanym dla szantażu przez hitlerowców w zamian za wyświadczone usługi, za zagrabione dzieła sztuki. W końcu jednak natknęli się na Jamesa Cornwalla i jego szajkę złodziei, bandę nazistów, tylko że amerykańskich.

- Carduus, Akademia Greyfriars, Fundacja Grangea.

- Jeśli pani woli, ale jest tego znacznie więcej.

- Jak pan odnalazł to miejsce?

- Śledziłem księdza. Wiedziałem, że w końcu doprowadzi mnie do

Dziecka. Odnalazł miejsce, gdzie ten dziwak mieszka, ale już go tam nie było.

- Ten dziwak, jak go pan nazywa, nie żyje - powiedział Valentine, wychodząc z tunelu. Zaskoczony Delaney odwrócił się, mierząc z pistoletu w jego pierś. - To koniec.

- Niezupełnie - odparł Delaney - Trzeba jeszcze trochę posprzątać.

- Posprzątać? - powtórzyła Finn.

- On ma na myśli morderstwo - wyjaśnił Valentine. - Nie może zostawić nas przy życiu. Wie, że nic z tego nie może wyjść na jaw. Ma rację. Eugenio Pacelli, czyli Pius Dwunasty, ma być kanonizowany. Nie dość, że zyskał przydomek papieża Hitlera, to jeszcze ma być ojcem dziecka? Informacja, że Watykan ma własnych szpiegów i morderców, nie fikcyjnych, jak w jakimś paranoicznym hollywoodzkim scenariuszu, ale całkiem realnych, nie wyglądałaby dobrze na pierwszej stronie „New York Timesa”.

Valentine zrobił pół kroku w przód i obrócił się lekko tak, że stanowił teraz trudniejszy cel dla Delaneya.

- Coś w tym rodzaju.

W tym momencie Finn zdała sobie sprawę, co dokładnie się zdarzy. W każdej chwili Valentine, wspaniałomyślnie z idiotyczną rycerskością, mógł wykonać ruch, odciągając w ten sposób uwagę policjanta i dając jej przynajmniej nikłą szansę ucieczki. Jak brzmiało to niedorzeczne zdanie, które matka zwykła powtarzać? „Nikt słaby duchem nie zdobędzie atrakcyjnej kobiety”. Czasami zastanawiała się, czy świat nadal by istniał, gdyby wszyscy tak myśleli. Helena Trojańska była tego sztandarowym przykładem.

Nie dzisiaj, powiedziała sobie. Nie dzisiaj i nie z mojego powodu. Zorientowała się, że trzyma w ręku pęk kluczy i delikatnie przesunęła w dłoni długi, ząbkowany kluczyk od toyoty. Jego koniec wystawał teraz z zaciśniętej pięści. Zawahała się, przełknęła ślinę i mrugnęła do Valentine'a. Wiedziała, że brakuje jej cech potrzebnych do tego, co zamierzała teraz zrobić: odwagi albo braku rozsądku, wściekłości lub choćby podstawowego instynktu samozachowawczego. Jezu, pochodziła przecież z Ohio. Tam takie rzeczy się nie zdarzają. Była przecież tylko dziewczyną.

- Gówno! - szepnęła.

Delaney się odwrócił. Oczy mu się rozszerzyły, gdy zrobiła krok w jego stronę. Mignął jej przed oczyma rysunek Michała Anioła. Valentine też się poruszył i policjant zamarł na chwilę, niezdolny do podjęcia decyzji. Wówczas Finn uderzyła go w szyję zaciśniętą pięścią. Pistolet wystrzelił, trafiając w żarówkę. Znowu zapadła ciemność, a na podłogę posypały się odłamki szkła. Poczwała, jak długi, świeżo dorobiony klucz do samochodu rozcina ciało policjanta, a nierówne zadziory rozrywają tętnicę szyjną. Trysnęła krew, rozbryzgując się na policzku Finn. Glock wypalił po raz drugi. Kula przeleciała tuż obok jej ucha. Błysk wystrzału na mgnienie oka rozświetlił ranę, którą zadała Delaneyowi. Porucznik zatoczył się i wolną ręką przycisnął rozerwaną tętnicę. Zaraz jednak upadł na kolana przed ciałem człowieka z Rzymu. Życie uchodziło z niego w miarę, jak zwalniał mu puls, aż w końcu zwalił się na ziemię i ciemność się nad nim zamknęła.

Siedziała na schodach przed elegancką starą kamienicą przy St. Luke's Place i patrzyła na szumiące drzewa w parku po drugiej stronie. Dzieci wciąż skakały w zapadającym zmroku. Wokół rozkwitały nocne światła miasta. Słyszała, jak Valentine rozmawia przez telefon w recepcji, dzwoniąc do wszystkich dziennikarzy, jacy przyszedli mu do głowy. Policja była w drodze, FBI też. Zadzwoił również do Barrie'ego Kornitzera, który teraz rozpowszechniał całą historię w internecie. Rozgłos zapewni im bezpieczeństwo, przynajmniej na razie.

Kolejne godziny i dni miały być koszmarem, ale za to skończyło się zabijanie. Powoli, bardzo powoli zniknął strach. Przez krótką chwilę pomyślała, żeby skontaktować się z matką i opowiedzieć jej o tym, co się stało; może także o Michaelu i o rysunku Michała Anioła, który odkryła. Ale jeszcze nie teraz. Teraz chciała jedynie odpoczywać. Wsłuchiwała się w rymowanek niewidocznych dzieci.

Mateusz, Łukasz, Marek i Jan,
Byli na świecie, zabrał ich Pan.
Judasz i Andrzej nie żyją też,
A święty Paweł bez głowy jest.

W końcu Finn opuściła głowę na splecione ramiona. Z daleka słychać było wycie syren. Niby wszystko się skończyło, ale wiedziała, że tak naprawdę to dopiero początek. Za plecami słyszała rozmawiającego przez telefon Valentine'a. W parku za drzewami dziecięce głosy oddalały się jak zły sen.

Andrzej się zamartwiał,

Szymon był zwyczajny,

Tomasz ciągle wątpił,

Judasz był sprzedajny.

Finn uśmiechnęła się do siebie, zamknęła oczy i przynajmniej na chwilę usnęła.

OD AUTORA

Większa część informacji zawartych w Notesie Michała Anioła jest prawdziwa. Wiadomo, że Eugenia Pacellego, późniejszego papieża Piusa Dwunastego, łączył intymny związek z kuzynką, Kateriną Annunzio, w czasie, gdy był nuncjuszem apostolskim w Berlinie, a później watykańskim sekretarzem stanu. To stanowisko zajmował do tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku, kiedy wybrano go papieżem. Wiadomo również, że jego kuzynka została zamknięta w klasztorze żeńskim w północnych Włoszech i popełniła samobójstwo krótko po urodzeniu syna. Nie ma ostatecznych dowodów potwierdzających losy dziecka, chociaż niektórzy watykaniści spekulują, że bliski przyjaciel Pacellego, arcybiskup Francis Joseph Spellman, kardynał Nowego Jorku, miał dopomóc w przewiezieniu dziecka do USA. Spellman, jako kapelan Armii Stanów Zjednoczonych, przebywał w Rzymie pod koniec drugiej wojny światowej.

Wiadomo też, że istniał bezpośredni związek między Pacellim a zniknięciem tak zwanego złotego pociągu i sześciu ciężarówek wyładowanych zrabowanymi dziełami sztuki, porwanych przez współpracowników Gerharda Utikala, szefa paryskiej jednostki Sztabu Operacyjnego Rosenberga, kierującego kradzieżami dzieł sztuki we Francji, Belgii i Holandii. Los Utikala, przynajmniej oficjalnie, wciąż pozostaje tajemnicą, chociaż istnieją pewne dowody na to, że uciekł do Ameryki Południowej tak zwanym watykańskim szczurzym szlakiem.

Dużo zrabowanych dzieł sztuki, w tym ogromna liczba eksponatów sztuki

sakralnej, pokazała się ostatnio w Stanach Zjednoczonych. Większa część tych dzieł, znana powszechnie jako skarb z Kwedlingburga, powróciła do prawowitych właścicieli.

Wartość rocznego światowego obrotu skradzionymi, zrabowanymi czy w jakiś inny sposób sprzeniewierzonymi obrazami i antykami, łącznie z tymi, które są w posiadaniu muzeów i publicznych galerii, przekracza pięć miliardów dolarów. Ogromnej większości dzieł zrabowanych przez hitlerowców nigdy nie odnaleziono. Obrazy wymienione w książce, na przykład dzieło Juana Grisa czy Wskrzeszenie Łazarza Rembrandta, istnieją naprawdę.

Istniał też klasztor żeński i dom samotnej matki przy Hudson Street 421, a w miejscu placu zabaw dla dzieci po drugiej stronie ulicy był kiedyś wielki cmentarz, zajmujący dwie przecznice w Greenwich Village, a także cmentarz przykościelny, który na nocne przechadzki upodobał sobie Edgar Allan Poe. Nie ma natomiast St. Luke's Place 11, za to fasada kamienicy pod numerem 10 pełniła w latach osiemdziesiątych rolę rezydencji państwa Huxtable'ów w serialu telewizyjnym Bill Cosby Show .

Notesu Michała Anioła, który służył mu do szkiców anatomicznych, nigdy nie odnaleziono.